

De. II 1.
TOM CCLXVI.

ROK 67.

SERYA 9.

ZESZYT 798.



BIBLIOTEKA

WARSZAWSKA.

C Z E R W I E C.

1907.

TOM II.—ZESZYT 3.

WARSZAWA.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 5.

—
1907.

TREŚĆ ZESZYTU.

	<i>Str.</i>
1. KARTKI Z PAMIĘTNIKA,—przez <i>Romana Rogińskiego</i>	417
2. LUNA. — przez <i>Kazimierza Zdziechowskiego</i>	432
3. RUCH LITERACKI W NIEMCZECH,—przez <i>J. Kaczkowskiego</i>	474
4. TĘO HISTORYCZNE TRZECIEJ CZĘŚCI „DZIADÓW,”—przez <i>Hen-</i> <i>ryka Mościckiego</i>	502
5. KARŁY JAKO PRA-RASA.—przez <i>K. Stołyhwę</i>	543
6. SĄD ESTETYCZNY,—przez <i>T. Jaroszyńskiego</i>	559
7. PIŚMIENICTWO:	
GUSTAWA GAWAŁEWICZÓWNA (Toporeczanka): Listki. Urywki kores-	
pondencyi; z przedmową Bolesława Prusa.—przez <i>W. B.</i>	580
BOLESŁAW KIELSKI: O wpływie Moliera na rozwój komedyi pol-	
skiej,—przez <i>dr. H. Reinholdta</i>	583
MIECZYSLAW AWDANCZ: Wizyc. Opowieść sceniczna z dziejów wy-	
zwolenia,—przez <i>Z. D.</i>	586
ANTONI LANGE: Pierwszy dzień stworzenia,—przez <i>Z. D.</i>	588
8. KRONIKA MIESIĘCZNA:	
Wniosek Koła Polskiego w sprawie szkolnej.—Jubileusz Elizy Orze-	
szkowej.—Obsadzenie katedry historii nowożytnej we	
Lwowie. — Projekt Towarzystwa opieki nad obięzy-	
sasami	592
9. WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE	607
10. SPROSTOWANIE	620

Do niniejszego zeszytu dołącza się Dodatek „PRACA“ № 6.



De I 1

KARTKI Z PAMIĘTNIKA.¹⁾

I.

...Z kraju odebraliśmy rozkaz: „Wracajcie! bo czas się zbliża.“ Wyjechałem więc z Zygmuntem Padlewskim z Paryża, przez Berlin (gdzie się po raz ostatni spotkałem z Józefem Narzymskim) do Warszawy. Padlewski pojechał przez Poznań i Kraków, ja zaś przez Toruń, gdzie miałem wręczyć list, powierzony mi przez generała Wysockiego, Gutremu, i porozumieć się w paru kwestyach z Sulatyckim, obywatelem z pod Torunia, bardzo podówczas w sprawie naszej czynnym.

Zjechaliśmy się z Padlewskim w Warszawie, dnia 15 października 1862 r. On pozostał w stolicy, ja zaś zostałem przez ówczesny Komitet Centralny zamianowany Komisarzem województwa Podlaskiego, do którego były zaliczone powiaty: Bielski, Siedlecki, Łukowski i Radzyński.

Przedtem agentem Komitetu w owym województwie był Edward Lisikiewicz, student uniwersytetu kijowskiego, kolega Ignacego Chmielińskiego. Mieszkał on z matką w Zbuczynie pod Siedlcami, gdzie gospodarowali. Brat starszy trzymał pocztę, szwagier zaś Lisikiewicza, Jan Matliński, także przy matce mieszkają-

¹⁾ Podając wysoce zajmujące wyjątki z pamiętnika jednego z wybitnych uczestników i organizatorów powstania 1863 r., czynimy to tem skwapliwiej, że stanowią one nader cenny przyczynek z *pierwszej ręki* do dziejów tej burzliwej chwili, w której gorąca wiara i brak sił, zapal i zamęt, wielkie poświęcenia i mylne rachuby spletały się w sercach i w czynach ówczesnego młodego pokolenia. Duchem tym owiany pamiętnik jest tem ciekawszym i tem wymowniejszym dokumentem owej doby.

cy, czynny brał udział w organizacji ówczesnej (znany jako Jan-ko Sokół).

Przyjechawszy w Podlaskie, zastałem organizację tajną jeszcze w zawiązku. Szło więc o to, by ją rozprzestrzenić — rozpow szechnić między szlachtą zaściankową, tak w Podlaskiem liczną, i wciągnąć do niej mieszczan, służbę dworską, a lud wiejski przedewszystkiem. Trzeba więc było zszeregować pojedynczych ludzi, rozlokowanych po różnych punktach, w gromadki, poznać ich ze sobą i wskazać dalszy sposób działania. Pierwsze takie zebranie, złożone z członków organizacji z czterech powiatów, odbyło się w Łosicach, u doktora Czarkowskiego, niezmiernie ruchliwego działacza (rozstrzelanym został następnie w Siedlcach, niedługo po ślubie z młodą, inteligentną kobietą, która z rozpaczycy po stracie męża dostała pomieszania zmysłów).

Nastąpiły na owem zebraniu wybory członków do rozmaitych urzędów organizacji.

Wojewodą podlaskim został Bronisław Deskur z Horostyty, z Radzyńskiego powiatu. Naczelnikami powiatowymi cywilnymi zamianowani: Siedleckiego powiatu — Jan Matliński, Łukowskiego — słynny ksiądz wikary z Łukowa, Brzoska (następnie dowódca oddziału, ujęty w Łędzie i tam rozstrzelany), Radzyńskiego — Zieliński, obywatel; Bialskiego — ówczesny pomocnik naczelnika powiatu N.

Od nich zależało dalsze wyznaczanie setników i dziesiętników (system dziesiętny był przyjętym w organizacji). Do zbierania funduszków na każdy powiat wybrany był poborca. Wtedy właśnie nakazane było przez Komitet Centralny ogólne opodatkowanie kraju. Na pobierane pieniądze wydawano kwity, których numera ogłaszano w piśmie ówczesnem „Ruch“, organie Komitetu Centralnego. Redakcja owego pisma i drukarnia mieściła się przy ulicy Widok pod № 11 w mieszkaniu pani Heurich, ciotki Bronisława Szwarce (Le Noir).

Szwarce był młodzieńcem bardzo inteligentnym. Syn emigranta — służył, jako inżynier, na kolei Warszawsko-Petersburskiej, w kompanii francuskiej. Aresztowany został w grudniu 1862 r. przy wykryciu drukarni „Ruchu“, za pośrednictwem policji francuskiej, która wówczas była w zupełności oddaną na usługi rządu rosyjskiego, aresztując osobistości podejrzane w Paryżu.¹⁾

¹⁾ Bronisław Szwarce był osądzony na śmierć. Za wstawieniem się cesarzowej francuskiej Eugonii, do której rodzina trafiła, wysłany do Syberji, a na-

Główne swoje locum usadawiłem w Białej skąd djeżdżałem do swoich powiatów.

W Białej był podówczas proboszczem ks. Mleczek, u którego zamieszkałem. Czas schodził szybko, wypadki gromadziły się, zapowiadając rychło burzę. Organizacya postępowała bystro.

Wszyscy owiani byli duchem zapału i garnęli się do roboty. Mieszczaństwo po miasteczkach, szlachta zaściankowa, czeladź dworska — wszystko to stanowiło jedną zwartą falangę. Lud jedynie był opornym, nie okazywał zapału i wyczekiwał dalszych wypadków.

II.

W ciągu tych kilku miesięcy w województwie podlaskiem pracowano gorliwie nad przygotowaniem umysłów do wspólnego działania. Ważnym tu czynnikiem był zjazd księży katolickich w Maciejowicach, na którym, jak to stało się już w Sandomierzu, duchowieństwo jednomyślnie uznało władzę Komitetu Centralnego, z którego ramienia delegowanym był Jan Majkowski.

Nierównie donioślejszym dla województwa podlaskiego był urządzony przezemnie zjazd księży unickich. Odbył się on dnia 22 grudnia 1862 r. w klasztorze Paulinów (następnie zniesiony i zamieniony na klasztor zakonnic prawosławnych) we wsi Leszno, o 10 wiorst od Białej odległej.

O zjeździe tym mało kto wiedział w Warszawie oprócz Zygmunta Padlewskiego, Oskara Awejdy, Stefana Bobrowskiego. Nigdzie też o nim nie wspominają, nawet Gillerowi zjazd ów nie jest znany, a przecież uczestniczyło w nim 150-ciu księży unickich, ludzi biednych, jak wogóle podówczas parochowie unicy; wszyscy oni złożyli przysięgę na wierność Rządowi Narodowemu i wspólność pracy i poświęcenia, którego też później oczywiste złożyli dowody.

stępnie z drogi wrócony. Spotkałem się z nim na jednej ze stacyj Permskiej gub., gdy mnie także wywożono, ale zaledwie parę słów mogliśmy pomówić z sobą. Osadzony był w Szliselburgu, gdzie 7 lat przebył — później znouwu wysłany do Syberyi, mieszkał w Tomsku, a następnie w Tunce nad Bajkałem, gdzie się ożenił z Buryatką, miał troje dzieci, które wywiózł do Lwowa i tam mieszkał do śmierci.

Zjazd ów wywołał dosyć charakterystyczne zajście. O jego wyznaczeniu dowiedziały się władze rosyjskie w Lublinie i doniosły o tem bezwzględnie pułkownikowi żandarmów w Białej z rozkazem, by go niedopuszcili. Nie wiadano tylko o miejscu i dacie, w której zjazd miał się odbyć. Żandarm biański, otrzymał zawiadomienie 23 grudnia, t. j. drugiego dnia już po odbytym zjeździe. Więc domyśliwszy się i skombinowawszy, że zjazd może być tylko u biskupa a więc w Janowie podlaskim, zebrał swoich podkomendnych żandarmów i secinę kozaków i 24 grudnia pojechał do Janowa, otoczył gmach kościelny, a że był wieczór, zastał salę rzęsiście oświetloną i siedzących przy stole: biskupa, wszystkich księży i całe seminaryum. Była to właśnie wigilia. Chciał aresztować zebranych i dopiero po wytłómaczeniu żandarmowi powodu zebrania, zamiaru zaniechał i skonfundowany powrócił do Białej.

III.

Ludzie byli; szło o to, by była i broń. Nakazano przygotowywać kosa z uwagi na tradycję kosynierów Głowackiego, tylko, że obecnie owe kosa miały do czynienia ze sztucernymi, na dwa tysiące kroków bijącymi. Broni palnej w podlaskiem, a i wogóle nigdzie nie było. Dla zaradzenia temu, komisarz województwa płockiego Edward Rulikowski, zebrawszy trochę pieniędzy, pojechał do Liège do Belgii i tam w pewnej fabryce zamówił 15 tysięcy karabinów—dawszy zadatek, zobowiązał się resztę należności zapłacić na 1-go stycznia 1863 r. w Paryżu; fabryka zaś zobowiązała się dostawić ową broń do granicy Królestwa.

By nie stracić zadatku i broni, Komitet Centralny, choć z wysiłkiem, resztę należności posłał przez Franciszka Godlewskiego, który, pojechawszy do Paryża, zatrzymał się w hotelu Corneille, gdzie podówczas wielu Polaków mieszkało, między innymi Józef Ćwierczakiewicz, agent Komitetu i Włodzimierz Miłowicz; że zaś policja francuska nas szpiegowała i Rosyi dopomagała, nastąpiło otoczenie hotelu i aresztowanie Polaków, przy czem zabrano im pieniądze i papiery. Tym to sposobem dowiedziano się o adresie drukarni „Ruchu“ przy ulicy Widok № 11.

Franciszek Godlewski, wypuszczony, wraca do kraju już w pierwszych dniach powstania, należy do napadu na Rawę i tam

ginie. Aresztowania te i zabór pieniędzy nie mały wyłom w pracach przygotowawczych do powstania uczyniły. Zwołano nas wszystkich komisarzy wojewódzkich do Warszawy. Przyjechał z Kijowa przedstawiciel młodzieży i stronnictwa ruchu na Rusi Antoni Jurjewicz (który później wystąpił z oddziałem młodzieży z kijowskiego uniwersytetu ogłaszać „Zołotyje Hramoty,“ nadanie ziemi i woli). Gdy byli we wsi Sołowijówce, nie chcąc strzelać do chłopów, by im dowieść, że głoszą prawdę, oddali im broń — ci zaś, podburzeni wtędy przez popa miejscowego, część ich pomordowali, innych do pół-śmierci pobili. Jurjewicz został przy życiu, przywieziony do Kijowa, skazany na śmierć, ucieka później z kijowskiej twierdzy przez ów sławny podkop 27 sążni długości, przechodzący przez dwie grube ściany. Umarł w lat kilka z ran i pobicia w Paryżu. Szczegóły o tym oddziale w Sołowijówce można czytać w „Rachunkach“ Bolestawity.

Na owem to zebraniu walnem komisarzy i członków Komitetu Centralnego, do którego należeli Zygmunt Padlewski, jako naczelnik miasta Warszawy, Oskar Awejde, jako minister spraw wewnętrznych, Stefan Bobrowski, Agaton Giller i inni, postanowiono: przygotowywać się do powstania, które nie wcześniej, jak wiosną wybuchnie, z uwagi, że Litwa i Ruś wcześniej gotowemi nie będą. Uchwała ta zapadła dnia 11-go stycznia 1863 r. Ze względu zaś na krążące pogłoski o brance do wojska, postanowiono popisowych ukryć przez przeniesienie ich z jednego powiatu do drugiego.

W tym celu ja, jako komisarz podlaski, otrzymałem 3000 blankietów na paszporty i z takim poleceniem wyjechałem z Warszawy. Zaczęto tymczasem młodzież usuwać z Warszawy, głównie w Płockie. Popisowi schronili się w Kampinoskiej puszczy, lecz większość nie zdążyła wyjść z miasta i uległa brance.

Wtędy to Zygmunt Padlewski, widząc szyki organizacyi powstańczej popsute, a odebrawszy jednocześnie wiadomość, że w fortecy Modlinie spiskowcy oczekują hasła przyłączenia się do ruchu, przeprowadził w komitecie, w którym swą przewagą i inteligencyą górował, uchwałę, wyznaczającą dzień powstania na 22 stycznia 1863 roku.

O Zygmuncie Padlewskim, jak dotąd, nie wiele wzmiankowano; a jednak był to człowiek, który nakazał, by Polska powstała dnia 22 stycznia i woli jego stało się zadość. Nie jest mojem zadaniem wdawać się w rozbiór krytyczny tej uchwały i przeciwstawić jej następstwa, jakie wywołała. Pragnę jedynie dać w tem

miejscu wyraz czci dla pamięci człowieka szlachetnego, który miłość swą dla kraju i gotowość do wszelkich dla niego poświęceń męczeńską przypłacił śmiercią.

Zygmunt Padlewski rodem z Ukrainy, powiatu berdyczewskiego, ze wsi Czerniawka, był synem Władysława, szlachcica starego autoramentu, który, gdy wybuchło powstanie, siadł na koń, jako dowódca utworzonego przez się oddziału; ¹⁾ wzięty w niewolę, rozstrzelany został niedługo po zgonie syna. Pozostawił po sobie żonę, dwie córki i syna młodszego Romana...

IV.

Rozkaz porwania za oręż odebrałem w Białej dnia 17 stycznia 1863 r. Pomimo papieru, jaki się do rąk moich dostał, i umówionych na nim znaków, którym uwierzyć musiałem, nie ufałem oczom własnym, iżby taki rozkaz tak raptownie był postanowiony.

Polecałem do Warszawy, gdzie zastałem jeszcze Padlewskiego.

— Co czynisz? — zapytałem — czyż nie rozumiesz, że nas rozbijają, że nie mamy jeszcze ani sił, ani oręża! Czyż nie wykładałeś nam w Cuneo, że tylko żołnierz z dobrą bronią zwycięża?!

— Stało się! — rzekł mi na to Padlewski — śpiesz się z powrotem. Jeśli Bóg da, zwyciężymy. Niepodobna, by Europa pozwoiliła nam zginąć!... Bywaj zdrów! Być może, że ostatni raz się już widzimy, lecz pamiętaj, żeśmy przysięgli, iż nie cofniemy się...

Uścisnęliśmy się. Zygmunt siadł na bryczkę, a z nim adjutant jego, oficer artylerji rosyjskiej Sejfried.

Pobiegłem jeszcze do Awejdy.

— Czemuś się zgodził? — zapytałem.

— Zygmunt przegłosował nas. Wiem, że to zawczasie, ale kość rzucona; jeśli upadniemy, spotkamy się na rusztowaniu, lecz iść trzeba, niema czasu na rozprawy. (Ten to Awejda zląkłszy się

¹⁾ Dowódcą tego oddziału oficjalnym mianowany był pułkownik Krzyżanowski, ale już za stary na partyzanta. Oddział ten nazywał się „Berdyczowski,” jako w tym powiecie stworzony. Rozbity w bitwie pod Machnówką, odznaczył się świątecznym atakiem kawaleryi na ułanów rosyjskich.

stryczka Murawjewskiego w Wilnie, gdzie był aresztowany i zdradziwszy sprawę, opisał historię organizacyi kraju, za co darowano mu życie. Zesłany do Wiatki na mieszkanie, pracował tam, jako obrońca przy sądach—dziś już nie żyje).

Pożegnawszy się z Awejdą, pobiegłem na pocztę, by zamieścić konie. Tu spotkałem Leona Frankowskiego, największego z pośród nas entuzyastę. Rzucił mi się na szyję z okrzykiem:

— Więc idziemy bić się za kraj!

— Ba! — odrzekłem — bić się nie sztuka, ale czem?!

— Czapkami ich zarzucimy! — zawołał — całe lubelskie, jak jeden mąż, powstanie. Jadę tam! Bywaj zdrów!

I rozbiegliśmy się. Ja, by jeszcze pożegnać się z rodzicami i siostrą, tak, jak się żegna jedynak z najdroższym na świecie skarbem. Pobłogosławili mnie, jam ich za nogi uściskał, siadłem na brykę i pojechałem w podlaskie...

Nocą stanąłem w Siedlcach. Zastałem tam Walentego Lewandowskiego, oficera z kampanii węgierskiej, emigranta. Był on wyznaczony w stopniu pułkownika na dowódcę województwa podlaskiego. Prócz niego był tam Władysław Jabłonowski, student uniwersytetu kijowskiego, a kolega mój z Cuneo, którego niezadługo przedtem osadziłem w Sokołowie, by tam młodzież organizował wojskowo.

Czasu było tak mało, żeśmy zaledwie ogólnikowo mogli się porozumieć co do dalszego trybu działania. Z narady wypadło, że Lewandowski miał uderzyć na Siedlce, do czego mieli służyć ludzie w mieście zorganizowani, ludzie z Sokołowa i Węgrowa pod dowództwem Jabłonowskiego, ze wsi okolicznych z pod Siedlec z Matlińskim na czele, a także część szlachty zaściankowej z okręgu Łosickiego pod wodzą Czarkowskiego. Wszystkich powstańców, gdyby się byli stawili na czas, miało być z górą trzy tysiące ludzi, choć uzbrojonych tylko w kosy i trochę w broń myśliwską, mogli więc, licząc na popłoch w razie napadu raptownego, rozliczać na powodzenie.

Tak załatwiwszy się z Lewandowskim, pozostawiłem go dalszemu losowi, a sam pośpieszyłem do Łukowa, by zakomunikować księdzu Brzosce o uchwalonem powstaniu.

Brzosko miał ludzi w organizacyi dosyć, lecz trudno mu było zebrać ich na godzinę oznaczoną. Miał on w nocy uderzyć na miasto, licząc na współdziałanie kilkudziesięciu żołnierzy Polaków, zorganizowanych w szeregach wojska rosyjskiego. Pierw-

sza noc była dla Łukowa niepomysłna z powodu braku ludzi fachowych, mających pojęcie o ruchu zbrojnym.

Do Deskura posłałem rozkaz, by uderzył na Radzyń z ludźmi, jakich zdoła zebrać. Sam zaś wróciłem śpiesznie do Białej. Na ten punkt najwięcej liczyłem, gdyż przez parę miesięcy mego tam pobytu udało mi się wszystkich mieszczan wciągnąć do organizacyi; w powiecie zaś, oprócz oficyalistów i służby dworskiej, wszystkie zaścianki szlachty były złączone tak, że można powiedzieć, iż nie było jednego w owej gromadzie, któryby duszą całą nie należał do organizacyi.

W Białej powinienem był zastać oficera od saperów Mrocza, jako dowódcę powiatu bialskiego, lecz rachuby moje nie sprawdziły się. Wskutek przesłanego przez naszych z Petersburga żądania, Komitet Centralny wysłał nagle Mrocza do Kazania, gdzie spodziewał się wywołać dywersję przez rozniecanie ruchów nad Wołgą. Mroczek w rzeczy samej pojechał, lecz okazało się, że tam, w Kazaniu, zebrało się wszystkich rewolucjonistów osiemnastu, z którymi to Mroczek wystąpił na Wołgę ogłaszać „Złote hramoty“...

Ujęto ich wszystkich i Mrocza z trzema innymi rostrzelano w Kazaniu 6 czerwca 1864 roku.

V.

Musiałem przeto radzić sobie sam na własną rękę.

Z chwilą powstania zadaniem mojem miało być: tworzyć oddziały, gromadzić je i posyłać tam, gdzieby wymagała potrzeba. Celem naszym, omówionym w Warszawie z Padlewskim, było opanowanie dwóch linii: Warszawsko-Brzesko-Litewskiej i Warszawsko-lubelskiej w kierunku Uściługa, Wołynia i Rusi. Gdyby się nie udało od razu utrzymać na której z tych linii, mieliśmy przerzucić się za Bug, by powstanie rozniecić na przestrzeni jak najrozleglejszej, a tem samem i rozdrobić siły nieprzyjacielskie. W organizacyi naszej w Białej mieli udział dwaj oficerowie w rosyjskiej służbie: dowódca bateryi Suchodolski i adjutant jego Zalewski — oprócz tego było szesnastu kanonierów Polaków w owej bateryi i kilku żołnierzy z piechoty.

Siły rosyjskie w Białej składały się: z bateryi artyleryi z dowódcą Suchodolskim i adjutantem Zalewskim, rotę piechoty (200

ludzi), rotę inwalidów (200 ludzi), secyny kozaków i żandarmów, wszystkiego ludzi do ośmiuset, dowodzonych przez generała Mamajewa. W powiecie zaś rozlokowani byli, w m. Łomazach szwadron ułanów, w Kodniu zaś nad Bugiem park artylerji, ludzi 400, uzbrojonych w karabiny, w Międzyrzeczu dwa szwadrony ułanów z pułkownikiem, czwarty szwadron stał w Siedlcach.

Liczyłem bardzo na powiat bialski. Był on bodaj że najlepiej zorganizowany, przynajmniej w województwie podlaskiem. Brakło mu broni palnej, lecz kos i amunicji, dostarczonej z Brześcia za pośrednictwem Żydków, miał poddostatkiem. Było na liście trzy tysiące ludzi, którzy winni byli się stawić na pierwsze wezwanie.

Rozporządziłem się następującym sposobem: W Międzyrzeczu naczelnikiem miasta był syn urzędnika tamiecznego, Krysiński, energiczny, dzielny młodzieniec. Pod jego to dowództwem mieszczanie powinni byli uderzyć na koszary ułanów, spalić je i zabrać co się da. Oprócz ludzi z miasta, miał przybyć zaścianek Bojarów, leżący o wiorst 20 od Międzyrzecza (wielu z was zapewne nie wie nawet, żeśmy ich mieli w kraju)—a miało ich być z górą stu ludzi.

Po zdobyciu winien był Krysiński podążyć do głównego obozu w Białej. (Ten sam Krysiński był następnie oddzielnym dowódcą, po powrocie z bitwy z oddziałem Lewandowskiego, i odznaczył się kilkoma bitwami w powstaniu.)

Do Kodnia przeznaczyłem Neckiego — rządcę z kodeńskiego majątku Krasińskich, byłego podoficera z batalionów orenburskich, do których był poprzednio zesłany. Do napadu służyć mieli ludzie kodeńscy i dwa zaścianki, Tuczna i Wiski, 250 ludzi liczące. Do Łomaz wyznaczyłem kolegę mego, Leopolda Czapińskiego rodem z Białej, ze szlachtą z zaścianka Hunczy, także 250 ludzi i z mieszczanstwem z Łomaz. Głównie na czele tego oddziału stał ks. proboszcz owych zaścianków, Nawrocki, eks-kapelan II-go pułku ułanów z r. 1830, dzielny i prawy jako kapłan, żołnierz i obywatel kraju. Zesłany był na Syberję, umarł następnie w Rosji.

Na pierwszą noc powstania, pozostałem sam w Białej. Oprócz mieszczan, powinien był przybyć zaścianek z pod Łosic, do którego wysłałem Baltazara Wolamina, nauczyciela powiatowej szkoły bialskiej, a od Janowa Podlaskiego miało przybyć około 400 powstańców, pod wodzą ks. Rozwadowskiego, proboszcza z Niemirowa nad Bugiem; wreszcie od Zalesia, około stu ludzi z Kazimierzem Bogusławskim. Mogłem tym sposobem liczyć na posiłki 800 ludzi, oprócz tych, którzy się w mieście znajdowali.

Ledwie zdążyłem wydać powyższe rozporządzenia, nastąpił pamiętny dzień 22 stycznia.

Należało ludzi w mieście zawiadomić, że to dziś w nocy o godzinie 12-ej powinniśmy uderzyć na wojska rosyjskie. Dwudziestu ze mną miało wtargnąć do mieszkania Mamajewa, a inni, stosownie do rozlokowanego wojska, i do siły rozporządzalnej—na baterię, stojącą na krańcu miasta, część na secinę kozaków, w oddzielnych koszarach konsystujących, inni na piechotę. Liczyłem na popłoch, jaki wywołany tym niespodzianym napadem. Prócz tego, Suchodolski i Zalewski zobowiązali się w razie alarmu nie opuścić swoich kwater, kanonierzy zaś, należący do organizacyi, mieli wystraszyć konie wystrzałami, by ich trudno było użyć artylerzystom. Nie byłem przeto pozbawiony widoków powodzenia, lecz widocznie inaczej było napisane w księdze wyroków Opatrzności.

VI.

Gdym oznajmił mieszczanom, że nadszedł dzień powstania, rzucili się do kościoła, by wyjednać sobie przez spowiedź błogosławieństwo i rozgrzeszenie. Nie było to tchórzostwo, lecz prawdziwie chrześcijańskie uczucie. Księża Reformaci przestraszyli się i na spowiedzi nie chcieli dawać im rozgrzeszenia, odmawiając ich od mordowania bliźnich. Działali zapewne po chrześcijańsku, ale nie rozumieli pobudek tego czynu.

Dano mi o tem znać, można sobie wyobrazić, w jakie mnie to wprawiło rozdrażnienie. Wpadłem do kościoła. Widzę, że księża rozprawiają z gromadą ludzi, nakłaniając ich, już nie w porę, do powstrzymania się od wybuchu. Wobec moich groźb księża niby ustąpili i rozpoczęła się spowiedź, lecz dla sprawy fatalne to miało następstwa, gdyż z 200 ludzi, zaledwie 80-ciu wieczorem znalazło się na probostwie, t. j. na punkcie zbornym. W ruchu takim, jak powstanie, wszystkie, choć niby to drobne wypadki, zgubnie oddziałują na przebieg sprawy, i dlatego na podobne przeszkody nieprzewidziane zawsze liczyć trzeba.

Gdy wieczorem byłem u Suchodolskiego i Zalewskiego dla ostatecznego porozumienia się, żądałem tylko, by na alarm, jaki usłyszą przy naszym napadzie, nie wychodzili z domu, lecz czekali rezultatu, i że dopiero po dokonanym a udanym ataku, Suchodol-

ski obejmie dowództwo. Ale obaj stchórzyli i po mojem odejściu pospieszyli do Mamajewa z zawiadomieniem, że za parę godzin wybuch nastąpi, że należy wyprowadzić armaty na rynek i zebrać wojska.

Godzina dziesiąta wieczór—słyszę alarm, trąbki grać zaczynają, zbierają wojska na rynku, rozkładają ognie, a ja z ośmdziesięciu ludźmi na skraju tego rynku na probostwie, czekam posiłków z zewnątrz, które o godzinie 12-ej powinny były nadciągnąć. Na alarm zbiegli się do mnie wszyscy kanonierzy. Ci nie zdradzili i przystali do nas. Wtedy obliczyłem siły nasze: wszyscy mieli kosy, a tylko jedenastu było z bronią palną — siedm dubeltówek i cztery pojedynki. Ja jeden miałem rewolwer belgijski i sztylet.

Siły nasze były zbyt nierówne, bym się odważył uderzyć na rynek. Czekam więc do 12-ej na posiłki, lecz 12-ta wybiła, a nikt jeszcze nie nadszedł. Spóźnili się—myślę—cóż dziwnego? Toć to nie żołnierz, znający komendę. Ten i ów chciał się zapewne pożegnać z rodziną, może na zawsze. Północ przeszła; widząc, że posiłków jak niema tak niema, wysłałem trzy ekstrapoczty z rozkazami. Wojska na rynku—rzecz charakterystyczna—przepuszczają je, a trąbki pocztylionów donoszą mi, że rozkazy moje pobiegły. Rozkazałem, by oddziały pospieszały i skierowały się na drogę z Białej do Janowa. Tam miałem zamiar je spotkać, jeśli mi się uda wyjść z miasta.

Przeczekałem jeszcze do godziny pierwszej — bezskutecznie. Trzeba było więc coś stanowczego przedsięwziąć. Licząc na popłoch i zdetonowanie przeciwnika, gdy nas zobaczy, wyciągnąłem linię moich kosynierów, jednego kanoniera postawiłem na brzegu z kosą i zawołałem: „Prowadź! Pójdziemy przez rynek, nie zaczepiając wojska, zaczem się opamiętają, przejdziemy przez miasto w kierunku Janowa, a tam spotkamy swoich, z którymi, jeśli będzie można, wrócimy napowrót do miasta.“

Sam zaś, mając za sobą jedenastu strzelców, wznosząc rewolwer w górę, zawołałem: „Bez mego rozkazu ani jednego strzału. Bracia! Naprzód! W imię Boże!“

Tak wyszliśmy na rynek. Stał tam gen. Mamajew z całą swoją, dziesięć razy większą, siłą, z ośmiu armatami, czterystu karabinami i stu lancami!

Przechodzimy o 30 kroków zdala przed frontem wojsk rosyjskich — głucho milczenie — słychać tylko odgłos naszych kroków miarowych. Tak przechodzimy rynek w ulicę Janowską, do skraju

miasta. Musieliśmy rzeczywiście im zaimponować, kiedy nas przepuścili.

Wtedy dopiero Manajew, straciwszy nas z oczu, opamiętał się i wysłał za nami kozaków, którzy z okrzykiem rzucili się na nas, lecz już byliśmy sobie pewni. Jedno: stój! na cel! i kozacy cofają się w rozsypce. Znowu: Chłopcy naprzód! Nie strzelać, bo szkoda prochu! I znów poszliśmy dalej. Tak nas kozactwo przeprowadziło 5 wiorst po drodze Janowskiej do wsi Rozkoszy, nie zrobiwszy nam swemi strzałami szkody żadnej.

Tu spotkałem oba oddziały: Rozwadowskiego z Janowa i Wolamina z pod Łosic, ludzi ze trzystu razem. Rozbijamy tu obóz, rozpalamy ognie, rozstawiamy czaty i czekamy dnia białego, by oddział jako tako uporządkować.

Wojska rosyjskie za nami nie poszły, tak, że mogliśmy do rana pozostać w Rozkoszy. Trochę się uporządkowawszy, przeszedłem na szosę z Białej do Brześcia idącej, ku Zalesiu, chcąc się spotkać z Kazimierzem Bogusławskim, by się dowiedzieć, co się na imych punktach zrobiło. Gdyśmy stanęli na szosie pod Zalesiem, postanowiłem zburzyć most rzucony przez rzekę Krzną i przez błota, by utrudnić Rosyanom komunikację między Brześciem a Białą.

.....

VII.

Rozłożywszy się obozem pod Zalesiem, pozostawiłem naszych pod dowództwem Wolamina, a sam w kilkanaście koni, udałem się do Zaścianków: Tuczno-Wiski i Huncza, by się dowiedzieć, co się tam zrobiło i by stamtąd zebrać ludzi. Przybyłem do Tuczny, gdzie zastałem Neckiego, który w nocy 29-go uderzał na Kodeń. Rosyanie byli nieprzygotowani. Wystrzałem z pistoletu powalił żołnierza na odwachu, i sam uderzył w bęben na alarm, dając znak żołnierzom do odwrotu. Szlachta tymczasem rzuciła się kosą na postój i zdobyła odwach—Rosyanie rozbiegli się ze swym komendantem, tak że Necki, zabrał ze 300 karabinów, wprowadzie starych, przerobionych ze skałkowych, lecz zawsze z bagnetami! Więc było już trochę broni palnej, przytem zabrał mnóstwo gotowych ładunków, co było najważniejszem, wziął przytem do niewoli 80-ciu żołnierzy, których przyprowadził do Tuczny. Radość moja była wielką, gdyż to mogło dodać otuchy naszym. Zebra-

szy szlachtę, rozkazałem jej gotować się do wymarszu, a sam pocwałowałem przez Wiski do Hunczy, głównego zaścianka, który miał za zadanie uderzyć na Łomazy. Wiedziałem już, że i tam się choć w części udało. Huncza—jest to długi na parę wiorst zaścianek, po jednej stronie drogi, stoją domy mieszkalne, po drugiej zabudowania gospodarcze.

Gdym wjechał do zaścianka, przedstawił mi się widok następujący: przy każdym domu, stosownie do tego, ilu ludzi zeń szło do powstania, stały kosy oparte o ściany domu. Była to ulica kos! Przebiegłem całą długość Hunczy do kościoła i probostwa, a za mną wszyscy, porwawszy za kosy, podążyli. Na probostwie zastałem trochę ludzi, mieszczan z Łomaz, Czapińskiego i Szaniawskiego, obywatela z Krasówki, który, na hasło powstania, zebrał czeladź dworską i ruszył ze szlachtą na Łomazy. Sam energiczny, odważny i rzutki, mimo lat 50-ciu był duszą napadu na Łomazy, wraz z księdzem Nawrockim. Rosyanie i tu nieprzygotowani, niezdażyli osiodłać koni, a kiedy nasi rzucili się na nich, uciekli do Międzyrzecza, pozostawiwszy w rękach naszych wachmistrza, trzech żołnierzy, siodła na 70 koni, pałaszy i lancunóstwo.

Tak więc szlachta nasza dzielnie się owej nocy spisała. Gdyby była broń, i choć setny między nią obeznany z taktyką wojenną, by owe masy odrazu zorganizować, to—słowa te piszę po latach przeszło 30-tu, gdy już zapał minął i chłodno człowiek na przeszłość spogląda—to wierzę silnie, że bylibyśmy górą! Był taki wpośród nas zapał, a takie jakieś między Rosyanami nieokreślone osłupienie, że przewaga była po stronie naszej. Brak broni wszystko zniweczył. Dziś, gdy patrzę w przeszłość i przypominam sobie ów zastęp, który poszedł za mną z tych trzech zaścianków, z kosami tylko w ręku, przeciw armatom i sztucetom, zostawiwszy żony, starców i dzieci w domu bez opieki, łza mimowoli nabiega mi do oczu, jako wyraz czci dla owych ludzi, którzy z miłości dla kraju gotowi byli zdobyć się na najwyższe poświęcenie. Byli to nieodrodni bracia Maćków Dobrzyńskich z Pana Tadeusza...

VIII.

Zebrawszy tedy owe zaścianki, powiodłem je do oddziału pod Zalesiem pozostawionego. Tu zastałem kolegę mego z Cuneo, Adama Radowickiego z Grodzieńskiego, który na wieść o powsta-

niu, porzucił żonę, — gdyż już był żonaty — i przybiegł pod sztandar Walerego Goliana, emigranta (brata zmarłego kanonika z Krakowa, Zygmunta Goliana), podoficera z legionów Algierskich, — a z tym niejakiemu Pawłowiczowi, młodemu oficerowi armii rosyjskiej, tylko co ze szkoły artylerji wypuszczonego — obaj jechali do Kijowa z Warszawy, i obaj przyłączyli się do oddziału. Radowickiego zamianowałem dowódcą kawaleryi. Goliana naczelnikiem sztabu, Pawłowicza swoim adyutantem, Szaniawskiego dowódcą wszystkich strzelców, z tytułem pułkownika, Wolamina kapitanem strzelców — Neckiego dowódcą kosynierów. Drugim przy mnie adyutantem był Stasiakiewicz, eks-kleryk z Janowa; oprócz tego zamianowałem kilkunastu oficerów, podoficerów, jak np. Bogusławskiego Kazimierza, Zukowskiego i wielu innych, których nazwisk już dziś nie mogę sobie przypomnieć.

Odebrałem wtedy właściwie od Rządu Narodowego akt uwłaszczenia chłopów, z manifestem, ogłaszającym, że kto dobrowolnie przystąpi do powstania, otrzyma na własność wieczystą pięć morgów ziemi. Przysłano mi również odezwę do Narodu, wzywającą do powstania, napisaną przez Agatona Gillera.

Uporządkowawszy oddział, o ile to było możebnem, ruszyłem do Janowa Podlaskiego (Księżego), by się zaopatrzyć w konie, które postanowiłem zabrać z tamtejszej stajni rządowej, a zarazem, by przystąpić do unundurowania i wymusztrowania naszych szeregów. W Janowie przebyłem dni trzy. Oddział nasz wzrósł do tysiąca ludzi, i wtedy postanowiłem ruszyć na Białą, by ją zdobyć. Chciałem ze sobą powieść biskupa Beniamina Szymańskiego z Janowa, eks-kapucyna, lecz udał chorobę i odmówił; siłą go powlec nie chciałem, a szło mi głównie o wywarcie wrażeń na ludzie...

Wyszedłszy z Janowa, w drodze dowiedziałem się, że Majajew tegoż dnia wyszedł z wojskiem do Siedlec, zająłem więc Białą bez boju. Był to wieczór, miasto oświetlone, wszyscy mieszkańcy na ulicach, odwach zajęty przez Żydów, którzy urządzili straż miejską, przypiąwszy do czapek narodowe oznaki. Radość była wielka. Tak przeszła noc. Rano odbyło się nabożeństwo. Deputacye żydowskie zaprosiły mnie do synagogi, gdzie Żydzi składali przysięgę Rządowi Narodowemu. Podczas modlitwy trzymałem rękę na rodalach, a Żydzi, modląc się, wykrzykiwali moje nazwisko. Po tem odbyło się nabożeństwo w kościele, gdzie ks. Mleczek poświęcał sztandary nasze. Poprzednio wezwałem właścicieli ziemskich, by przybyli dla wyboru rządu narodowego, według udzielonej mi z Warszawy instrukcyi. W zarządzie powia-

towym mieli zasiadać: jeden włościanin, jeden Żyd, jeden mieszczanin, jeden ksiądz i trzech właścicieli ziemskich szlachty, licząc w to i drobną, razem siedmiu członków.

Istotnie zjechało się dosyć, był Buchowiecki luminarz powiatowy, lecz nie zjawił się Stanisław Aleksandrowicz. Zamiast wybrać znaczniejszych obywateli, właścicieli ziemskich z pomiędzy siebie, zebrani wybrali oficjalistów swoich, o których już dobrze wiedzieli, że do ruchu należą. Gdym zaczął wyrzucać im takie tełórzostwo, iż chcą się zasłaniać drugimi, jeden z pomiędzy nich Łojko z pod Piszczar, odezwał się: „Wybierajcie sami z pomiędzy siebie. My do partyi ruchu nie należymy i powstanie nic nas nie obchodzi!“ Krok taki smutne dla Łojki mógł spowodować następstwa. Już miałem dać rozkaz Radowickiemu, by Łojkę aresztował, gdy w tej chwili odebrałem zawiadomienie, że Rosyanie pod dowództwem generała Nostitza, w siedm rot piechoty, z jedną rotą saperów, dwiema armatami, wyszli z Brześcia, i nad wieczorem staną w Białej. W przewidywaniu bitwy, odłożyłem postanowienie co do Łojki, do następnego dnia i zebranie rozpuściłem.

Tak przeszło kilka godzin. Nad wieczorem pojawili się Rosyanie i rozlokowali się obozem na szosie, o trzy wiorsty od Białej, przy karczynie zwanej Białką. Jedną rotę piechoty i rotę saperów pozostawił gen. Nostitz u mostu na Krznie, by go naprawiać. Widząc, że nieprzyjaciel zamierza nocować, i dopiero następnego dnia uderzyć na nas, postanowiłem go uprzedzić, rozumiejąc, że lepiej ten zwykle wychodzi, kto napada, niż ten, kto się broni. Tak też zrobiłem. Zostawiwszy obóz w mieście, wyszedłem z oddziałem na Nostitza, o godzinie 10-ej wieczorem. Mogłem iść albo wprost po szosie, aż do karczmy, gdzie stał przeciwnik, przechodząc lasek, który go zasłaniał, lub też iść po drodze bocznej, prowadzącej do wsi Woskrzenice po za Białką leżącej. Wybrałem tę drugą. Nieprzyjaciel był rozlokowany na polanie, wprost karczmy, otoczonej niewielkim laskiem. Idąc równolegle, byliśmy od niego oddzieleni drobnymi krzakami. Gdyśmy podeszli i znaleźli się na jednej linii z nim, ujrzeliśmy rozłożone ognie nieprzyjacielskie. Wtedy obróciwszy front nasz przeciw nieprzyjacielowi, rozdzieliłem swoich w taki sposób: lewe nasze skrzydło pod dowództwem Szaniawskiego, a przy nim Czapińskiego, ludzi ze 230, nazaczyłem, by wyruszyło i zajęło szosę między Białką a mostem dla przecięcia komunikacyi między głównym obozem przeciwnika, a saperami i piechotą, zajętymi naprawą mostu. Z prawego skrzydła, oddzieliłem pięćdziesięciu strzelców pod dowódz-

ctwem Bogusławskiego, aby idąc równo z nami ku nieprzyjacielowi, odkryli fałszywy ogień od strony Białej, podszedłszy pod niego lasem. Tym sposobem sądziłem, że główną uwagę zwróce nieprzyjaciela na Białą; ja zaś w tę porę całą siłą reszty oddziału miałem uderzyć na nieprzyjaciela z boku.

IX.

Strzelcami idącymi na przedzie dowodził Wolamin; kosynierów prowadził Necki, kawalerję w 80 koni Radowicki; przy mnie byli Goliań i Pawłowicz. Zbliżamy się do nieprzyjaciela. Już go widzimy przy rozpalonych ogniskach. Bogusławski wyprzedzwszy nas na jakie 400-ta kroków, rozpoczął ogień. Nieprzyjaciel, jak oparzony, zaczął strzelać do lasu na oślep. Pospieszamy naprzód. Wolamin ze strzelcami zajmują rów szosowy naprzeciw polanki i rozpoczyna ogień. Necki z kosynierami zdobywa karcznię, z której wypiera nieprzyjaciela, bierze dwóch oficerów do niewoli, kilkunastu żołnierzy rani i zabija. Nieprzyjaciel cofa się na polankę. Trzeba było kosynierom przejść przez szosę, by wyforować z owej polanki wroga, wpędzić go w błota po za nim leżące, a wtedy bitwa byłaby wygraną. Idą naprzód — wprost nich stoją dwie armaty — nieprzyjaciel daje ognia kartaczami. Pada kilkunastu, a szlachta krzycząc „hura!“ cofa się ze szosy.

Necki zbiera rozpierchłych, porządkuje i znowu rusza na szosę, ale już nie z tym impetem. Tu znowu strzał kartaczami, znowu kilku pada, a reszta się cofa. Brakło wówczas podoficerów, którzyby rozumieli, że armaty straszne były przed wystrzałem tylko. Po wystrzałach można je było brać z łatwością. Ale na to trzeba żołnierza, a nie partyzanta, który przed paru dniami za broń chwycił. Widząc, że kosynierzy nie poradzą, (stracili zresztą i pierwszy zapal), zwracam się do Radowickiego:

— Adamie! — wołam — musimy wziąć te armaty, bo bitwę przegramy!

Mogliśmy tylko przejść pomiędzy karcznią a stodołą obok stojącą. Po bokach ogrody i ogrodzenia, tak że rozwiniętym szeregiem iść nie było można, a tu na domiar ciemno. Formuję szóstki i ruszamy z kopyta. W pierwszej szóstce Radowicki, ja, Pawłowicz i trzech żołnierzy. Wpadamy na szosę. Tu spotkał nas strzał armatni. Kartacz zabija mi konia. Ja padam choć nie ra-

niony, lecz koń przygniółł mi nogę. Nim się wydobyłem, pada strzał drugi—zamieszanie. Radowicki w przekonaniu, że ja zabity, cofa się, żołnierze za nim. Jeden z żołnierzy spostrzegłszy mnie na nogach, podaje mi swego konia. Siadam na koń lecz już chwila była stracona, tem więcej, że i po oddziale rozeszła się wieść, że ja zabity. Necki cofa się z kosynierami. Dostał widocznie jakiegoś obłądu, gdyż wśród zamieszania ucieka z pola bitwy i odtąd go już więcej niewidziałem (wiem tylko, że następnie poległ w jednej z bitew w lubelskiem).

Wolamin, choć powoli, lecz także wycofuje się, strzelając ciągle. Zbieram oddział tuż pod Białką; chciałem raz jeszcze powtórzyć atak, lecz było to trudno, z powodu zamętu. Na domiar złego, dano mi znać, że nieprzyjacielowi przyszły posiłki od mostu. Spotkał je wprawdzie Szaniawski, lecz zbyt słabo atakował i pozwolił im spełnić zadanie, tak, że siły gen. Nostitza na polance znacznie się powiększyły, a nasze osłabły. Gdyby pierwszy impet naszych kosynierów nie był powstrzymany przez armaty, to bardzo być może, że nieprzyjaciel byłby zmuszony cofnąć się, a wtedy mając takie błota po za sobą, jak w danym razie, zadalibyśmy porażkę niewątpliwą i to bardzo znaczną, bo błota te nie zamarzę, są grząskie i głębokie.

Postanowiłem więc wrócić do Białej, do miasta, by tam na nowo się zorganizować. Nostitz za mną nie poszedł i czekał dnia; to samo świadczy, że atak nasz był śmiały, i żeśmy byli dosyć silni. Ja, wróciwszy do miasta, oprócz przyprowadzenia oddziału do porządku, musiałem mieć na oku gen. Nostitza.

Była już godzina 12-ta w południe, a Nostitz się nie zjawił, gdyż jak się dowiedziałem, czekał na posiłki z Brześcia, które stamtąd podążały, co także dowodzi, że napad nasz miałby powodzenie, gdybyśmy choć trochę lepiej mogli być zorganizowani wojskowo. Nostitz widocznie uznawał naszą siłę.

Tymczasem Szaniawski niepowracał; niewiedziałem dobrze, co się z nim stało, a widząc, że trudno będzie z oddziałem moim uszczuplonym utrzymać się w Białej, zabrałem, co tylko było można z pozostałości po artyleryi, ładunków, mąki, owsa i wyruszyłem do Janowa w przewidywaniu, że tam spotkam Szaniawskiego, co też istotnie nastąpiło nazajutrz po wejściu do Janowa. W potyczce Szaniawskiego był ranny Czapiński i pozostał po drodze u jednego z obywateli tamtejszych. Jako trofea bitwy pozostali nam dwaj oficerowie, wzięci w karczmie przez kosynierów. Wieczorem po wyjściu naszym zajął Białą gen. Nostitz i tam pochował 140-tu zabitych żołnierzy i dwóch oficerów. Czynność tę mu-

sieci spełnić xx. Bazylianie, których kościół z ciałem św. Józefata biskupa znajdował się w Białej — dziś obrócony na cerkiew prawosławną.

W Janowie znowu byłem dni kilka, ucząc żołnierzy, szyjąc mundury dla strzelców, robiąc ładunki. Kawalerya zwiększyła się, tak, że było z górą sto koni. Żołnierz to był wcale nie zły. Miałem czterdziestu masztalerzy, ze stajni Janowskiej, którzy doskonałymi byli jeźdźcami; dalej z furmanów i młodzieży dobry oddziałik się sformował, a i Radowicki,—był to bardzo odważny, dający wszystkim dobry przykład, jeździec.

W Janowie odebrałem wiadomość o bitwie, choć nie wygranej, lecz bohaterskiej, stoczonej pod Węgrowem, pod wodzą Władysława Jabłonowskiego (przypisują ją mylnie Jankowi Sokolowi Matlińskiemu, który choć uczestniczył w owej bitwie, lecz dowódcą w niej nie był). Dowiedziałem się przytem, że po bitwie Węgrowskiej oddział przetrzymał się za Bug, przez Drohiczyn, i że za Bugiem zbierają się znaczne oddziały.

Ponieważ miałem rozporządzenie Komitetu Centralnego, by w razie nieutrzymania się na linii Warszawsko-Brzeskiej, przejść za Bug i tam rozniecić powstanie, postanowiłem przepłynąć się za Bug. Zbieram więc oddział, zabieram srebro z Janowa, różne puławy ze stajni rządowej wartości kilku tysięcy rubli. W chwili gdy obóz nasz wyszedł z miasta ku Niemirowu, dowiedziałem się od podjazdu wysłanego ku Białej, że gen. Nostitz dąży w kierunku Janowa i jest zaledwie o kilka wiorst. Cofając się więc ku Bugowi, byliśmy każdej chwili gotowi do bitwy. Do Niemirowa było siedm wiorst. Wojska gen. Nostitza przeszły Janów i podążyły za nami. Kozacy mieli za zadanie utrudniać nam pochód. Gen. Nostitz chciał widocznie spotkać się z nami na otwartym polu, i tam stoczyć bitwę, ja zaś dążyłem ku Bugowi. Odstrzelivając się kozakom, doszliśmy do Niemirowa.

Jest to wieś rozłożona po obu stronach Bugu, znana jako punkt graniczny trzech państw rozbiorowych. Brzeg Bugu dosyć stromy, zarosły łożyną; przed wsią kilka wzgórz. Na brzegu był jeden prom. Obóz zaczął się przepływać, a że miałem ze sto wozów,—bo koni wiodłem do tysiąca sztuk i mnóstwo prowizyi,—więc przeprawa odbywała się wolno. Postawiłem zatem oddział frontem do nieprzyjaciela, przed wsią, na lewem skrzydle na wzgórzu stanęła kawalerya Radowickiego, środek zajęli strzelcy z Wołami-nem, na prawem skrzydle, część strzelców z Szaniawskim, po za nimi kosynierzy z Golianem.

Kozacy zaczęli natarczywie atakować strzelców, by gen. Nostitz mógł nadciągnąć z piechotą i artylerją. Posyłam rozkaz Radowickiemu, by rozpędził kozaków. Ten w jednej chwili wyciąga kolumnę szóstkami i rusza z kopyta na kozaków. Atak był dzielny, lecz przyznać trzeba, że i kozacy nie stehórzyli. Essauła ich rozwinął szereg jak zwykle, w pół-księżyc tatarski. Chciał widocznie naszych otoczyć, lecz gdy się zbiegli do siebie, wypadło to, co tylko może się zdarzać w oddziałach powstańczych, nie z żołnierzami wyćwiczonemi: stanęli, jak wkopani w ziemię naprzeciw i tylko pył ich otoczył od kopyt końskich zarytych w ziemię. Wtedy Szaniawski będąc bliżej, wyskoczył naprzód ku nim, i w drodze wystrzelił z pistoletu ku kozakom. Był to sygnał zaczepny, nasi uderzyli i bitwa trwała nie więcej, jak minut dwadzieścia. Przewaga była po stronie naszych jeźdźców, gdyż mieli konie rosłe, a gdy który uderzył o konia kozackiego, ten padał a kozak z nim. Trzydzieści trzy konie pozostało w rękach naszych, kilkunastu rannych kozaków legło na placu. Essaułę zabił jeden z masztalerzy, choć sam był przez niego ranny w brodę, a prócz tego, od kozaka lancą dostał w udo. Wytrzymał to, przepłynął jeszcze wpływ rzekę i dopiero po drugiej stronie zsiadł z konia, by poddać się opatrunkowi. To jeden z tych, co się rodzą odważnymi. Naszych było także kilku rannych, żaden jednak nie zginął. Do utarczki na bagnety nie przyszło, strzałami nas tylko z oddala prażyli przeciwnicy. Przeprawiwszy obóz za Bug, przeprawialiśmy się kolejno i sami. Kawalerya przeszła wpływ, obsypywana granatami. Gdy ostatni pluton strzelców wsiadł na prom, ja z Wolaminem łódką przepłynęliśmy rzekę. Podano mi konia. Wydałem rozkaz, by na probostwie wszyscy się zbierali. Wolaminowi zaś poleciłem pilnować brzegu, wyciągnąć prom na brzeg i przedziurawić go. Lecz zaledwie siadłem na koń, gdy błędna jakaś kula uderza Wolamina w czoło i kładzie go trupem.

Była to dla nas strata niemata. Energiczny i śmiały bardzo—w pierwszej bitwie pod Białką dał tego dowody—przez cały czas bitwy stał na szosie, przy rowie, w którym nasi klęcząc strzelali. Wyszedł podziurawiony, jak rzeszoto od kul, żadna go nie trąciła, a tu, po bitwie, dziwnym trafem, padł od błędnej kuli! Gdy taki jeden ginie, to giną z nim tysiące!

Cześć Twej pamięci bracie Baltazarze Wolaminie! Pochowaliśmy go na drugi dzień, po nabożeństwie w Niemirowie. Strzały dochodziły do nas, nawet granaty pękały. Owi dwaj oficerowie rosyjscy, wzięci przez nas do niewoli pod Białką, głowy przedowymi granatami zakrywali płaszczami, by nie patrzeć się na

śmierć od kul własnych żołnierzy. To śmieszyło naszych, bo sami już się z tem obyli, i na te granaty nie zwracali uwagi. Tak noc przeszła. Odpoczynek — chowanie Wolamina.

Rankiem ruszamy ku Wysokiemu-Litewskiemu o wiorst siedm zatrzymujemy się obozem we wsi należącej do Ponikowickich. Na drugi dzień w kilkanaście koni, jadę do Wysokiego do Sapielhy, właściciela tego majątku. Zastaję go—błagam, by przyjął dowództwo, by się poświęcił dla sprawy, by stanął na czele oddziału tysiąca ludzi, który już dwa razy był w ogniu i jest pełen ducha, i że na jego jedno odezwanie się cała Litwa powstanie.

Nie to nie pomogło. Nie był to, niestety, potomek owych Sapielów, co szablice mieli w obronie kraju, zawsze do walki gotowe. Dał nam tylko sześć koni, dwie dubeltówki i 250 rb. pieniędzy. Oto ofiara, jaką złożył dla sprawy—z tem wróciłem do obozu.

X.

Dowiedziawszy się, że w Siemiatyczach, o 35 wiorst odległych, zebrany jest oddział powstańczy, niewiadomo pod czyjem dowództwem i jakiej siły liczebnej, posłałem do Siemiatycz list tej treści: „Naczelnik oddziału Podlaskiego, wzywa dowódcę oddziału w Siemiatyczach, by bezzwłocznie przybył z tym oddziałem, dla wspólnego dalszego działania.“ (podpis, oraz pieczęć, i podpis naczelnika sztabu Goliana).

Gdyby mnie był posłuchał ów dowódzca. być może, że i następstwa byłyby pomyślniejsze dla nas, gdyż zamiarem moim było iść na Białowieżę, siedlisko żubrów, lecz i ludu, co paniętał jeszcze rok 1830.

Nieszczęście mieć chciało, że w Siemiatyczach dowodził człowiek zarozumiały, wypadkowo jedynie narzucony na dowódcę, jakiś budowniczy z Łap. Zebrało się tam dużo młodzieży z Warszawy i okolicznej szlachty, bez wodza. Ten się im narzucił, błagą zaimponował i poprowadził do Siemiatycz. Fanfaronada, z jaką traktował powstanie, dostatecznie ujawniła się w liście przezeń do mnie, przywiezionym przez Juliana Chodorowicza, mego kolegę szkolnego. Odpowiedź ta brzmiała: „Naczelnny wódz armii podlaskiej, wzywa niniejszym naczelnika oddziału podlaskiego, by niezwłocznie zjawił się w Siemiatyczach, w głównej kwaterze, dla wspólnego działania.“ (podpis Zameczek vel Cihorski, naczelnik sztabu Seyfryd).

Odpowiedź taka zdziwiła mnie niepomieranie. Na zapytanie moje uczynione Chodorowiczowi: Ilu was jest? Co robicie? odpowiedział mi, że zapewne jest ich ze trzy tysiące ludzi, że szyją mundury i robią pancerze dla ułanów. „Nasz generał, nadmienił, ma już śliczny mundur, z ogromną wstęgą na piersiach, i dla tego przystań do nas, bo źle będzie.“

Zawahałem się i choć mogłem skorzystać z praw moich, jako komisarz rządowy, i iść tam, gdziebym chciał, jednakże miłując kraj i sprawę, której się oddałem, pominąłem względy osobiste i w nadziei, że oddział pozostanie mi posłusznym i że będę miał przewagę nad tą gromadą, poszedłem do Siemiatycz.

Miałem do przebycia 35 wiorst, z oddziałem 900 ludzi i stu wozów — przeprawa nie była łatwą. Był już wieczór, gdy się zatrzymał na nocleg o 10 wiorst od Siemiatycz, w karczmie przy drodze.

Zaledwie się zacząłem rozlokowywać, gdy usłyszałem huk strzału armatniego. Domyśliłem się, że to hasło do boju w Siemiatyczach. Dziesięć wiorst przebiecz po nocy z tysiącem ludzi, powstańcem, a nie wyćwiczonym żołnierzem, było rzeczą niemożliwą, więc skrepowany w działaniu, posłałem tych tylko, co zdążyć mogli: Radowickiego z kawaleryą i Goliana z nimi. Ci wpadli do miasta, w chwili gdy nieprzyjaciel zeń się wycofywał.

Zanim opiszę ów nocny napad, wypada mi zatrzymać się na topografii Siemiatycz.

Miasto leży na drodze prowadzącej do Bugu, pomiędzy Drohiczynem a Bielskiem i dalej Białymstokiem, po nad szerokimi błotami. Idąc zaś od Wysokiego-Litewskiego, trzeba przebyć błota i rzeczkę mostem, przez nie rzuconym, a prowadzącym wprost na rynek, z którego na lewo idzie aleja, prowadząca do pałacu i fabryk sukna, które tam wtedy były, a dalej droga do Drohiczyzna. Po prawej zaś stronie rynku, na drodze ku Bielskowi, stały dwa kościoły: katolicki i unicki, następnie dwa ementarze, otoczone murem. Po za ementarzami rozciągają się owe wzmiankowane błota szeroką przestrzenią. Na rynku była podówczas duża murowana karczma, a od strony Wysokiego-Litewskiego, przed błotami, wielki drewniany szpital, z kilku pawilonów złożony, w tę porę pusty. Miasto całe należało, jako donacya, do barona Fanshawe (Fencza).

Dodwódzca Zameczek stał już w Siemiatyczach od dni dziesięciu, zabawiając się szyciem mundurów i robieniem pancerzy z blachy, obszytych ceratą. Otoczył się kilkudziesięciu młodymi ludźmi, których nazwał swoim sztabem, tworzył oficerów, nieumie-

jących być żołnierzami, tem mniej zaś zdolnymi do kierowania wojskiem i demoralizował swą błagą ów zapal młodzieńczy. O tem: gdzie przeciwnik? co robi? najmniejszego nie miał wyobrażenia. Żadnych wart, żadnych podjazdów!

Dla tego też, gdy Rosyanie z Bielska przyszli do miasta i byli już na rynku, młodzież rozłokowana po domach dopiero ich spostrzegła i zaczęła z okien dawać strzały na oślep. Ciemna noc i rana zadana pułkownikowi prowadzącemu nieprzyjaciela, zmusiły tego ostatniego do odwrotu. Wtedy młodzież bez przywódcy, zagrzana tem powodzeniem, wybiega za cofającym się na pole i rusza wprost na armaty! Następuje strzał, kilku naszych pada, inni cofają się—i nie widzą, że Rosyanie, oszołomie ni śpiewem: „Jeszcze Polska nie zginęła!“ cofają się także, pozostawiając armaty, aż do świtu.

Rano Zameczek zamierzył wycofać się z miasta, wysłał obóz z kawaleryą do Drohiczyna, pod dowództwem Plucińskiego, naczelnika stacyi kolei na Pradze, a choć wiedział od Radowickiego, że jestem od niego o 10 wiorst, nie wstrzymał wysyłki kawaleryi w 200 koni, czem nie mało osłabił oddział.

Radowicki wraca z raportem, że wroga już nie zastał, przybywa z nim Seyfryd, naczelnik sztabu Zameczka, ten, który wyjechał z Zygmuntem Padlewskim z Warszawy, człowiek, jak się później okazało, małej odwagi, a zarozumiałości wielkiej. Seyfryd powrócił zaraz do Siemiatycz, więc wiedział Zameczek, z jakim idę oddziałem i że rano się stawię. To go jednakże nie powstrzymało od myśli wycofania się z Siemiatycz.

XI.

Godzina 8 rano: podchodzę do Siemiatycz i zajmuję szpitala, rozbijam obóz i rozdaję wszystkie ładunki, jakie miałem, strzelcom swoim, którzy tylko wyczekiwali chwili spotkania się z nieprzyjacielem. Zjawia się u mnie Jan Matliński z kilku jeźdźcami (Janek Sokół). Przyjechał od Jabłonowskiego, który stał z obozem w 800 ludzi o sześć wiorst od Siemiatycz. Po bitwie pod Węgrowem przeprowił się także za Bug. Posyłam więc rozkaz Jabłonowskiemu, by niezwłocznie przybył, gdyż bitwa spodziewana lada chwila. W takim razie niech uderza z tyłu (gdyż tak właśnie stał względnie do nieprzyjaciela). Z takim rozkazem Matliński pojechał, a ja byłem pewny, że za dwie godziny najdłużej nadejdą oczekiwane posiłki. Rozłokowawszy oddział, pojechałem

do miasta, wjeżdżam na rynek, gdy z drugiej strony wchodzi do miasta w 400 ludzi Lewandowski, który po nieudanej wyprawie na Siedlce, także przeprawił się za Bug; był przy nim doktor Czarkowski z Łosic, o którym już wspominałem. Tak więc zebrała się naszych gromada. Zsiadam z konia i wchodzę do karczmy, gdzie była kwatera owego naczelnego wodza „armii Podlaskiej,” Zameczka.

W izbie karczemnej, przepelnionej dymem tytoniu, zastaję z 50-ciu młodych ludzi, w jaskrawych ubraniach, niektórzy w mundurach ułańskich z blachami na piersiach, a pod oknem wodza z czarną brodą, w białej czapce z czerwonym lampasem, w ciemnozielonym mundurze z czerwonym kołnierzem, z ogromną wstęgą niebieską przez piersi. Był to Zameczek.

Na moje zapytanie, co oznacza to zebranie? jeden z młodzieńców odrzekł, że to sztab generała.

Rozdrażniony tem zwracam się do Radowickiego, przy którym stali: Golian, Szaniawski i Lewandowski, i rozkazuję:

— Wypraw ich wszystkich do szeregów! Żołnierzy nam trzeba, a nie sztabowców!

Usłyszałem szemranie, lecz gdy Radowicki zakomenderował do swoich, którzy stali przed karczmą: „Z koni!” — wszyscy opuścili karcznę. Wtedy dopiero nastąpiła żywa między mną a Zameczkiem rozmowa. Wystąpiłem jako komisarz rządowy, przedstawiłem Lewandowskiego, jako głównego dowódcę, wyznaczonego przez Rząd Narodowy dla województwa Podlaskiego. Zameczek ustąpił, choć z wielkiem niezadowoleniem. Wyjeżdżamy za miasto, obejrzeć pozycję i naradzić się nad obroną. Nie było wiele czasu do stracenia. Przez lunetę spostrześliśmy o kilka wiorst zbliżające się kolumny nieprzyjacielskie.

Stało na tem, że Zameczek ze swemi siłami, zajmie stronę miasta od Bielska, skąd dążył nieprzyjaciel, umocowawszy strzelców na cmentarzach, po za których murem stanęli jego kosynierzy. Środek miasta, rynek, zajmie Lewandowski ze swoim oddziałem, ja zaś mam zająć lewe skrzydło miasta — pałac. Czasu na to zaledwie chwila pozostawała, bo nieprzyjaciel, szybkim krokiem następował.

Pędzę więc do obozu. Oddaję dowództwo nad kosynierami Golianowi, część strzelców Szaniawskiemu, nad resztą sam biorę komendę i prowadzę ich przez miasto, rynek, aleje, do pałacu. To była trzecia nasza bitwa—żołnierz już trochę ostrzelany, więc sśliśmy ochoczo i w porządku, a gdy wpadliśmy na rynek, oddział Lewandowskiego powitał nas salwą oklasków i okrzykami: niech

żyją! Biegniemy do pałacu, zajmujemy go. Szaniawski staje na brzegu miasta, pomiędzy mną a Lewandowskim, by utrzymać komunikację, Radowski z kawaleryą w alei, a Golian po za murami pałacu ze swymi kosynierami.

Zamiar nasz był następujący: jeśli się uda odbić atak nieprzyjaciela od miasta i zmusić go do odwrotu, to korzystając z jego zamieszania, całą siłą naszych kosynierów uderzyć na niego już na czystem polu, bo kosynier w ciasnym miejscu, nie mógł działać, nie miał rozmachu dla swej kosa. Liczyłem na nasz zapal i na popłoch przeciwnika, gdy z tyłu nań uderzy Jabłonowski, o którym nic nie wiedział. Szło o to tylko, by zwycięsko odeprzeć atak! Rosyanie zbliżyli się, okolili miasto, i zaczęli pod nie podchodzić rozwiniętym łańcuchem, wystawiwszy działo na lewe nasze skrzydło, na pałac.

Wtedy spostrzegłem, że ich siły znaczne, gdyż jak się okazało przyszedł im w pomoc generał Maniukin z Białegostoku, tak, że siły ich stanowiły, jak to później się dowiedziałem, dwa bataliony piechoty, dwa szwadrony ułanów, sześć armat i dwie seciny kozaków. To siła poważna, tem bardziej przeciw nam powstańcom. Liczebnie może i dorównywaliśmy im, lecz broń nasza była mizerna, żadnej znajomości walczenia w żołnierzach, co osłabiało naszą energię i odwagę; a przytem czasu było za mało, byśmy mogli się sami poznać, zabezpieczyć od nieprzyjaciela, rozlokować tak strzelców, żeby nie będąc narażeni na pociski, mogli wyczekiwać zbliżenia się nieprzyjaciela na dystans naszych strzałów z dubeltówek. Dowódcy tylko właściwie nie było; każdy z nas musiał działać na własną rękę, co w większej bitwie, jest błędem strasznym, ale tu czasu nie było myśleć o taktyce wojennej i trzeba było stawać do boju!

Strzał armatni! Granat padł na dach pałacu, gruz posypał się na głowy nasze i zaczęła się bitwa. Rosyanie ruszyli do ataku, posuwając się ku nam rozwiniętym szeregiem, kule karabinowe zaczęły świstać, granaty pękać nad głowami, my zaś musieliśmy czekać, aż się nieprzyjaciel zbliży na metę naszych dubeltówek, by odstrzeliwać się bezskutecznie. Trzeba było być starym żołnierzem, żeby dostać na miejscu, nie powstańcem, który od kilku dni zaledwie chwycił za broń.

Rosyanie podeszli na strzał nasz; dajemy i my ognia, celując dobrze; na atakujących wysunęli się kosynierzy, i można powiedzieć, że uderzyli dobrze, bo wróg się na chwilę zmieszał i cofnął, ale i nasi kosynierzy musieli wrócić po za pałac, by nie być wystawionymi na strzały, na które nie było czem odpowia-

dać, bo nasze dubeltówki nie mogły ich osiągnąć. Chciałem się przekonać, co się na całej linii dzieje, lecz dym nie pozwalał tego rozpatrzyć. Posyłam do Szaniawskiego, by się dowiedzieć jak idzie obrona, gdy wtem wpada Radowicki z wiadomością, że prawe skrzydło nasze, Zameczek, cofnął się, wyparowany z cmentarzy przez piechotę nieprzyjacielską i że wróg zbliża się do rynku. Tak, Zameczek cofnął się, nie uległszy sile, lecz wprost stchórzywszy, nieumiejąc przytem dowodzić i zachęcić do walki, i tem zgubił cały oddział, bo cofając się przez błota, masę, daremnie wystrzelanych, wytracił.

Tymczasem Szaniawski ze swymi strzelcami, odbija strzelców rosyjskich, cofają się oni dwukrotnie przed jego strzałami, lecz nas zasypują gradem kul armatnich i karabinowych, nie podchodząc wcale pod nasze strzały. Trwa ta nierówna walka godzinę całą! Nieprzyjaciel znów zbiera się do ataku, skierowanego na prawe nasze skrzydło i idzie wprost na rynek, gdzie stał Lewandowski. Nowy goniec od niego: „Cofam się, bo nas okrażają i ataku nie wytrzymam!“—cały zastęp nieprzyjaciela przed nami.

Strzelcy nasi na klęczkach po za sztachetami pałacu, strzelają mierząc dobrze i tem zapęd atakujących powstrzymują.

Wtem Radowicki wpada z wiadomością, że wróg już na rynku, że Lewandowski cofnął się, i co robić, pyta? Ha! musieliśmy się z rozpaczą cofnąć i ruszyć do obozu, by go kozacy nie dosięgli. Rzeczywiście czas był wielki. Radowicki pędem przebiega rynek, most, i wpada do obozu, gdy z drugiej strony już kozacy zdołali odciąć konie od paru wózków. Radowicki obóz odbija, zabiera go i prowadzi na drogę, po której przyszliśmy. Ja tymczasem, posyłam do Szaniawskiego, by zasłaniał nasz odwrót, i zbieram oddział. „Chłopczy! wołam, cofamy się, ale krok za krokiem, strzelając!“ Tym sposobem zasłaniamy kosynierów, idących naprzód z Golianem.

Wchodzimy na rynek; po jednej stronie nieprzyjaciel, po drugiej my, strzelając do siebie, wchodzimy na most. Tu w ściśniętej kolumnie kilkunastu z nas pada od strzałów nieprzyjacielskich. Dążymy na drogę po za miasto. Szaniawski ostatni wycofuje się bokiem, i dąży także za nami, a miasto objęte dymem i ogniem od strzałów zapala się, i oświeca nam złowrogo drogę odwrotu.

Rozpacz i gniew miota nami, że trzeba się cofnąć, gdy rano jeszcze tak pewni byliśmy zwycięstwa! Zameczek dał się wybić z pozycyi; Jabłonowski nie zdążył przybyć, lecz, jak się okazało, podszedł już po bitwie ku Siemiatyczom, co dla nas wtedy nie miało

znaczenia, więc i sam się cofnął. Wł. Jabłonowski, odtąd ustąpił z pola działań — przynajmniej o jego oddziale samodzielnym nic nie wiem. Wyszedłszy za granicę, zamieszkał w Turcyi, i przed paru laty tam umarł.

Bitwy Siemiatyckiej mogliśmy nie wygrać, bo nieprzyjaciel był silniejszy od nas, ale nie bylibyśmy tak rozbici, gdyby nie niedołęstwo Zameczka, nieznamość jego najprostszej taktyki wojennej; — dziesięć dni przebył w Siemiatyczach, a żadnego przygotowania do boju nie robił, jakby to był punkt zabawy, a nie obóz, który umocowany trudniejszy byłby do zdobycia. Myśmy z Lewandowskim przybyli na godzinę przed bitwą, więc tylko bić się mogliśmy, zresztą głowy położyć, bez odpowiedzialności za bitwę samą.

XII.

Przegrana Siemiatycka musiała bardzo ujemnie oddziać na rozwój powstania w gubernii grodzieńskiej. Ja zostałem bez ładunków, zaledwie po parę sztuk mieli strzelcy. Mieliśmy wprawdzie jeszcze proch, lecz trzeba było czasu, aby ładunki przygotować, a żołnierz łaknął odpoczynku, po dwóch dobach głodu i zmęczenia. Zatrzymuję się w karczmie, na drodze do Wysokiego Litewskiego, na nocleg, w której już poprzednio byłem. Tu zastaję Lewandowskiego, z częścią rozbitków Zameczka, który wraz z Seyfrydem, gotów był do ucieczki. Gdy nas spostrzegli, pędem się puścili ku Bugowi, i odtąd ich więcej nie widziałem. Załuję tylko, że nie mogłem ich rozstrzelać. Dowiedziałem się później, że dopadli do Drohiczyna, tam z obozem wprzód wysłanym poszli dalej, że Zameczek, przystawszy do oddziału Zygmunta Padlewskiego, znowu stchórzył i przyczynił się do przegranej. Co się stało z Zameczkiem, nie wiem. Zapewne przestał się tak nazywać, ale w powstaniu, po przegranej bitwie Padlewskiego już nie występował. Błaga jego na tem się skończyła. Seyfryd dobił się dowództwa w Województwie Mazowieckiem, lecz kto mu dał tę godność, także nie wiem. Wiem tylko, że w pamiętnej bitwie, w której zginął Jung de Blankenheim, a Włodek ledwie część oddziału wyratował (w maju 1863 r.), Seyfryd nędznie się popisał, wycofał się ze środka, i tem pozwolił nieprzyjacielowi otoczyć jednego i drugiego. Miał być za to rozstrzelany wyrokiem rządu Narodowego, lecz wskutek słabości komisarza rządowego, który

wyrok miał wykonać, zdegradowany jedynie został, pozbawiony dowództwa, i okryty hańbą wyszedł za granicę.

Przenocowawszy w karczmie, zebrawszy swój oddział i resztki innych, ruszyłem napowrót ku Wysokiemu-Litewskiemu, by przerzucić się albo napowrót w Podlaskie, lub iść do Białowieży, gdzie mnie coś ciągnęło. Najgłówniejszą myślą moją było: przerzucić powstanie na Litwę, by obszar ruchu był większy, a tem samem i trudniejszy do stłumienia. Przed wieczorem, na kilka wiorst przed majątkiem Ponikwickich, skąd wyruszyłem do Siemiatycz, dowiaduję się, że Rosyanie pod dowództwem gen. Nostitza tam biwakują. Byłem w pozycji nie do pozazdroszczenia, bo ani czem atakować, ani też czem się bronić. Wpłynęło to na mój marsz ku Białowieży. Schodzę z drogi i zatrzymuję się wkrótce, o trzy wiorsty od gen. Nostitza, tak, że tylko niewielkie błota, i brzezina nas rozdzielały, a pikiety mogły ze sobą rozmawiać. Rozbiwszy obóz na przedce robimy ładunki, wyczekując łada chwila nadejścia Nostitza. Lecz ten dwa razy już się z nami potykał, więc liczył, że znowu na niego uderzę. Przytem, jak się okazało, nie wiedział jeszcze o naszej porażce, był pewnym, że ja zebrawszy siły Siemiatyckie, powróciłem, by go atakować. Tak staliśmy wprost siebie blisko dobie. Ja, odpoczywałem i zbroiłem się, oczekując napadu, on tegoż samego oczekiwał z mojej strony.

Tutaj to właśnie zawiązała się jakby pierwsza moja znajomość z gen. Nostitzem. Odbieram kartkę od p. Ponikwickiej, że były oficer armii rosyjskiej, niejaki Janiszewski, Tatar z pod Białej, który był u mnie w oddziale, a ranny pod Niemirowem, w powrocie do domu, wzięty został przez gen. Nostitza, jest u niego i jako oficer, będzie zapewne rozstrzelany, bo już wtedy rząd taką odezwę ogłosił. Ja zaś miałem u siebie dwóch oficerów, wziętych pod Białką do niewoli. Na taką wiadomość powziąłem myśl, zaproponować gen. Nostitzowi zamianę. Sadzam więc na brykę jednego z tych oficerów, kosyniera na kozioł i posyłam do generała z listem: „Jenerale proponuję zamianę, wypuść Janiszewskiego, a odeszłę Ci drugiego oficera. Jeśli nie, to rozstrzelam!“ W parę godzin wraca oficer, przywozi list od Janiszewskiego, że jest wolny, że jedzie do domu i kartkę Nostitza w tych słowach: „Proszę dotrzymać słowa!...“ Ma się rozumieć, że dotrzymałem. Sadzam drugiego oficera na brykę i odsyłam obu. Kosynier z bryką powrócił, odwiózłszy jeńców do obozu.

Była to, jak powiadam, pierwsza moja listowna znajomość z gen. Nostitzem, która później, dla mnie miała bardzo ważne następstwa.

Doba prawie przeszła, jak patrzyliśmy sobie w oczy. Ja nie mogłem zebrać sił, by być pewnym wygranej, więc postanowiłem ruszyć ku Białowieży, krainy żubrów, i tych strzelców, co jeszcze rok 30 pamiętali. Zwinąłem więc obóz i ruszyłem ku puszczy.

Na noc dotarłem do wsi p. Śnieżko. W domu go nie zastałem; przyjechał dopiero w nocy: był on jakimś urzędnikiem ziemskim. Był wdowcem i miał ładnego chłopca, wieku lat 12—14-tu. Tu u Śnieżki chciałem zdać główne dowództwo Lewandowskiemu, jako wyznaczonemu przez rząd Narodowy, by dać przykład posłuszeństwa. Lecz wszyscy co byli ze mną od początku, jak również i inni, jak doktor Czarkowski, powstali przeciw temu, prosząc, bym ich prowadził i nadal. Nad ranem poprowadziłem oddział w stronę puszczy. Nostitz, spostrzegłszy, żeśmy wyruszyli bez atakowania jego wojska, wyruszył za nami, tak, że wieczorem po naszym wyjściu, nadszedł do Śnieżki. Kozacy jego wpadli naprzód w dziedziniec. Przed domem spotykają kucharza Śnieżki, który, ujrawszy ich, wystrzelił jakoby do nich. Śnieżko wypadł na dziedziniec, chcąc zażegnać burzę. Wtedy jeden z kozaków uderzył go pałaszem i na miejscu trupem położył. Wszczął się alarm. Wojsko podchodzi, strzelanina na oślep z armat, pałą wieś i niszczą majątek. W jednej chwili młody Śnieżko utracił ojca i mienie! (Jest to późniejszy Śnieżko, znany ze sprawy denucjacji przeciw T-wu kredytowemu i uwolniony wyrokiem sądu! Obecnie w głębi Rosji na służbie rządowej).

Zaledwie weszliśmy do puszczy, gdy Lewandowski nagle oświadczył, że dalej nie pójdzie, że musi wracać za Bug, do Korony, gdyż tam przeznaczony jest na dowódcę.

Nic nie pomogły rozumowania — Lewandowski, jako stary oficer, nie pojmował zadania partyzanta, że trzeba działać na jak-największej przestrzeni; nie rozumiał, że tworzyć armii niemożliśmy, bo nie było i czasu i terenu wolnego, że tylko przerzucaniem się z miejsca na miejsce, niespodziewanymi napadami, mogliśmy osłabiać i demoralizować przeciwnika, i tem wywołać być może interwencję państw obcych, a przy nich wtedy i armię stworzyć. Lewandowski nie był partyzantem, przez co działanie nasze osłabił. Dostawszy się do Białowieży z całym oddziałem, można było poruszyć lud tamtejszy, i stworzyć oddział bardzo silny, który mógłby zaważyć na korzyść naszą w pierwszej tej chwili ruchu.

Chciał wracać koniecznie. Nie chcąc szerzyć rozdzielenia, oznajmiłem oddziałowi, że go zwalniam od dalszego pochodu, lecz że dywersja jest potrzebna, przeto wzywam młodzież na ocho-

tnika ze sobą. Zapowiedziałem, że biore tylko strzelców, bo w lasach Litewskich kosa nieprzydatna.

Stało wtedy przy mnie 150 młodych ludzi, część Litwinów z pod Siemiatycz z Bronisławem Ryłskim i Saginem, rzadczą mątką z pod Siemiatycz. Resztę stanowili ci, którzy byli ze mną od pierwszej nocy powstania. A że wiedziałem, iż generał Nostitz idzie za nami, więc zaraz z ową młodzieżą wyruszyłem, zabrawszy ze sobą parę wozów, jeden z nich z amunicją, drugi ze srebrem, zabranem w Janowie.

Były to przeważnie pułhary, wartości kilku tysięcy rubli.

Wyruszyłem zaraz, by zmylić za sobą pościg Nostitza. Inaczej się jednak stało! Wszedłszy do puszczy, wziąłem jednego ze strażników granicznych, by nas prowadził. Przewodnik ów widział, żeśmy się rozdzielili, po moim odejściu uciekł od Lewandowskiego, wpadł na Nostitza, i opowiedział mu, że ja (to jest ten, co był w koszuli czerwonej garybaldowskiej), poszedłem do Strażnicy „Królowy-Mostem“ zwanej, reszta zaś powróciła do Królestwa. Widocznie uważał mnie gen. Nostitz za ważniejszego przeciwnika, gdyż przepuścił obok siebie Lewandowskiego, który swobodnie przeprawił się za Bug, a poszedł za mną z dwoma batalionami piechoty, dwiema armatami i kozactwem.

Nocujemy w Strażnicy na brzegu puszczy. Rozdzielają nas od niej błota i kanał przerżnięty, na którym ów most zbudowany. Porządkuję oddział, wyznaczając oficerów, podoficerów, i dzielę go na sekeye. Była to dzielna młodzież, gotowa na wszystko, ostrzelana już trochę, więc łatwo byłoby pomieścić między nią nowych żołnierzy. Nad ranem przyjeżdża niejaki Tołoczko, mieszkający nieopodal, i oznajmia, że zostawił Rosyan o dziesięć wiorst za nami. Rzeczywiście nie przeszła godzina, gdy strzał pikiety, daje znać, że nieprzyjaciel nadciąga. Stajemy do broni. Widzę, że nieprzyjaciel chce nas otoczyć, i że się rozwija w łańcuch, by nam przeciąć drogę do lasu. Trzeba było przejść groble i most. Wychodzimy łańcuchem. Zaczyna się kanonada. Dwa bataliony dały do nas ognia, byliśmy o dziesięćkroć słabsi, więc cofamy się strzelając. Tracimy kilkunastu na owej grobli, wchodzimy do lasu, na którego skraju zatrzymujemy się. Tak przetrwaliśmy kilka godzin, wypatrując, co zamierzają Rosyanie, by do tego się zastosować.

XIII.

Kozactwo i żołnierze wpadłszy za nami do Strażnicy, do domu w którym nocowaliśmy, na dziedzińcu spostrzegli owe dwa wozy i leżące na nich kufry. Rozbili pierwszy, a gdy ujrzeli srebra rabować je poczęli. Od strzałów zapaliła się słoma, stąd pożar. Rozbijają drugi kufer, ale tam był umieszczony proch. Następuje eksplozja, kilkunastu ranionych i zabitych pada. Darmo nam przynajmniej prochu nie zabrali!

Widzę, że Nostitz wysłał oddział drogą do Białowieży i dla tego nie idę w głąb, lecz brzegiem puszczy, by się oddalić od przeciwnika i zyskać na czasie. Nocujemy w puszczy—rano wychodzimy z niej, na skraju kilka chat strzeleckich, w których dowiaduję się, że Nostitz z całym oddziałem ruszył ku Białowieży, licząc, że i ja tam się udałem, skąd rozsyłał strzelców, by mnie wyśledzić; poszliśmy więc w przeciwną stronę; zyskałem przez to na czasie. Odpoczywamy—o wiorst dziesięć mamy przed sobą miasteczko Szereszew, do którego późnym wieczorem wchodzi. Jest to już powiat Prużański. Miasto Prużany jeszcze o wiorst dziesięć dalej leży.

Byliśmy głodni, dobrze obdarci i znów bez ładunków i prochu. Szereszew nadspodziewanie dał nam wszystkiego poddostatkiem: butów, bielizny i jada obficie. Całe miasteczko na wyścigi się zbiegło, by nas nakarmić, a żydzi dostarczyli reszty: gdym im zapowiedział, że płacę gotówką, dali nam to, czego najwięcej było potrzeba: prochu, ładunków i pistonów do karabinów mnóstwo. Prochu samego kupiłem dziesięć pudów. Tak więc znów było czem strzelać. Zeszło kilka godzin na robieniu ładunków do fuzyj. Tu dowiaduję się, że w Prużanach stoi załoga inwalidów 250 ludzi, w koszarach murowanych wśród miasta. Trzeba było dać znak życia i pomścić się za Królowy-Most. Wezwałem mieszczan, by nam czempredzej zaprzęgli wózki. W godzinę byliśmy już w drodze do Prużan. Pod Prużanami jeszcze z godzinę zaczekaliśmy u niejakiego obywatela Korsaka, aż świt się zacznie. Nareszcie świt. Wpadamy do sennego jeszcze miasta, podjeżdżamy wprost do koszar. Ja na pierwszym wózku. Żołnierz na warcie. Stajemy, by nie strzelił i nie dał sygnału, skoczyłem z wozu, i sztyletem powaliłem go na ziemię. Wpadamy do koszar na kurytarz—dwie olbrzymie po bokach sale, gdzie leży półsenne żołdactwo. Kilkanaście strzałów od środka—i wszystko się poddaje, a choć ich było dwa razy tyle, co nas, stoją jak barany w pokorze.

Zawsze bywa zwycięstwo po stronie śmielszego, szczególnie partyzanta, który nie liczy przeciwnika, lecz zawsze uderza.

Wynoszą nam na wozy całą broń i amunicję. Stąd idziemy do kasy miejskiej. Tu zabieram całą gotowiznę 12 tysięcy i najskrupulatniej kwituję kasyera, nie zabierając wszakże pieniędzy wdów i sierot tamże złożonych. Następnie rozbrajamy odwach więzienny, broń zabieramy, a wszystkich zabranych żołnierzy wypuszczam na wolność, gdyż nie miałem co robić z jeńcami.

W południe wychodzę z Prużan, skąd tylko dwóch ochotników przystało do nas, bo Prużany, jak zresztą i cała ta przestrzeń, którą przechodziłem, były w uśpieniu, i dopiero za naszym głosem podnosiły się, otrząsały z tego odrętwienia, w jakim były od 1830 roku. Z Prużan kieruję się ku Kobryniowi, chciałem się przetrzucić na Wołyń, by zaś zmylić ślady za sobą, przetrzucałem się to w jedną, to w drugą stronę, naprzód, to znowu zawracałem napowrót. Po drodze wstąpiliśmy do majątku Szemiota, b. majora w 30-m roku, tegoż jeszcze starego wojaka — u niego nocujemy. Tu dowiaduję się, że Nostitz wyszedł z puszczy i idzie za mną, że był w Prużanach, i że z Kobrynia wyszło wojsko z drugiej strony, by mi zająć drogę. Przybywa z temi wiadomościami Hofmejster z pod Prużan. Dawny to z Orenburskich batalionów zesłaniec, bardzo szlachetny i prawy człowiek, kochający kraj obywatel. Później spotkaliśmy się w Usolu na Syberyi. Przywiózł mi pudełko cygar, a że ja nie paliłem, przyszła mi niewinna myśl do głowy i napisałem list do Nostitza w te słowa: „Generale! Ponieważ nie zastawszy mnie, będziesz się nudził zapewne, pozostawiam Ci cygara, by Ci się czas krótszym wydał.“ Rzeczywiście, Nostitz nadszedł, Szemiot list i cygara mu wręczył i to mój stosunek z Nostitzem jeszcze bardziej zacieśniło.

By uniknąć spotkania z nierównymi siłami, parłem naprzód i dla tego postanowiłem koniecznie przedostać się na Wołyń. Wtedy Sagin, którego rodzina pozostała pod Siemiatyczami, oświadczył, że pragnie powrócić do swoich, by tam walczyć. Nie miał pojęcia, co to jest partyzantka. Wszystkie przedstawienia moje były bezowocne. Nad Saginem zawisł już widać wyrok śmierci, za nim poszedł, choć rozumiał, że to błąd wielki, i Bronisław Rylski z 50-ciu młodzieży z pod Siemiatycz. Oddaję im część broni zabranej w Prużanach, połowę amunicyi i pieniędzy. „Wracajcie, mówię! Szczęść wam Boże! ja idę naprzód!“

Zawrócili, i stało się com przeczuwał i co im mówiłem, gdyż nazajutrz spotkali się z oddziałem Rosyan z Kobrynia. Otoczeni przez nich, wszyscy, wraz z Rylskim i Saginem na czele, zginęli.

XIV.

Tak liczebnie osłabiony, doszedłem do m. Lubieszowa. Tu dwie drogi się przedstawiały; albo iść na Wołyń, lub też na Pińszczyznę.

Wiadomości, jakie mnie tu doszły, choć później okazały się fałszywemi, przeważyły, żem poszedł ku Pińskowi. W Pińsku nie wielka była załoga; rota inwalidów, rota piechoty i secina kozaków. Miasto miało być zorganizowane, młodzież gotowa do powstania, okoliczna szlachta ochocza do boju.

Ruszam więc, podchodzę pod Pińsk, o 10 wiorst i posyłam do miasta, znającego go dobrze, niejakiego Wołowicza; piszę list do ks. Lubeckiego, ówczesnego marszałka szlachty, by wpływem swym pomógł mi. Wzywam miasto, by mi pomogło, gdy uderzę na nie następnej nocy. Było nas 130-tu wtedy. Żołnierze, w mieście zebrani, stanąwszy za murami soboru prawosławnego, stworzyli jakby fortecę. Lubecki tehorzy i odmawia współdziałania, a miasto, jak się okazało, jeszcze żadnej organizacyi nie miało. Wyszło tylko do mnie dwóch—Ostromięcki, nauczyciel gimnazyum, i Królikowski, uczeń klasy 7-ej, choć później wielu z nich było w oddziale Laskowskiego, który potem w tych stronach po mnie operował.

Trudno więc było myśleć o ataku zwycięskim. Tak przebyłem pod Pińskiem dwa dni. Przerzucam się na drugą stronę miasta, na drogę do Słucka i Mińska prowadzącą, na ów kanał Królewski i most zwodzony na nim. Tu zatrzymuję sztafetę, od naczelnika miasta Pińska, do gubernatora przesłaną. Z niej dowiaduję się, że za godzinę wysyła 36 tysięcy rubli, bo się obawia mego napadu. Czekam więc przez ową godzinę... Znowu sztafeta, wioząca pieniądze. Zabieram je i palę most ów zwodzony, lecz tem oświetlam wjazd gen. Nostitza do Pińska.

Idę ku Słuckowi, rzucam się to na tę, to na drugą stronę drogi, pomiędzy szlachtę, ale ta była jeszcze w odrętwnieniu. Budzę ją, gdziekolwiek ktoś się z nami łączy, lecz to nie stanowi siły. Mam ze sobą broni 18 wozów, brak tylko ludzi.

Nocuję w majątku Lubeckiego. Nad ranem mamy iść dalej, kierując się ku majątkowi dawniej Radziwiłłów; każę szykować się i zdjąć warty. Był przy mnie oboźnym niejaki Zakrzewski. Idzie z nim dzielny chłopiec, Żukowski, eks-kleryk z Janowa. Ściągają warty. Właśnie jedną z nich zajmował Ostromięcki. Po-

lecitem wszystkich ściągnąć do obozu, gdyż za chwilę wyruszamy. Wtem strzał. To ów Ostromęcki, nauczyciel, strzela i rani obu, Żukowskiego i Zakrzewskiego, loftkami z dubeltówki, a sam ucieka; dowiedziałem się później, że po dwóch dniach tułaczki wpadł w ręce Rosyan, jakby w obłądzie i podobno zmarł w więzieniu. Ranni zabrali mi kilka godzin czasu, zanim ich opatrzyłem. Powieźliśmy ich ze sobą, lecz w drodze trzeba ich było pozostawić u pewnego szlachcica, gdyż dostali silnej gorączki.

Kołużemy ciągle, wreszcie jednej nocy zatrzymujemy się w Borkach, futorze z kilku chat kurnych złożonym i z kilku zabudowań. Noc księżycowa gwiazdzista. Widno, jak wśród dnia. Miałem dużo wozów i bryk, bom cały obóz wiózł. Rozstawiono pikiety, wszyscy półsenni odpoczywamy. Godzina jedenasta, budzi nas strzał pikiety. Nieprzyjaciel idzie na nas, będzie bitwa! W jednej chwili stawiamy wozy w poprzek drogi, zajmujemy za nimi i za węglami chat stanowiska, czekając spotkania z ręką na cynglu.

Z lasu wężem, po dwóch wysuwają się Rosyanie. Były to trzy rotę rewelskiego pułku i secina kozaków. Kozacy okalają nas, a piechota idzie ku nam. Byliśmy w sile o siedm razy od nieprzyjaciela mniejszej: nie chodziło więc o wygraną, lecz o sprzedanie życia jak najdrożej. Zaczynają się strzały. „Chłopey!—wołan — strzelać, mierzyć prosto w piersi, nie spieszyć się!“

Strzały w rzeczy samej były celne, pierwsza rota, co szła na nas zdziesiątkowana, lecz i nas przerzedzają. Co chwila, ktoś z nas pada, nie jęknawszy nawet, skutkiem bliskości strzałów. Nie można było dłużej myśleć o odporze. formuję więc z reszty walczących klin i zaczynamy się cofać.

Kozacy chcą nas otoczyć, by utrudnić nam odwrót, lecz strzałami zwalamy ich z koni. Rozstępują się—a my pozostali wchodzimy w las. Tymczasem piechota rabuje obóz, co daje nam czas do odwrotu. Była to ostatnia moja bitwa! Cześć wam dzielni towarzysze z pod Borek!

Cała przestroż, którą przeszedłem, była jeszcze w uspieniu. Organizacya tam nie doszła, Wilno i komitety litewskie dopiero działać poczynały. I Ruś zaledwie budziła się z uspienia. Jedna tylko Korona była w części przygotowana, lecz tam byli ludzie, a broni nie było. Tutaj zaś była broń, choć myśliwska, a nie było ludzi przygotowanych do boju! Dopiero później, w tych samych miejscowościach, stworzył się oddział Trauguta, a drugi Laskowskiego—ja więc musiałem zginąć!...

Przeszedłem taką przestrzeń, jakiej żaden z oddziałów nie przebył. Kręciły się one zazwyczaj w promieniu nie wielkim, póki ich nie rozbito, nie rozumiejąc zadania, jakie ruch nasz powstańcy mieć był powinien, nie rozumiejąc, co to jest wojna partyzancka!...

Wszystko to już minęło i powtórzyć się w tym rodzaju, daj Boże, nie powinno. Kraj inną drogą zdobyć musi lepsze losy. Młodsze pokolenie tę drogę, pracując nad swem odrodzeniem, wynajdzie bezwątpienia.

Wszedłszy do lasu, dostaliśmy się do majątku Obuchowicza, od niego przez głębie błót Pińskich docieramy do brzegu Prypeci, do majątku Antoniego Jelińskiego. W domu go nie zastałem. Tu nas chłopci całą gromadą otaczają, wrogo przeciw nam usposobieni. Musieliśmy sobie broń torować drogę! Dowiaduję się, że w Turowie, u Młyńskiego, ma się odbyć nazajutrz zjazd szlachty. Ruszam więc z jednym z towarzyszków do Turowa, pozostawiając resztę gromadki na noc u rządcy na odpoczynek.

W Turowie zastaję właściciela folwarku, byłego oficera ułanów, Młyńskiego—na przedmieściu. Zjazdu żadnego nie było. Trafilem na jakiś zatarg jego z mieszczanami. Wszyscy prawosławni. Młyńskiemu w danej chwili zbywa na odwadze; pozostawia mnie na pastwę mieszczaństwa pijanego, a sam siada na koń i ucieka. Następnie, jak się później dowiedziałem, był w oddziale Ks. Mackiewicza, i w jednej z utarczek wzięty do niewoli, jako były oficer, rozstrzelany.

I moja również fatalna wybiła godzina.

Chłoptwo z popem na czele otoczyło mnie i trzymało przez kilkanaście godzin aż do przybycia dowódcy rosyjskiego Albertowa, syna gubernatora z Płocka, który był wysłany z rotą piechoty i seciną kozaków za mną. Widząc niepodobieństwo oporu, poddałem się.

Przyznać muszę, że Albertow obszedł się ze mną po rycersku, a że w tej chwili przybył i adjutant Nostitz, który po bitwie w Borkach wrócił do Pińska, przeto urządzono zaraz kalwarkę w osiem wozów—wsadzono mnie na jeden z nich wraz z adjutantem i pod konwojem kozaków i żołnierzy pojechaliśmy w cwał do Pińska. Tu pierwszy raz osobiście spotkałem się z generałem Nostitzem.

Wszedłem do pokoju, gdzie było zebranych wielu oficerów, przyglądających mi się z ciekawością. Wszedł i Nostitz i przemówił po rosyjsku do mnie w te słowa: „Panie R., szanuję Wasze męstwo — podałbym Wam zaraz rękę, lecz ręce Wasze obla-

ne krwią moich rodaków. Podnieśliście bunt przeciw naszemu Cesarzowi i narodowi. Jeśli Wam to będzie przebaczone, możemy pozostać przyjaciółmi.“

Zapytawszy czym nie zmęczony i nie głodny (36 godzin byłem w pochodzie), wezwał mnie do drugiego pokoju, pozwolił się umyć i rozpoczął rozmowę o losach naszego oddziału. Otoczyli nas oficerowie i zaczęliśmy rozmawiać o strategii wojennej, o szczegółach naszej wyprawy.

W Pińsku przebyłem dni kilka. Stamtąd generał Nostitz osobiście odwiózł mnie do Brześcia i zdjawszy moją fotografię, polecił odwieść mnie do Warszawy. Na pożegnanie obiecał mi, że wszystkich sił użyje w Petersburgu, by mi życie darowano, co też rzeczywiście i spełnił.

Hr. Nostitz pojechał zaraz do Petersburga i więcej już w powstaniu nie uczestniczył, do czego nie mało przyczyniła się żona jego, jak to później miałem sposobność się dowiedzieć.

Do Warszawy powieziono mnie przez Białystok, do którego z Brześcia pocztą jechałem, mając w asystencji od stacyi do stacyi secinę kozaków i oficera żandarmów. Na dworzec petersburski przybyłem wieczorem. Tutaj ze stacyi kolei, w karecie, otoczony piechotą i kawaleryą, wyruszyłem do cytadeli. Wieziono mnie stępą przez różne ulice Warszawy, jakby chcąc pokazać, że ot, już jeden z pierwszych dowódców powstania ujęty!...

Tak skończyła się moja epopeja wojenna i pierwsza połowa dramatu życiowego...

ROMAN ROGIŃSKI.

ŁUNA.

XVIII.

Od samego rana pakowała rzeczy. Postanowiła tegoż jeszcze dnia przed wieczorem wyjechać stąd na zawsze, ukryć się przed ludźmi, zostawić tu w tem mieście wstyd a samej pójść daleko z cierpieniem. Zamknęła drzwi na klucz i pracowała gorączkowo. Ale mimo pośpiechu, robota szła marudnie. Co chwila przerywała i z trwożnem biciem serca nasłuchiwała, czy kto nie nadchodzi, czy to nie są jego znane kroki; przypominał się jej, pochylonej nad kufrem, dom i dzień odjazdu, gdy, pełna szczęścia, tak samo przygotowywała się do podróży—i łzy sypały się z oczu na książki, na suknie, na bieliznę, i chwycił ją taki żal, że stała bezczynna.

— Wartoż było — pomyślała raz — śnić i marzyć, wyrywać się, pragnąć! wartoż było opuszczać ich w smutku, opuszczać cichy dom, szczęśliwą zatokę, spokojne gniazdo!

— Dlaczego człowiek nie tkwi mocnemi korzeniami w ziemi rodzinnej i nie uniera tam, gdzie wyrósł, dlaczego wichry tęsknot unoszą go w dal i rzucają w błoto?...

Nie ocierała łez, które płynęły po twarzy. Potem pakowała znowu.

Po południu skończyła—i mogła już jechać. Włożyła kapelusz, zapuściła gęsty woal, przerzuciła przez ramię torbę podróżną — i dopiero wówczas przypomniała sobie, iż nie ma zupełnie pieniędzy. Był to cios.

Z hartem i męstwem, z podniosłym spokojem miała rozpocząć nowe życie, życie pokuty i odkupienia — z wyżyn strąciła

ją grubiańską ręką troska... Niepraktyczna i nieumiejętna nad wyraz, oderwana szukała teraz wyjścia, wyteęzała myśl, obliczała.

Dwie ubogie setki, które matka zaszyła do flanelowego worczka, rozeszły się oddawna, za przykład powieści wzięła całą należność i była połowa miesiąca, a lekcye opłacano każdego pierwszego z dołu. Zresztą chodzić po ludziach, rozmawiać i umawiać się, robić rachunki, tłumaczyć każdemu przyczynę nagłego odjazdu — nie potrafiłaby dziś...

Była w tem mieście stara wegietująca w ubóstwie ciotka, byli Orkiszowie, którzy żyli jak ptaki niebieskie, był Paweł Naborowski, podobno magnat, któryby może nie odmówił jałmużny, Maryńcia Kamieniecka, niegdyś gorąca przyjaciółka, także zamężna... Każdy z nich zapyta, każdy spojrzy z zaciekawieniem w oczy — trzeba prosić i kłamać — oczy wyznają oczom...

Tu wychynęła z pamięci postać pięknej panny Malinowskiej, bogatej, ofiarnej, prawie nieznannej, która okazywała jej wiele sympatyi, Hanka ważyła coś chwile—i postanowiła pójść do panny Malinowskiej. Na szczęście pamiętała adres. Wymknęła się z mieszkania jak złodziej, na schodach skradała się, potem na ulicy biegła, jak gdyby uciekała. Raz wydało się jej, że dostrzegła Rzyźniewskiego—wchodził do magazynu z kwiatami—i jeszcze przyśpieszyła kroku, potem mignęła się jej sylwetka Orkiszowej, która jak zwykle gnała bez pamięci w swojej pelerynie zakopiańskiej i kolorowej dzokiejce.

Przed drzwiami panny Malinowskiej ogarnęła ją bojaźń tak wielka, że chciała odejść, ale przemogła się i zadzwoniła. Panna Malinowska witała ją i ścisnęła serdecznie, z radością zupełnie szczerą.

— Nareszcie! góra do Mahometa... pani tyle razy obiecywała... nie tu pani... salon jest nieznośny... tam gawędzi się lepiej...

Zaprowadziła Hankę do buduaru, usadowiła na małej kanapie, stojącej w rogu, sama usiadła nisko, u jej nóg na pufie. Była blada, i twarz jej w świetle dziennem nie miała już blasku młodości i zdrowia, który przy pierwszym spotkaniu tak olśnił Hankę, zwłaszcza, że kładł się na nią cień znużenia i troski. Ubrana ciemno i tak skromnie, iż prawie z zaniedbaniem, w jakimś znośnym, brzydkim szlafroku wydawała się gościem wśród zbytowego otoczenia. Przyglądała się Hance uważnie i tak jak się przygląda portretowi ukochanej osoby. Ale były to oczy w tej chwili, które mimo natarczywego patrzenia nie onieśmielały. Same nieśmiałe, dotykały lekko, niby ostrożna ręka, która szuka pomacku w ciemności. I ona szukała czegoś.

— Badam panią — rzekła — bo bardzo panią lubię. Od pierwszej chwili. Niech pani tylko nie myśli, że ja się rzucam każdemu na szyję — uśmiechnęła się — och te przyjaźnie kobiece, gwałtowne, krzykliwe, gadatliwe, czułe! Tyle warte, co wyroby z aluminium... Wiem z doświadczenia. Ale i pani i ja...

Hanka nie umiała zdobyć się nawet na uśmiech, któryby starczył za przyjazne słowo. Słuchała z obliczem surowem, jak gdyby kto odczytywał nad nią zły wyrok.

— Pani dziś wygląda tak smutnie — mówiła panna Malinowska. Boję się zapytać... Może panią spotkała przykreść? a pani taka wątła i biedna, tak nie do walki... I pani z tą torbą — pani wyjeżdża? Przepraszam panią, może uraziłam... nie każdy lubi... Sama znieść nie mogę, gdy się ktoś lituje nademną, gdy kto pomysli albo powie: biedna... przepraszam panią... Ludzie mówią: biedny i z wesołem sunieniem idą sobie dalej. Dość rzucić tani wyraz. I każdy się cieszy, że on nie jest tym biednym, każdemu przez porównanie lepiej smakuje potrawa jego szczęścia. A jeśli kto jest nieszczęśliwy, to zawsze przez ludzi, zawsze z winy tych, którzy litują się albo ciskają kamieniami — z rozdrażnieniem kończyła.

Ale spojrzenie jej, którego nie zdejmowała z Hanki, było właśnie niby litosna pieszczota.

— Co pani jest? — spytała żywo — pani zbieła.

— Nie pani — był szmer odpowiedzi — nic... dziękuję...

— Możeby ja mogła dopomóc pani — panna Malinowska dotknęła jej chłodnej ręki — pani odjeżdża... jakiś cios spadł na panią... w rodzinie nieszczęście... domyśliłam się patrząc... zła wieść przychodzi, jak zbir...

Zapanowało milczenie. Hanka czuła, iż to jest właśnie chwila najodpowiedniejsza, że jeśli teraz nie wypowie swojej proźby, to odejdzie z niczem, i zebrała wszystkie siły.

— Pani zgadła... — zaczęła — istotnie przykreść... przygoda... okoliczności złożyły się tak, że potrzebuję...

Było milczenie. Hance zabrakło tchu, myśli porwały się na strzępy i wirowały tak szybko, że nie mogła żadnej uchwycić, zgasły wszystkie wyrazy, potem uczyniła się w głowie próżnia zupełna.

Panna Malinowska czekała cierpliwie.

— Pani mi pożycz...

W ślicznych, pełnych współczucia oczach panny Malinowskiej odbiło się zdziwienie. Spojrzenie stało się oschłym.

— Ależ pani... z całą przyjemnością... drobiazg... ile pani chce? gotówki nie mam... napiszę czek do banku Zymirskiego.

Wstała i wnet wróciła z gotowym czekiem, który położyła na stoliku. Nastąpiła cisza. Panna Malinowska siedziała sztywna, odwróciła się do okna, obojętność powlekła jej twarz. Nie miała już nic do powiedzenia gościowi, którego witała z taką radością.. Hanka widziała czek i wypisaną na nim znaczną sumę, widziała zmianę w zachowaniu się panny Malinowskiej — szept podziękii omdlał na jej gorzkich ustach. Tylko łzy puściły się z oczu strumieniem.

Naraz panna Malinowska spostrzegła ten płacz.

— Pani płacze! Pani... proszę... jak można...

Pochyliła się ku niej, wzięła jej rękę, potem głowę, całowała mokre policzki.

— Już dosyć, pani — pocieszała — nie warto... moja pani.. dziecko.. pani taka złamana... życie twarde jest nieraz... sił trzeba... to minie.. pani wyjedzie... a może ta zła wiadomość.. może w domu wszystko najlepiej...

Wreszcie Hanka uspokoiła się. Poszukała chustki do nosa, spróbowała uśmiechnąć się.

— Nerwy... widzi pani... przepraszam...

— Niech pani nie hamuje... proszę nie zadawać sobie przymusu... pomilczymy teraz, dobrze, pani?

I sama przestała mówić. Trzymała rękę Hanka, gładziła tę zimną rękę, od czasu do czasu podnosiła spojrzenie, nawiedzając niem Hankę, niby chore dziecko. Oczy jej były teraz smutne i osiadła w nich zaduma.

— Biedna pani! — odezwała się w pewnej chwili—ja wciąż ze swoją litością, ale nie mogę, gdy pani płacze... Miałam siostrę, akurat podobną do pani... tak samo czesała włosy, taka sama twarz drobna i oczy ogromne trochę przestraszone... i wąta jak pani.. Zamyśliła się.

— Czysta i dobra była, jak pani... taka czysta i święta, że ja nawet nie rozumiem... niema już jej!... przeszła przez życie bez grzesznej myśli... I pani tak przejdzie! a ludzie krzywdzą panią — i nie wiem...

Hanka drgnęła i mimowoli cofnęła jej swoją rękę.

— Co pani jest!—zdziwiła się panna Malinowska—pani woli, żebym milczała... pani niewygodnie siedzi... dam pani poduszkę.

— Ależ nie... dziękuję...

Panna Malinowska przyniosła poduszkę, zasunęła ją za plecy Hanka, usiadła — i obie długo milczały.

Lokaj wszedł z herbatą. Był to stary człowiek, niedbale ubrany, o nieprzyjemnem wejrzeniu, którem badał gościa.

Hanka poczuła nagły głód i chciwie rzuciła się na jadło. W jednym mgnieniu znikła kupa słodkich ciastek z talerza.

— Możeby pani coś posilniejszego?... mięsa?... mogę zaraz — rumieniąc się zaproponowała panna Malinowska

Hanka odmówiła. Głód ustał tak samo prędko, jak odezwał się — i teraz przyszło na nią wielkie znużenie, z którego zrodziła się przyjemna obojętność. Nie dokuczały już myśl ani uczucie. Na moment przypomniawszy jej ohydny męka nocy — i niedbale odsunęła to od siebie. Było dobrze siedzieć na miękkiej kanapie w tym ładnym pokoju obok dobrej panny Malinowskiej, która patrzy na nią serdecznie i usiłuje rozerwać ją i zabawić...

Kto jest ta panna Malinowska? Przyjaciółka, wielka pani, uosobienie dobroci, bogaczka, piękna i smutna? Albo to nie wszystko jedno!

Przez uchylone drzwi widać pokój sypialny z wiszącą niebieską lampą, cały niebieski, zbyt kowne łóżko, przykryte koronkami, duże, kosztowne lustro.

Oczy Hanki, znużone ubóstwem, z przyjemnością odpoczywały wśród bogactwa.

— Czy pani wie — mówiła tymczasem panna Malinowska — dlaczego ja tak często bywam u Orkiszów? Bo biedni są... A tu ta pompa, cały ten zbytek... wstrętne to wszystko i zbrzydło mi..

Panna Malinowska splunęła ordynarnie na piękny dywan.

— Pani! — zdziwiła się Hanka — ja właśnie cieszę się, że widzę kogoś, komu jest dobrze w życiu... pani chyba nie zaznała ubóstwa...

— Znam pani — była cicha odpowiedź.

— Pani zna?!... nie sądziłam...

Nastąpiło milczenie.

— A jeśli pani tu źle, niech pani porzuci — bezmyślnie powiedziała Hanka.

W oczach panny Malinowskiej odbiło się zaniepokojenie, zaśmiała się nieszczerze.

— Porzucić... pani radzi... gdyby pani...

I nagle chwyciła znowu obie ręce Hanki, cisnęła je w swoich dłoniach, cisnęła do piersi.

— Tak boję się, że pani odejdzie, że pani nie wróci!.. Pani domyśla się?!

Ale Hanka nie domyślała się niczego. Pograżona w swojej niemrawej obojętności, mówiła prawie machinalnie, pierwsze le-

psze wzrazy, które wypływały jej na usta, jak gadatliwe dziecko, które „ugwarza,” rozmawiając z krzesłem, z butem, z lalką.

— Pani jest typem Rubensowskim. Pani stworzona do uczyty... Bujna obfitość, luczna radość. Tylko usta pani czasami mają złość i oczy są inne, oczy cudze, z cudzego obrazu. Pani szczęśliwa i wesoła... Niech pani ubierze się w złoty adamaszek, w to-pazy, w krwawe, rozkwitłe piwonie... chciałabym widzieć panią...

Panna Malinowska wstała, splotła ręce, wyciągnęła je przed siebie.

— Tak pani, tak pani...

Hanka zabawiała się dalej swoim pomysłem, który jej się podobał.

— Ten czarny kolor nie pasuje do pani. Niech pani ubiera się w złoto i czerwień a włosy przeplata kwiatami. Proszę wystrzegać się złości, która szpeci, i smutku, który gasi.. ze śmiechem na ustach, ze szczęściem...

Panna Malinowska znowu zaśmiała się sztucznie.

— Czy pani wie, że ja należę do partii?—spytała po chwili poważnie.

— Do partii! — obojętnie powtórzyła Hanka.

— Panią to dziwi?

— Ja nie zajmuję się temi rzeczami.

— Bo może wydać się dziwnem, że ja... w tym zbytku i siostra proletaryatu... należę pani, bo kochałam niegdyś... bo nauczono mnie, że w nowym ustroju takich jak ja nie będzie... — zawołała głośno, trochę patetycznie.

Wpiła się błyszczącym spojrzeniem w Hankę, pytając tem spojrzeniem, domagając się odpowiedzi, zaprzeczenia czy potwierdzenia.

— Nie będzie tego i takich—dodała szybko, ukazując drzwi do pokoju sypialnego.

Oczami pytała, szukała podziału i współczucia, domagała się wciąż odpowiedzi. A Hanka patrzyła w nią wzrokiem, doskonale spokojnym i obojętnym, prawie bezmyślnym.

Naraz panna Malinowska ukłękła przed nią na dywanie, wsparła ręce na jej kolanach i zaglądając natarczywie w same oczy, wybuchła:

— Garnę się do pani... Tłómaczyłam dlaczego... pani przypomina mi siostrę i pani taka czysta... I ciągle boję się, że pani odejdzie, boję się pani—mówiła cicho i szybko. Niech pani mnie nie odpycha... przecież i Orkiszowie i partya... pani już wie o mnie... Myślałam, że pani przyjść nie chce, i tak ucieszyłam

się dziś... Potem, gdy pani o pożyczce... bałam się, że pani tylko w potrzebie, że pani gardzi mną, ale moje pieniądze... stokroć przepraszam panią... widzi pani — szczerą jestem... niech pani nie odpycha... niech pani coś powie...

Była pokorna i nieśmiała, jak bojaźliwe dziecko, które przeprasza pieścizną, rozbraja zalekaniem.

— Ja mam odepchnąć panią?! — nie rozumiała Hanka — dlaczego pani przypuszcza?

Odruchowo zanurzyła palce w przepysznych włosach panny Malinowskiej, bawiła się niemi, jak tamten...

Panna Malinowska ukryła twarz w jej sukni.

— Pierwej pani była, jak smutna sierota i pocieszałam panią... teraz ja... niech pani pieści...

Miękkie i cudne były te włosy.

— Opowiem pani wszystko... pocóż ukrywać!... pani słyszała już... niech pani pozna...

I trzymając Hankę za rękę, ściskając mocno tę rękę wpatrzoną w jeden punkt przestrzeni, w myślową dal, jak zwykle ludzie, gdy płyną wstecz z nurtem wspomnień, zaczęła odgrzebywać przeszłość.

Historia była pospolita. Przyjechała tu z odległej gubernii rosyjskiej, z małej miasteczki prowincjonalnej, gdzie nudnie wlokły się nudne, szare, skąpe dni zapleśniałego, sennego, ubożego życia wśród urzędników — kolegów ojca, anemicznych panien, pachnących Brokarowską wodą kolońską kawalerów. Matka umarła oddawna, potem siostra. Gdy tej zabrakło nie mogła już dłużej wytrzymać. Same powszednie dni, dni jak ulice owej miasteczki, długie, równe, podobne do siebie, zaspane z zaspanymi przechodniami, ze zbiedzonym stójkowym, z magazynami, w których każdy przedmiot, wystawiony za oknem, umiało się na pamięć... Ojciec szedł do biura, wracał z biura, przesiąknięty dymem i tchliną przestarzałych papierów, siadał do obiadu, pił kieliszek wódki, zacierał ręce, pił drugi kieliszek i znowu zacierał ręce, powtarzał te same dowcipy, po obiedzie kładł się spać, w pokojach smrodliwego wspomnienia kapuśniaku — codziennej potrawy, i zmrok i nuda, jak rozpacz, i cisza, jak śmierć... czasami winty... czasami jakieś imienniny... Gotowa była uciec z pierwszym lepszym oficerem, hyleby daleko, hyleby w świat... Rwała się do życia, które jest w wielkich miastach, do ludzi, którzy żyją, do szczęścia, które wybucha jak ogień, do nieszczęścia, które spada niby piorun... Raz na dzień przelatywał przez tę miasteczko kuryer stołeczny, nie zatrzymywał się, pędził dalej. O szóstej wieczorem

słyszała krótki świst — tęskniła... czytała, szukała w książkach... I szła myślą w cudowne ogrody, nad brzeg przepaści, do wspinających pałaców, na świetną salę, szła kochać, zdradzać, zabijać, płakać, śmiać się... W „Trawiacie“ jest scena, w pierwszym akcie... widziała tę operę jeszcze tam... artyści z pod najgorszej gwiazdy... odbywa się uczta... Violetta i kochanek podnoszą puhar i śpiewają... Nalewała nieraz wódkę do kieliszka i z tym puhaem tę aryę śpiewała...—ona także... pewnego wieczoru uciekła. Właśnie miał być wint i wielkie szlemy i „bubny“ i „aniory.“ Kuryerem o szóstej, który już raczył zatrzymywać się... Wpadł na stację, stał dwie minuty, ruszył... To była godzina wielkiego szczęścia... W pierwszym mieście, przez które przejeżdżała, wypita szampiana... Jakiś oficer uśmiechał się... Przybyła tu, znalazła opiekę, zagarnął ją wir życia i prac młodzieży. Cudne były czasy! kółka, odczyty, organizacja, samokształcenie, wielkie miasto, życie, życie... Pokochała tego, który wówczas był wodzem, pokochali się... och, drogie upalne godziny miłości! Kochając wielbiła, wierzyła... serce raz jeden jest zdolne... dnie szału i zachwytu...

Urwała w tem miejscu. Zmarszczyło się jej czoło, cierpienie, z którym mieszała się złość, zmięło jej twarz, gorycz była na drgających ustach.

— Ten człowiek i teraz jeszcze kończyła — jest w mojej władzy, chociaż z pozorów wygląda, że to ja w jego... To wszystko, co pani tu widzi, to z jego łaski i miłości... Miłość—wielkie słowo, wielkie szczęście, wielki zaszczyt... pięć lat już mija a on wierny, kochający, u moich nóg... Ja tulę go do siebie, jak dawniej, jak niegdyś...

Zaczęła śmiać się zjadliwie, potem zamyśliła się. Wydawała się w tej zgryźliwej i gniewnej zadumie starą.

— Pięć lat, pięć lat — wspominała cicho — kawał czasu. Poznałam życie, nauczyłam się, umiem... Pani młoda jest, pani jeszcze płacze, skarży się, wierzy... Ja nie płakałam nigdy. Zaciśkam pięści—chcę—idę do swego celu. Zdradzali mnie i oszukiwali ludzie — a żaden nigdy nie widział moich łez. Śmieję się z nich i gwizdę na życie. Bo życie pani—machnęła ręką — jak kieliszek z winem. Jeśli wino dobre, piję, jeśli nie—rzucić kieliszek o ziemię. A pani czysta jest i dobra — dodała niespodzianie półgłosem, jakby do siebie.

Patrzała przez chwilę Hance w oczy. Hanka mimowoli zasłoniła je powiekami.

— Niech pani nie kryje spojrzenia—prosiła—lubię oczy pani, takie duże, bojaźliwe, zdziwione... dwoje smutnych dzieci... I za-

lując panią... wiem, że panią skrzywdzą, skaleczą, zgneźbią... znajdzie się ktoś, jakiś zwiastun, który zechce pokazać pani radosne szczyty... Niech pani najbardziej unika tych, co mają ogromne słowa, ogromne kłamstwa na ustach...

Hanka spojrzała z trwogą i wnet spuściła oczy.

— Ja także lubiłam wielkie słowa, wielkie kłamstwa a najbardziej największe z nich — życie.. pokochałam swego rycerza... pani, rycerzy dziś już niema, chyba w książkach — a są kieszonkowi złodzieje... Była sobie głupia panna i był rycerz i była miłość — a z tej miłości i z tego rycerstwa — ot...

— Może pani chce go zobaczyć? Przyjdzie dziś na pewno. Niech pani zostanie do wieczora... Wejdzie w rękawiczkach, jak skończony salonowiec, siądzie na brzeżku krzesła i z kapeluszem w rękę będzie mówił o społeczeństwie... ojczyzna nie schodzi mu z ust... Niech pani przyjrzy się obłudzie!

— A ja bawię się nim, jak pieskiem. Niema rzeczy, którejby mi odmówił, prócz tego, co ślubował, co poprzysiągł... tysiące i tysiące, pani, przelewają się przez te ręce — z tryumfem wskazała Hance swoje dłonie — biore, czerpię, rzucam, topię, depcę... On zwalcza partycję, a ja podtrzymuję ją jego pieniędzmi...

Zaśmiała się. Zerwała się, wyprostowała się i, stojąc przed Hanką z zaciśniętymi pięściami, krzyknęła.

— Nienawidzę go. Zeby pani wiedziała, jak ja go nienawidzę, jego i ich wszystkich, tych, co o ojczyźnie, o słonecznych szczytach, o miłości, o szczęściu! Za jeden mój pocałunek każdy z nich sprzeda i tę ojczyznę, która nie schodzi mu z ust, i każdą świętość. Targuję się—a potem depcę ich w błocie... Było dwu, których kochałam. Jeden od ojczyzny, drugi od nieskończoności — który gorszy, nie wiem. Czy żołdat z ulicy, czy kelner z restauracyi, czy jakiś wielki—żadnej niema różnicy...— uderzyła się pięścią w piersi. Tantemi gardzę, tego jednego nienawidzę. Nienawidzę go za to, że kochałam niegdyś, że był szlachetny, a teraz spodłał, nienawidzę za grzeczne maniery, uprzejmy głos i grzeczne kłamstwo, za to, że udaje świętego wobec świata i wobec mnie nawet... taki święty... I chcę, żeby upadał coraz niżej, żeby upadł przeze mnie... To musi przyjść — zakończyła szeptem złowrogim.

Było milczenie. Hanka przyglądała się pannie Malinowskiej, potem z odrazą odwróciła wzrok... I ona także chciałaby śmiać się tym samym śmiechem, co ta—ale nie mogła. Nie mogła także płakać. Wolałaby pójść stąd czempredzej — zostawała... Postanowiła wyznać coś — a było trudno, trudno... Stan błogiego po-

koju, obojętności, fizycznego dobrobytu minął oddawna. Pospolita opowieść, której wysłuchała, wywołała obrzydzenie, niby brudny napój, przełknięty ze wstrętem, rozszarpała ranę, jej własną, krwawiącą, bolesną — i obudziło się cierpienie. A w tem cierpieniu omdlała i ta reszta ostatnia woli, która stworzyła zamiar ucieczki, zgasała mądra prawda — krzepicielka, którą pojęła i wzięła w siebie pod jaśniejącymi miesięcznie niebiosami. Była próżnia.

Pójdzie stąd, pójdzie kędykolwiek, pierwszą lepszą ulicą, przed siebie, za miasto, w śnieg, do zagłady, może rzuci się pierwszemu spotkanemu „sołdatowi“ czy kelnerowi na szyję — wszystko jedno. Przecież różnicy niema... Postanowiła tylko wyznać — przez prawość.

Zbliżyła się do panny Malinowskiej, pochyliła się ku niej.

— Pani obdarzyła mnie zaufaniem — szepnęła — pani była szczerą... pani bała się, że ja kamieniem... ale kamieniem kto jest bez grzechu... — mówiła coraz ciszej — a ja, a ja... pani się myliła... ta czystość...

Hanka nie zauważyła szybkiego, badawczego spojrzenia panny Malinowskiej. Odpowiedzi nie było długi czas.

— Do widzenia, pani, już pójdę...

— Może herbaty? — spytała panna Malinowska głosem, który wydał się Hance zimnym.

— Dziękuję.

— Ale zostań jeszcze — prosiła panna Malinowska, przechodząc naraz na poufałą formę i pchając Hankę lekko ku kanapie.

— Nie mogę — broniła się Hanka.

— Zostań!...

Ale ani w oczach ani w głosie prośby nie było.

Pożegnały się obojętnie — i Hanka wyszła.

XIX.

Woń kwiatów powitała Hankę, gdy weszła do swego pokoju, potem spojrzwały na nią ich wesole oczy, uśmiechnęły się cudne, białe, modre, żółte, purpurowe twarzyczki.

Śród krwawych róż leżała kartka Rzyżniewskiego.

„Oto życie niby błoń, najpiękniejsze z marzeń, oto sen, wyśniony dla nas dwojga przed początkiem, nieskończony, lazurowy szlak... śmieję się, dziecię, do kwiatów, stań się jako ich woń jasna, idź do zdroju i patrz, jakaś piękna... Byłem dwa razy, wpadnę znowu...“ — pisał Rzyżniewski.

Cisnęła kartkę pod stół a kwiatów uczyniło się jej żal. Pochyliła się nad niemi.

Patrzyły w nią wszystkie, uśmiechały się wesołemi źrenicami, cieszyły się, witały ślicznem pozdrowieniem, gwarzyły. O wiosnie, o dziecku radosnem i dalekiej radości, o rzeczach dawnych i jasnych, o szczęściu i gorących marzeniach, o najdroższej tęsknocie i ukochanem pragnieniu, o najcudniejszych smach życia, o godzinie zachwytu, o niebiosach błękitnych, o słońcu i słonecznem całowaniu, o nocy letniej opowiadały słodką wonią radosne aż do końca, nieświadome śmierci i cierpienia narcyzy, złote i białe, bławe habry, szkarłatne róże, lewkonie lilowe, goździki i stokrotki.. słyszała szept opowieści—nie rozumiała samej treści. Była to baśń, która brzmiała w obcej dla niej mowie. Kwiaty odzywały się w języku przeszłości, który już zapomniała, i promienie ich jasnych ocz nadaremnie szukały drogi do duszy—gasty w mrokach przedsionka.

Bawiła się chwilę kwiatami, i odwróciła się od nich, szukając, o co by mogła zaczepić się skołataną myślą. Spojrzenie padło na kufer, już spakowany... W kieszeni był czek i należy go wymienić w banku Żymirskiego—tak nauczyła ją... nowa przyjaciółka... w potrzebie znalazła się pomoc, opieka, przyjaźń... Można jechać... dokąd? alboż warto?!... czy tu czy tam—ohyda...

Przypomniła się jej wstrętne gorycz minionej godziny: jej łzy, wylane przed tą... powiernicą, uściski i pieszczoty, spowiedź, brudny obraz życia, ukazany brutalnie, nieznanym przedtem, odpychany z odrazą, właściwą naturom czystym z instynktu, jej własne wyznanie... Cuchnęło to wszystko... Chwytała się za głowę, jak gdyby chcąc zgnieść wspomnienia, wyrazy, skrawki zdań, które plątały się wśród myśli — pamiętała zbyt dobrze. A najzjadliwsze szyderstwo mówiło jej, że ona sama... że jej już nie wolno... że ujrzała w obrzydliwym lustrze własną osobę. Smała siebie obelgą, a że bolało do krwi powtarzała ją sobie z rozmyślnem okrucieństwem... więc jeszcze... więc jeszcze... Tak szukający śmierci jeździec bodzie unoszącego rumaka ostrogą...

Życie jest jak kieliszek wina: dobre można wypić, jeśli wino złe,—rozbić kieliszek... kłamią i oszukują wszyscy, dla silnych—zaszczyty, dla słabych — krzywda... kto raz upadł, nie powstanie już nigdy... przyjaciele deptać i znęcać się będą... pięścią i krzykiem, wzgardą i nienawiścią trzeba torować sobie drogę—błąkało się pod gorejącą czaszką. ...gwizdać na życie i na wszystko — tak, najlepiej... na życie brudne i ohydne, na własną nikczemność, na podłość ludzi — tak, najlepiej.. tak... — jak myszy przebiegały

cudze sowa i znikwały w kryjówkach... i znowu mysz i znowu... mrok i to nieustanne śmiganie myszy, świecących zjadliwemi ślepkami... Była to robota rozstroju. Doza cynizmu okazała się zbyt silną, i jak od podwójnej dawki leczniczego narkotyku w niezwykłym organizmie wystąpiły objawy zatrucia. Nerwy, trzymane na wodzy, uśpione w męce duszy, rozluźniły się w tym momencie przesilenia i odmówiły posłuszeństwa. Napięte do ostatniej granicy odezwały się naraz, niby struny w instrumencie, któryby ożył i oszalał, szpetnym, niesfornym, zgrzytającym wrzaskiem. Cierpienia nie było i jego podniosłej mocy—nerwy grały.

Ze spuszczoną głową, ściskając sobie skronie, Hanka tłukła się po pokoju w gorączce, w nikczemnym rozstroju, w błędnem kole myśli krótkich, tępych, szybkich, pustych; porwał ją i wirował z nią jakiś waryacki karuzel, targała nią huśtawka, puszczone w szalony ruch, do zawrotu głowy, do zapamiętania się...

Czasami stawiała na chwilę, żeby wziąć ze stołu kwiat i dalej krążyła, obskubując koronę płatek po płatku. Na podłodze z barwnych listków utworzyła się ścieżka, którą deptała. W jakimś momencie zakradło się przez zaułek świadomości podejrzenie, że dostała już obłądu. Zdjęta przerażeniem, usiadła, brała siebie na egzamin i każdą myśl poddawała krytyce. Długo usiłowała sobie przypomnieć, jaki jest dzień, jaka data i jakie nosi nazwisko. Ona wiedziała jeszcze, gdy waryaci zwykle nie pamiętają.

— Anna Skibowska, poniedziałek, siedemnasty — powtarzała z uporem, chcąc wbić sobie do głowy tę wiadomość.

„Na co mi przeszło, na co mi przeszło?! — myślała potem — hańba, nieszczęście, obłąd...”

I pożałowała siebie. Po raz pierwszy zjawiała się ta litość niebezpieczna, objaw słabości. Cudziemi oczami spojrzała na siebie, a w oczach tych były przebaczenie i tklivość. Co ona winna, samotna i wątpliwa, w tem życiu, które jest jak wzburzone morze!— przemawiała do siebie przenośniami, wybraniami z dawnych powieści—i opuszczona jest i bezradna, bezbromna, nieszczęśliwa, i nie ma, gdzieby głowę złożyć, i nikt nie weźmie jej pod swoje skrzydła, słońce nie zabłyśnie już na jej drodze...

W tej chwili ktoś zastukał do drzwi. Zataiła oddech, nie odpowiedziała. Zastukano znowu...

Rzyźniewski stał na progu. Miał na wargach uśmiech, trochę głupi, trochę niepewny, czuły. Szybkimi krokami postąpił ku niej, zamaszycie podał rękę, następnie z galanterią, trochę przesadną, pocałował jej rękę. Przytem patrzył w nią spojrzeniem, które już знаła, które pamiętała.

Hanka chciała zerwać się i uciec, chciała zawołać o pomoc, jak na widok zbója, ale opuściły ją siły, opuściła wola... Osłupiała, patrzyła w niego I polały się łzy małoduszne...

Wówczas Rzyźniewski objął ją, przytulił jej głowę, całował włosy.

— Czego dziecko płacze! dziecko moje... oto królewski dzień... pierwszy dzień... narodziło nam się szczęście...

Płakała poddając mu się. On zaś, nie puszczać jej, pieszcząc ją, przemawiał długo, naprawdę, jak do dziecka. A tak potrzebowała dobroci, ciepłych słów, serca ludzkiego, jakiegoś oparcia, że miękła. I jednocześnie budził się w niej jakowyś niewyraźny, nieokreślony niepokój, który trzepotał się, jak młody ptak przed odlotem, niewprawy i niecierpliwy, migotał niby rozpalaający się dopiero płomień, i czuła w sobie, że mimo wszystko ten człowiek stał się dla niej niebezpiecznie bliskim, że on ma nad nią moc, że nad ich dwojgiem przeznaczenie rozpięto namiot, który zanknął ich, z którego niema wyjścia... Dla umęczonej woli wytchnieniem i ulgą było poddać się, uleść, wyrzec się — nie było sił do walki...

— Widzę spakowany kufer—to dobrze. Będziemy już razem na zawsze... Przygotowałem, obnyśliłem... dziecko moje, chcesz że, zgadzasz że się? w daleki pójdziemy świat, na ścieżkę radości, do grodu kochania, do cudnej komnaty szczęścia... Patrz, dziecko, na mnie! nudnem i szarem było mi życie — dziś nie oddam nikomu... Dziecko! twoje łzy znowu — perły niedoli... W godzinie boleści uśmiechniesz się do tej chwili i powiesz sobie: smutna byłam o południu, przecz że?! Ja u twoich nóg, dziecię moje... Milczysz i milczą oczy twoje, a skarżysz się mową nieszczęścia — łzami. Na co użalasz się? od dnia tego rozkosz służyć ci będzie i chodzić za tobą... Jakim słońcom mam wykraść promienie, żeby niemi usłać szlak naszej doli wędrowniej? Mnie dzwony biją na gody — posłuchaj: drży od gęźby weselnej powietrze a ty żałosna! może smutek szepce ostatnie pacierze nad dawną, pokorną i żąłobną duszą twoją... dziś inną dostaniesz duszę i nie należysz już do smutku...

Mówił, przerywał, brał ją znowu w objęcia i pieścił i całował jej łzy z oczu.

— Więc pójdziesz ze mną — nalegał — będziemy razem we dwoje...

Nie zaprzeczała, więc snuł przed nią projekt wyjazdu w świat daleki, kędyś do stolic, na jasny brzeg, nad lazurowe jeziora, do marzących górskich dolin. Opowiadał, układał dla niej precudny

poemat miłości, piękna i szczęścia... Szła za nim myślą, widziała te kraje, świat błękitu i słońca...

Znużona, biernie przyjmowała jego pieczyoty, jak gdyby już przyznała mu do nich prawo, skołatana po długiem borykaniu się, potrzebowała opieki i władzy, jej wąta, kobieca natura szukała oparcia i ktokolwiekby przyszedł do niej i narzucił jej swoją silną wolę — poszłaby posłusznie...

O rozkosznej niewoli kochania marzy każde serce niewieście, marzyło i jej serce — że nie spełniła się ta tęsknota, brała przy-
mus kochającego.

Jak ptaki wiosenne gwarzyły i polatywały wyrazy kochania, którymi przemawiał, otulał ją w miękkie, świetlane zasłony jakichś zaczarowanych snów, ukazywał jej lazuruwe ustronie, pełne ciszy — a tak łaknęła pokoju... I wciąż czuła, że związało ich niewidzialne ogniwo, że on jest niebezpiecznie bliskim, że to zostanie, że nie pomoże opór... Raz uśmiechnęła się do niego smutnymi oczami.

Wówczas Rzyźniewski chwycił ze stołu wszystkie kwiaty, które były jeszcze, zasypał niemi jej kolana, całował kwiaty, całował kolana... otoczył ją wonny obłok...

W takiej chwili zaskoczyła ich Józka Orkiszowa, która wpadła jak ogień i jak po ogień. Objęła ich domyślnem spojrzeniem, zerknęła na kufer, na rozsypane kwiaty i poczęła trzepać:

— Wleciałam tu na jedną sekundę, bo czasu nie mam, żeby opowiedzieć. Z tych, co byli ranni, pięciu już zmarło, trzech kiwnie się, reszta wyzdrowieje. „Djabeł“ ani dba, „Rzeźnik“ spluwa krwią ale to nic, doktor mówił, że może wykaraskać się... Ukryliśmy ich dobrze... Pogrzeb poległych odbędzie się jutro — uroczysty. Całe miasto pójdzie i wy musicie pójść. Chodzi o to, by zebrały się tłumy. Wieńce mają być z czerwonymi wstęgami... właśnie idę obstalować... Boże, co za dnie! Nigdy nie zapomnę. Burzuje pochowali się i nie wyłażą na ulicę... co za dnie, co za [wrażenia, jaki nastrój! Pieśń, strzały, krew... Was nie widziałam... Ty, Hanko, zemknęłaś z kościoła... może i dobrze, bo kula trafia na oślepa, a twojem zadaniem wyśpiewać naszą ideę w nieśmiertelnym poemacie... Ale jutro pójdziecie — niebezpieczeństwa niema... Do widzenia... idę obstalować wieńce... Malinowska funduje całych dziesięć!...

— Proszę pani, my wyjeżdżamy jutro — z naciskiem wtrącił Rzyźniewski.

— Wyjeżdżacie! domyślałam się, bo kufer spakowany... Zadzroszczę wam... dobrze robicie... i my może niezadługo... trzeba

odetchnąć, wyprostować skrzydła... tu, w tym gmachu więziennym zbyt ponuro! błękit, słońce, radość życia gdzieindziej... A dokąd też wybieracie się?

— Nie wiem jeszcze... Tam, gdzie jak pani mówi, błękit, słońce i radość życia.

— Szczęśliwi! Tymczasem dajcie mi choć kilka kwiatów z drzewa waszego szczęścia! Wychodzę już.. pożegnaj was na dworcu... pośpiesznym o 1-ej, prawda? Dowidzenia!... lecę obstawiać wieńce... Malinowska funduje całych dziesięć...

Wyściskała Hankę, wytrzęsła rękę Rzyźniewskiemu i wybiegła z pokoju, rozmachując skrzydłami peleryny, zamiatając podłogę wyszarganą spódnicą.

— To jedna z tłumu — odezwał się powieściopisarz — z kategorii tych, których jest wszędzie za wiele... Utała się moda napadania na tłum filisterski, na tłum burżuazyjny, tymczasem każda idea ma swoją gawiedź. Pozytywizm miał swoją, socjalizm swoją, tak zwany modernizm — także. Ona należy bodaj do wszystkich trzech rodzajów...

— A może to jaka przyjaciółka? — przerwał trochę niespokojnie — gdy ja tak szczerze...

— Bynajmniej.

— Więc nad czem dziecko tak duma?

— Myślałam, że pan to dobrze określił... gawiedź zatraciła duszę...

— A myśmy ją zachowali, ustrzegli, obronili — my dzieci królewskie. Nam z motłochem nie wolno... w komnatach zamku na siedzisku monarszem przystoi nam dumać...

Naraz Hanka zasłoniła rękami twarz i spuściła głowę, jak dziecko, które chce się ukryć...

Jeszcze nie mogła pogodzić się...

XX.

Paweł przyglądał się manifestacyi niedzielnej przez drzwi balkonu narożnej kamienicy i widział wszystko. Patrzył blade. Niby jakiś wóz niezmierny, uroczysty i ciężki wóz grozy toczyła się ta chwila — wydała się długą ogromnie... Wolno obracały się koła Potworu — ukazał się, przesunął, zniknął. Zaległa cisza, zostały trupy i krew... Ze śpiewu bojowego, który dziarski i skoczny wrzał w powietrzu i junacką potęgą spadał na miasto, ze

sztandarów wesołych, chwiejących się zwycięsko, z nieprzelicznego tłumu, z tych zastępów, szeregów, z tej mocy—zostało tych kilka ciał, bezsilnych i smutnych. I wielka chwila dziejowa minęła... „Jakże to?! co to?!“ — chciałby zapytać Paweł pytaniem odruchowem, najpierwszem, które się zjawia, po nieszczęściu.

Cofnął się w głąb pokoju, milczał i tylko podniósł wzrok, w którym było to samo pytanie: jakże to, co to?! na swego towarzysza i wodza. Ten spokojnie zapalał papierosa. Spotkały się ich oczy.

— Panie—cicho odezwał się Paweł—ja nigdy nie myślałem...

— Jeszcze dziś święcą tryumf oprawcy, ale nie długo już! Zauważył hrabia, jak szli nasi z pieśnią na śmierć. I gdyby nie było komendy: pierzchać, zginęliby wszyscy... karna armia! Rad jestem, że hrabia był obecny...

Paweł nie odpowiedział zrazu.

— Tyle ofiar, tyle krwi! -- wtrącił nieśmiało -- czy to było niezbędne?...

— Hrabia nie otrząskany jeszcze.

Przechadzali się po pokoju w milczeniu. Spotykali się, zawadzali o siebie, zamyśleni obaj, przepraszali siebie wzajemnie i dalej chodzili, jak gdyby dwaj nieznajomi.

Paweł, poruszony do głębi, zawisł uwagą nad tą samą wciąż wątpliwością, która go dręczyła. W pewnej chwili odezwał się:

— Słyszałem uchwałę. Nie będąc członkiem, nie mogłem zabierać głosu, a chciałem wówczas. Całe posiedzenie wydało mi się dziwnem. Wszystko odbywało się jak na komendę, i taki doniosły wniosek, gdzie szło o życie... — spojrzeniem utkwionem w wodza dopowiedział resztę.

Ale ten, jak gdyby nie słyszał, przechadzał się dalej i milczał.

— Czy to było potrzebne? — powtórzył Paweł.

-- Proszę pana, tak — nie przerywając spaceru odparł Ryszard — uczucia hrabiego są najlepszym dowodem. Krew, to zawsze poważny argument — spojrzał przelotnie na Pawła — społeczeństwo budzi się z uśpienia. Jedni, ale to część nieznaczna, oburza się na nas, reszta powstaje na rząd. Rośnie liczba sprzymierzeńców, zdobywamy sympatyę... — urwał naraz, zbliżył się do okna, badał coś.

— To kosztuje drogo — cicho zauważył Paweł.

I znowu krążyli po pokoju. W tem huknął strzał, kędyś w pobliżu, może na podwórzu.

— Tropią — mruknął wódz.

Chodzili. Zapadła cisza. Na schodach, w sąsiednich mieszkaniach, na ulicy nie było żadnego ruchu.

— Czyja to fotografia? — spytał Paweł, żeby położyć kres milczeniu, które ciążyło mu.

— Moja córka.

— Pan ma żonę? — jakby zdziwił się Paweł.

— Żonę i tę oto córkę...

Dziewczynka była ładna bardzo. Z fotografii niegustownej, z fantastycznego tła, gdzie były i morze i tekturowe skały, patrzyła pełnemi wdzięku oczami. W rękę trzymała kosz z kwiatami, niezbędny.

— Zazdroszczę panu dziecka, takie miłe! — uprzejmie pochwalił Paweł.

Na twarzy wodza odbiła się radość. Wziął fotografię, przyglądał się.

— A dawno już nie widziałem...

Potem oderwał wzrok od twarzy córki, spojrzął na Pawła, który stał posepny, i zaczął nagle żywo:

— Hrabiego trapią wątpliwości... Ja nie odpowiadałem, bo w takiej chwili przekonywać, wysnuwać wnioski... przecież te ofiary przemawiają, tłumaczą, uczą, ilustrują... Ale skoro hrabia domaga się...

— Chciałbym usłyszeć...

Paweł usiadł i przygotował się do słuchania niby na odczycie.

— Hrabia zapytywał, czy ta manifestacja, niestety krwawa, była potrzebna? Z całym spokojem i z całą stanowczością mówię: tak, była potrzebna — i zaraz to udowodnię. Przedewszystkiem chodziło nam o rząd. Państwo osłabione fatalną wojną, wojska poszły i jeszcze pójdą, w kraju zostaną nędzne załogi. Wówczas wystąpimy z żądaniem. Wrzenie rozpoczyna się już na całym obszarze, my mamy informacje dokładne — wkrótce wybuchnie pożar. Chwiejący się rząd skłonny jest do ustępstw, niech więc dowie się zawczasu, że będzie musiał liczyć się z nami, że mu w podziemiach wyrosła niewidzialnie nowa potęga. Hrabia zgadza się ze mną?

— Zapewne...

— A z drugiej strony naród. Naród winien zrozumieć, że rozstrzygać będziemy my...

Paweł poruszył się, jak gdyby chciał przerwać.

— Przepraszam, proszę wysłuchać do końca... Tak, my wyłącznie i jedynie będziemy rozstrzygać. Proletaryat cierpi i walczy, a po zwycięstwie — do proletaryatu należą owoce... Nie

damy sobie wydrzeć, nie ustąpimy. Płacimy krwią i męką. Klasy uprzywilejowane, złałamucone, zatrute egoizmem kastowym, spódlone służalstwem, zhańbione nikczemną polityką kompromisu, wypuściły oddawna z rąk sztandar. Myśmy wzięli go w ręce, my spadkobiercy idei. Nieśmiertelna idea wieku, idea, która stworzyła epopeę legionów i trzy razy zakwitła krwawem kwieciami powstań, żyje tylko wśród nas. Dążymy, walczymy, zdobywamy... za naszą wolność i waszą...

— Że zaś padło kilka ofiar, panie hrabio — kończył — to smutna konieczność, od tego wojna... Ale tu każdy z tych, co padli, ginął świadomie i radośnie, i każdy z tych, co został, jutro, gdy zabrzmi pobudka, gdy wyjdzie rozkaz, pójdzie chętnie na śmierć... Moglibyśmy ulice miasta zapełnić naszymi tłumami, zagłuszyć dzwony wszystkich świątyń naszym śpiewem — nie chcemy, bo jeszcze nie czas. Ta próba była niezbędną i zaręczam hrabiemu, iż przerażony rząd nie ośmieli się ogłosić w kraju naszym mobilizacji. Iluż tedy ludzi uratowaliśmy życie, od jakich smutków i niedoli obroniliśmy tysiące rodzin...

Tu urwał. Mówił cały czas bez zapału a tylko z konieczności, która go nudziła, i teraz rad był zaprzestać.

Zapałił papierosa, popadł w zamyślenie.

— Wierzę panu — nieśmiało odezwał się Paweł — ale tam krew i śmierć, a my tu bezpieczni... oni szli...

Wódz zmierzył go zezowatem spojrzeniem.

— To ma być zarzut pod moim adresem?! — odparł dobitnie. Przyjmuję i odpowiadam. Słyszemy go zawsze, my hetmani, z ust burżuazji, która próbuje kąsać. Szukamy bezpiecznych schronisk — dobrze. Cóżby zaś było, gdybyśmy się narażali i w jednym dniu zginęli wszyscy? Proszę sobie wyobrazić armię bez głównego sztabu! Czy na wojnie dowódcy rzucają się, rzucając pułki, sami w wir bitwy? Zresztą to nasze hetmańskie życie, panie hrabio, nie jest godnem zazdrości. Niebezpieczeństwo takie same, tylko każdej chwili dnia i nocy...

Nastało milczenie. Ryszard pochylił się nad jakąś książką i przerzucał nerwowo karty, nie patrząc.

— Hrabia może nie wie — rzekł po chwili niedbale — iż po takich manifestacjach, jak dzisiejsza, mają zwyczaj przetrząsać sąsiednie domy. Nie jesteśmy tu tedy, jak za piecem u Pana Boga. Wystarczy im, iż hrabia znajduje się w moim towarzystwie — ba — dał Pawła złośliwie.

Ale w Pawle było męstwo.

— Mniejsza o to — odparł obojętnie.

Tarł sobie czoło, wążąc coś.

— Pan wytlómaczył mi, udowodnił bardzo dokładnie — odezwał się. Pan zapewne ma słuszość. Ale tamto posiedzenie... Nie mogę zdać sobie sprawy... Przywykłem do sporów, do wymiany zdań — a tam jak na komendę, jak gdyby dla formy... To nie było posiedzenie partii?

Zapytanie wpadło jak do wody. Nie było odpowiedzi.

Wódz rozmyślał. Natrętny neofita znudził go. W milczeniu zasiedli do obiadu, który przygotował dla nich nieobecny gospodarz mieszkania, techórzliwy sympatyk, szwagier Ryszarda — o zmroku rozeszli się, każdy w swoją stronę. Paweł udał się do księżnej. Chciał przed nią pochwalić się...

Księżna była wzburzona, spłakana i zasypała go pytaniami.

— Wiem już .. słyszałam... to jest okropne... ale może pan ma szczegóły, niech pan opowie... niektórzy mówią, że to jest początek powstania... Nie puściłam dzieci na spacer... tylko Marylka wymknęła się na nieszpory...

Paweł zaczął skwapliwie opowiadać. Podkreślił znacząco, że on był świadkiem naocznym, że przyglądał się razem z głównym wodzem, że kule brzęczały, że każdej chwili mógł wpaść w ręce władz, i była w słowach jego pewna popisowa chępliwość, zwykła u tych, którzy przebyli rzeczywiste albo urojone niebezpieczeństwo.

— Jakto! pan ich zna, pan z nimi obcuje! — przerwała mu księżna — pan nie wspominał nigdy.

W pięknych, łagodnie świecących oczach księżnej Celiny odmalował się niepokój.

Paweł wyłożył jej swoje poglądy. Rozpoczęła się dysputa, podczas której wszedł do pokoju Lew Mierzejewski, przybyły ze wsi, krewny księcia, opiekun i zaraz wmieszał się do sporu.

— Znałem pana, jako ziemianina — zdziwił się Lew Mierzejewski — a pan tu w tem bractwie krwi i nienawiści, w szeregach burzycieli!?

— Pan nazywa nas niewłaściwem mianem — oschle i dumnie odparł Paweł.

Poważne i smutne oczy Lwa Mierzejewskiego badały go długo.

— Może się mylę — rzekł spokojnie — bo stoję zdala, a może właśnie dlatego mój sąd jest więcej bezstronny. Przyjeżdżam tu zrzadka, pole pracy mojej jest gdzieindziej, w zapadłem ustroniu, do którego nie dotarły jeszcze te hasła. Nie ścierałem się dotychczas ze stronnictwem, do którego pan należy, nie zalali mi oni za skórę — uśmiechnął się — nie mam więc powodu do osobistej nie-

chęci... Ale zdaje mi się, że pan mnie nie słucha — urwał Lew Mierzejewski, któremu zapewne po raz pierwszy zdarzyło się, iż go nie słuchano.

Rzeczywiście Paweł odwrócił się od niego. Przed rokiem wielbił, wierzył i zazdrościł, dziś wyniośle spoglądał na tego „ziemianina.“ Człowiek, który w godzinie nieszczęścia pierwszy stanął do pracy, który dźwigał w długim szeregu lat trud za wszystkich, który wyratował z toni ocalałe resztki, którego imię było sztandarem, a życie samym znojem, samem poświęceniem, samą służbą idei sprawiedliwości, który dziś w dalekiej prowincyi mimo szerzącego się pożaru trwał niezłomny i zawsze na czele i zawsze niepożyty, bojownik odrodzenia nie hasał obumarłych — wydawał mu się teraz zacofanym „burżujem,“ ciasnym przedstawicielem klasy uprzywilejowanej, w której on, Paweł, pierwszy zrozumiał nową ideę i pierwszy popłynął z prądem.

Spoglądał z wysoka i wyniośle.

— Proszę pana — wmieszała się w tej przykrej chwili księżna — spierać się nie będę, bo nie umiem, ale zboleła mam serce... Doprawdy panie, naród miał już dość krwi i męki... więc znowu, więc jeszcze raz... Panie, ta ziemia rozdeptana, jak ktoś boleśnie powiedział, najrozdeptańsza... i utopia ją w morzu nieszczęścia... a bratobójcze walki... brat przeciw bratu... To jest okropne, panie! Ludzie, których pan broni, bez ojczyzny, bez Boga... Tylko Boża wola tworzy i prowadzi, i Jego Imię uświęca... „A jeśli Pan nie zbuduje domu, próżno pracowali, którzy go budują.“ Kiedyś, po latach, po latach pan rozpacznie załamie ręce. Rozpętano najgorsze instynkty ludzkie, nienawiść tu kieruje... A jedynie przez miłość, przez miłość Boga, z której niby ze słońca—ciepło, miłość ludzi... — gorąco mówiła księżna.

W Pawle było dużo uporu i ducha przekory. Tam, w swoim nowym obozie wątpił, niepokoił się, żałował, tu wśród przeciwników stawał się zaciekłym fanatykiem.

— Od ilu wieków, księżno, ludzie miłują Boga — zjadliwie zaczął — a dużoż ta miłość dokonała? Kościół legalizował, uświęcał, błogosławił wszelkie złe. Było niewolnictwo, była pańszczyzna, była tyrania klas uprzywilejowanych — któż to zniósł? Kto pchnął i pcha ludzkość na drodze postępu ku sprawiedliwości i wyzwoleniu? Kościół?! Dziś zaś? czy dobrze dzieje się na ziemi?

Zapalił się i, zatokowany swoim zwyczajem, długo, czasami z ogniem, czasami niedołącznie powtarzał cudze myśli, pożyczone u wodza, które już nazwał swojemi. Lew Mierzejewski zasunął się w cień i badał go, milcząc, mądrym spojrzeniem, księżna słu-

chała przerażona. Księżniczka Marylka weszła niezuwacznie, ukryła się za krzesłem matki i, ściskając w niecierpliwych palcach modlitewnik, patrzyła w Pawła chciwemi, szeroko otwartemi, zdumionemi oczami...

Tak nikt jeszcze nie mówił w tym pokoju, w tym domu!... kościół zdeptany i Bóg... bunt myśli... sumienie obciążone złem świata i życia... niedola na ziemi, niedola ojczyzny... a Bóg?... Oczekiwała odpowiedzi matki i zaprzeczenia, bo jeśli to wszystko jest prawdą? Jakiś przejmujący niepokój męczył jej serce...

Spór trwał długo. Paweł przemawiał z pychą, z chłodnem, brutalnem szyderstwem. Księżna, pobita pozornie, lecz nie przekonana, zgnębiona, zwróciła się o pomoc do Lwa Mierzejewskiego. Ale ten milczał uparcie. Mądre i poważne jego oczy zgasty, cień smutku kładł mu się na twarzy.

— Pan prezes nie chce mnie podtrzymać... Może istotnie nie warto... Zostawmy to czasowi, doświadczeniu, duszy i Bogu... Pan, panie Pawle, jak każdy neofita pełen fanatyzmu, ale ja mam to przekonanie, że pan się zmieni... W tym samym pokoju pan wyzna: myliłem się.

Paweł wypowiedział był już wszystko — i nastąpiło milczenie przykre, jak po każdym sporze. Obie strony miały żal do siebie i niesmak w sercach. Księżnę odkrycie w częstym i lubianym gościu wroga — napełniło smutkiem. Pracowała, nawracała — modliła się skrycie o pozyskanie tej duszy — teraz straciła nadzieję. Dumiała.

— Mój brat... Tobiasz przyjechał wczoraj — rzekła cicho — i dowiedział się, że to nieszczęście spadnie na miasto... Całą noc przeleżał krzyżem w kaplicy...

Znowu było milczenie.

Dopiero teraz Paweł zauważył obecność księżniczki. Zerwał się z krzesła i śpieszył ku niej z powitaniem, przeproszał z uśmiechem... Ona zaś wstała także i razem poszli ku oknu.

— Panie, to, co pan mówił — szeptem odezwała się księżniczka — słuchałam... nie myślałam nigdy... Ja trzymam stronę mamy... ale słowa pana utkwily i zostaną na długo, gryzące...

Nie odpowiedział jej na razie. Spojrzeniem, które stało się łagodnem, szedł po całej jej dziewiczej postaci, po cudnej twarzy. Błądą wydawała się w zmroku i smutną. W rękę ściskała książkę do nabożeństwa, oczami, które pociemniały, patrzyła w niego...

W tej chwili z niedalekiego kościoła ozwały się dzwony na Anioł Pański. Księżniczka odmawiała pacierz, uklękła na moment, powstała...

Paweł czekał. Za oknem był duży ogród, cichy, obumarły, zasypany śniegiem. Błądził w nim wzrokiem. Oto czyjeś ślady na drodze — może jej... i ława kamienna...

— Pan modlił się ze mną? — był szept.

— Nie, księżniczko...

— To ja będę się modliła za pana i za tych, którzy giną bez Boga...

— Dziękuję, księżniczko.

Milczeli.

— Panią przeraziły moje słowa—zaczął Paweł—przepraszam. Ostrzegam. Burza nadciąga i straszne będą dzieła się rzeczy. Za długo trwał gnuśny spokój. Odwraca się karta historii, może krwawa. Bez boju, bez ofiar niema zwycięstwa, a najgroźniejsze burze srożą się przed świtem. Świt już, księżniczko...

— Łuna! — powiedział ktoś naraz za niemi.

Drgnęli oboje.

Był to hrabia Tobiasz, który wszedł cicho.

KAZIMIERZ ZDZIECHOWSKI.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

Ruch literacki w Niemczech.

Każde niepowodzenie Gerharta Hauptmana — a wystawienie „Dziewic z góry Biskupiej“ było jedną z owych porażek, które bynajmniej nie przyczyniają się do uświetnienia nazwiska twórcy „Pipy“ — staje się od pewnego czasu szczeblem powodzenia dla brata jego, Karola Hauptmana. Krytyka i publiczność zwracają wzrok po każdym z zawodów, zgotowanych przez Gerharta, ku starszemu o dwa lata Karolowi, który znacznie później, bo aż o 10 lat po bracie wstąpił w szranki literatury. Porównania, które przy takich okazjach czyniono, nie zawsze odznaczały się zbytnią bezstronnością, a częstokroć tendencyjnym swem wynoszeniem nieznanego na niekorzyść znanego mało przekonywały. Dziś, po przeszło 10-ciu latach twórczości poetyckiej Karola Hauptmana i po ukazaniu się takiego dzieła, jak „Mojżesz“ jego, warto przyrzeć się tej postaci bliżej.

Karol Hauptman posiada pewne cechy, przypominające żywo Gerharta: poezję, pełną zapachu ziemi, przepojoną świeżym oddechem ojczystych Gór Olbrzymich, serce gorąco współczujące niedoli ludzkiej i owo żadnemi tradycjami nieskrępowane poczucie uczciwości słowa, które Gerhart czasami zdaje się zatracać. Ale podczas gdy miękkość, gibkość i wdzięk poezji Gerharta z łatwością zjednywa sobie serca ludzkie, szorstkość, niedostępność i zawilość utworów Karola odpycha. Szorstkość ta kryje atoli uczciwość bezwzględna; niedostępność — powagę samotnego, a zawilość — głębie myśli filozoficznej. Karol, jako myśliciel, sięga głębiej, niż Gerhart, ale brak mu jeszcze było owej równowagi apollinowej, która tworom ducha nadaje cechy piękności prawdziwej. Charakterystycznym pod tym względem jest już pierwszy większy utwór dramatyczny jego: „die Bergschmiede“ (Kuźnia

w Górach, ogł. druk. w r. 1901). Jest to w literaturze niemieckiej, od czasu ukazania się niedostatecznie do dziś dnia ocenionego poematu dramatycznego Grabbego „Don Żuan i Faust,” utwór, posiadający najwięcej głębi faustowskiej i najbardziej obiecująca próba w zakresie wielkiej sztuki wchodząca. Bogactwo myślowe zawarte w tym utworze, szczerłość i siła ekspresji, oraz śmiałość rozumowania uprawniają do zaliczenia tego dzieła Karola Hauptmana do wybitniejszych we współczesnej literaturze niemieckiej.

Ze względu na te zalety wypada przyjrzeć się uważniej „Kuzni w Górach.” Główne promienie akcji skoncentrowane są na jednej jedynej osobie — na kowalu. Postać to, mająca w sobie dużo tęsknoty prometejskiej i coś manfredowsko-ponurego, łączącego się w dziwną całość z południowo-niemiecką serdeczną dobroduszością Hansa Sachsa. Jak go Ryszard Wagner w swych „Meistersingerach” uwiecznił. O ileż głębiej ujęta tutaj została natura ludzka, niż w Henryku z „Dzwonu zatopionego,” z którym „Kuznia w górach” posiada pewne, aczkolwiek bardzo zewnętrzne analogie. Brak jej może śpiewności Dzwonu zatopionego. Melodya, która tam gdzieś z otchłannych głębi tej kuzni w górach dźwięczy, o wiele rozleglejsza jest i nie daje się tak łatwo pochwycić uchem, nieprzyzwyczajonem do rytmów betowenowskich. Tembardziej może i dla tego, że nie wszędzie jest należycie szarmonizowana przez autora, który jeszcze niekiedy myli się w wyborze szczegółów. Ale główny zarys, szkielec tego dramatu, znamionuje głębokiego poetę-myśliciela. A są całe sceny i akty wprost zachwycająco piękne. Dramat w „kuzni” oparty jest na duchowym stosunku mężczyzny i kobiety, skutych więzami wspólnej winy. Kowal i jego młoda żona Katarzyna — to dwie dusze, gnane ku sobie tęsknotą wielką i odpychane równocześnie przekleństwem grzechu. On — typ prawdziwego mężczyzny, sięgającego do głębi rzeczy i zjawisk, niepołamowanego w swej śmiałości czynu, w swej namiętnej tęsknocie harmonii, bezwzględnego w swem pragnieniu uświadomień.

Gewiss, gewiss, mich quälte wilde Gier
 Hinaus, aus meinem einsam engen Haus
 Hinaus zu Dir, zu Dir! Hinaus! hinaus!
 Ich war von Leidenschaften ganz berauscht.
 Ich schreckte nicht vor Grausen und vor Sünden.
 Ich dachte immer, einmal müsst ich's finden!
 Und ihre Kinderseele tat ich rauben
 In letzter sinnbehörter Leidenschaft,

Dass sie mir einmal nur das Glück vermähle,

Dass sie mir einmal nur Erlösung schafft!

(Tak, ach tak! męczyła mnie żądza dzika i gnąła precz z samotnej, ciasnej chaty. Ku tobie, hen! daleko, hen! I namiętności winem upojony, nie drżałem już przed zgrozą, ani grzechem. A myśl ma zawsze była jedna:—raz wszak znaleźć musisz! I duszę jej dziecięcą skradłem w ostatniej ślepej namiętności, aby mnie raz, choć raz ze szczęściem wyswatała, aby mi raz, choć raz zbawienie zgotowała!...).

Ona, zaklęta królewna, czekająca wyzwoleń i przebudzeń, tęskniąca roślinnie niemal za ciepłem miłości, igrająca płoch ostrzami sztyletów zła, tuląca się, jak kotka, do każdej pieszczotliwie wyciągniętej dłoni i podatna, jak glina rzeźbiarska.

Obie te postacie znakomicie utracone w swej typowości płciowej, symboliczne w swej nagości ludzkiej. A przytem poeta zawsze prawie najgłębszą treść ich duszy uwydatnić potrafi. Co za wspaniała scena w drugim akcie np., gdy kowal, powróciwszy ze swych nocnych, tajemniczych wędrówek w góry, zagłębia się w czytanie pisma świętego, a Katarzyna, która tymczasem nawiązała miłośćkę z czeladnikiem Horantem, wszelkimi sposobami stara się wyrwać go z jego ponurych zamyśleń, które ją przejmują strachem. Co za skala kobiecej chytryści, co za moc pokus powierzchni, pragnącej zasłonić gehennę duszy, zdeptać bezmyślnie płomienną mękę oczyszczającego całopalenia i wznieść—tryumf bez kształtu.

Um mich hast du gestündigt! Sag's mir wieder.

(Dla mnie zgrzeszyłeś! Powtórz znowu).

A w tem wszystkim, jak nieustanny jęk dzwonu z głębi, słowa pisma świętego:—Vanitas vanitatum et omnia vanitas!—Beznadziejne rozbijanie się w zawrotnem kole bez końca i krzyk duszy kowala, krzyk pełen męki i pragnienia wyzwoleń.

Wenn du nicht bei mir wärest, dann könnt ich nie

Ans allen Schrecken, die damals getan,

Erlösung finden. Hilf mir Katharina!

(Gdybyś ty nie była przy mnie, nigdybym nie mógł znaleźć wybawienia od tych wszystkich rzeczy strasznych, wówczas dokonanych. Pomóż mi, Katarzyno!).

Punktem kulminacyjnym jest cały akt trzeci, który przedstawia nam kowalą, szukającego w noc burzliwą, wśród skał, w górach, złotej żyły skarbów, dających moc i potęgę i szamoczącego się z jasnym widmem swej młodości, z rzeźkim pielgrzymem, który stara się obudzić z uśpienia w jego duszy dawne, wielkie skarby, zasypane czynami pożądlivości. Akt ten jest jakby jedna wielka pieśń o ponury, wstępie orficzny, zawodzonym przez duchy gór:

Nacht... Nacht
 In Nacht sanken wir.
 Urgestein sind wir geworden.
 Götter mähen die Seelen wie Gras.
 Leben—Leben ist morden...

(Noc!... Noc... W noc nas pogrążono. W pragnęły nas przemieniono. Bogowie dusze koszą, jak trawę. Życie—Życie—to wieczny mord).

Niezwykłe piękny, faustowsko głęboki monolog kowalą, tworzy jakby główny motyw, rozpadający się na dwie części: na pełną zaciętości i pożądlivości „mądrość ziemską“ kowalą:

Die Einzigen, die wirklich leben,
 Niemals tat einer vor Gewalttat beben.
 Jagt rücksichtslos nur der Erfüllung nach.

(Ci jedyni, którzy naprawdę żyją, nigdy nie cofali się przed gwałtem, każdy z nich bezwzględnie szukał tylko urzeczywistnienia swoich pożądań).

i na łkanie tęsknoty samotnego człowieka, któryby pragnął dotrzeć do źródeł światła i szczęścia:

Bist doch ein Einzelner! bist doch allein!
 Was ist der Seele Ungeberdigkeit?
 Was ist der Quel, daraus sie giert und trachtet.
 Dass sie ein einzeln Ding in flücht'ger Zeit!
 Dass sie nach wahren Gute ewig schmachtet!

(Sam jesteś! Ach, samotny bardzo! Czemżeż jest dąsanie się duszy? Czem źródło, skąd jej żądze i czyny płyną? Ach, w tem, że samotna jest w nietrwałości czasu, że wiecznie łaknie prawdziwych dóbr!).

A z tego ponurego monologu, przedzierganego tu i tam błyskawicą dyalogu pomiędzy kowalem a rzeźkim pielgrzymem, wykwita, jak wieniec promienisty, rzucony nagle księżycem na czarną powierzchnię górskiego jeziora, mądrość pielgrzyma, andante religioso, pełne gwiazdnej harmonii:

Du stehst ein Bettler, vor der eignen Tür,
 Wenn Dich Dein eignes Wort und Wissen blendet
 Und Dir Dein geistesmächt'ges Schauen schändet.
 Dem Schauenden ist's Wunder auferbaut
 In Sternennächten—in der eignen Stunde.
 Was aus den grenzenlosen Tiefen schaut,
 Das quillt ein Schauen Dir aus eignem Grunde.
 Du bist ein Bettler vor der eignen Tür,
 Wenn Du dem armen Wissen nur vertraust!
Nicht wieder schaust! Mit ganzer Seele schaust!

(Jak żebrak stoisz przed własnym progiem, gdy słowo własne i własna wiedza cię ślepotą rażą, szpecąc potężny wzrok ducha twego. Albowiem dla patrzącego—zbudowane są cuda w nocach gwiazdnych i we własnej godzinie myśli. A to, co z niezmiierzonych głębi na cię patrzy, może tobie patrzącemu wykwitnąć z własnych otchłani twoich. Żebrakiem jesteś przed własnym progiem, budując na biednej wiedzy własnej, *dopóki znów się nie nauczysz patrzeć, patrzeć duszą całą!*).

W stosunku do aktu trzeciego, akt czwarty i ostatni zarazem osłabia znacznie ogólne wrażenie. Są i tam miejsca piękne, ale zakończenie urywa tylko, a nie wyczerpuje potężnej treści. Coprawda, powracający późno w nocy kowal, zastaje Katarzynę w towarzystwie swego czeladnika Horanta i odgaduje rzeczywisty stan rzeczy, i znów, jak raz już, dawniej, gdy podobna miłośćka nawiązała się była pomiędzy Katarzyną a innym czeladnikiem, który runął w przepaść pod czarem wzroku kowala, jak głosi podanie, składa los swój i wybór w ręce Katarzyny, nie będącej jednak w stanie nic począc ze strachu i pod wpływem wzroku małżonka. Na widok niezdecydowanej Katarzyny i gotującego się do napaści czeladnika, wybucha kowal śmiechem i rzuca się na łożo swoje, ażeby po wyczerpujących i daremnych walkach o złotą żyłę potęgi, zasnąć snem kamiennym. Wie on bowiem dobrze, że łańcuch wspólnej winy, który go skuwa z młodą małżonką, nie może być zerwany przez takiego, jak Horant i że Katarzynę ludzi w tej miłośce blask niewiomości, której ani ko-

wał, ani ona nie posiada, a który niezwłocznieby przepaść musiał, gdyby Horant zapragnął sięgnąć po miłość zakazaną. Potwierdzają nam myśl tę słowa Katarzyny, która nagli Horanta, aby opuścił czempredzej na zawsze dom śpiącego kowala.

Nur gehe — gehe Horant... wirst ein Böser.

(Idź, idźżeż Horancie... bo staniesz się złym).

Ten spokojnie śpiący tytan i czuwająca nad nim młoda żona-niewolnica—to problemat dwojga tych dusz—ale nie rozwiązany. A w tem, że go poeta nie rozwiązuje, że urywa nagle, jak gdyby nam był przedstawił prawa odpływu i przypływu jakiegoś ciemnego perpetuum mobile, w tem leży główna wada tego skądinąd pięknego poematu.

Komedye Karola Hauptmana są o wiele słabsze. Rzeczywistość i marzenie nie godzą się w nich z sobą, a poeta, który chętnie pragnąłby budować monumentalnie, zbyt jeszcze skłonny jest do przesady w charakterystyce swych postaci, które są raczej uosobieniem pewnych uczuć, niż prawdziwymi ludźmi z krwi i kości. Pod tym względem palma pierwszeństwa należy się bezwzruszająco Gerhartowi, który tak świetnie potrafi rysować rzeczywistych ludzi.

Prawdziwemi perłami twórczości Karola Hauptmana są drobne nowelki, które należałoby raczej nazwać poezjami prozą. Wyszły aż trzy tomy tych utworów: „Sonnenwanderer“ (1896 r.), dytyramby pełne miłości natury, „Aus Hütten am Hange“ (1902), poezye głębokiego współczucia i „Miniatury“ (1904 r.), drobiazgi, odznaczające się skończonym artyzmem i zachwycającą romantyką. Kto pragnie lepiej poznać skalę lutni Karola Hauptmana, ten powinien czytać te prześliczne drobne utwory. Przedstawiają one bowiem stronę twórczości poety, dyametralnie niemal przeciwną jego sztuce monumentalnej. Wszystko w nich jest zacieśnione do prawie że pointylistycznej drobiazgowości; ludzie i świat podani w perspektywie jak najmniejszej; zdarzenia i losy widziane pod kątem minimalnym. Na pierwszy rzut oka zdawałoby się mogło, że to impresye naturalisty. Ale poeta zbyt wiele posiada ekspresyi, aby poprzestać na impresyi. Miniatury te nowelistyczne, pomimo swej mikroskopijnej dokładności, odzwierciadlają zawsze duszę, czy to będzie dusza jakiegoś owczarza, pasącego na skłonach gór swoje owce i w snach przeżywającego przeszłość, jakby szeregi obrazów, czy też staruchy mieszkającej wraz z kozą swoją gdzieś w górach, pośród głazów oplecionych głogami i cier-

niem i zapatrzonej podczas nocy letnich w światło bładniebieskie księżycy, czy dusza morza w oczach zabitej fokii, ponad którą mewy wykonują swe białe tańce śmierci, czy dusza tej ciszy niedzielnej w skwarze dni letnich, w swem półsennej zadowoleniu, i w swych snach słoneczno-złocistych ponad zielono-szklaną powierzchnią ocienioną konarami starych drzew sadzawki, czy żegnająca życie, i góry, i wiosnę dziecięco-niewinna dusza żebrakabłazna o sakwie pełnej kwiecica białego zawilca... Są tam w tych miniaturach nowelistycznych obrazy morza i zaułków miejskich, salonów wytwornych i pól, lasów i gór. Morze maluje poeta z intuicyą duszy, pokrewnej oceanowej powadze i głębi. Ale ponad wszystkim górują obrazy Gór Olbrzymich. Ten świat, znany nam z poezyi Gerharta, te nędzne, zakopcone chatynki w górach, zdala od świata, te biedne, a tak wyraziste postacie górali szląskich, cała poezya wzgórz zielonych i szarych, mchem upstrzonych skał, wyniosłych i poważnych, jak arkady katedralne, cichych lasów jodłowych i owych fiołkowo-niebieskich dolin, wąwozów i niebieskawo-szarych dali—wszystko to znajdujemy również u Karola Hauptnana.

Góry Olbrzymie posiadają poezyę heroicznie wyniosłą, ale jasną i pogodną. Długi, nagi grzbiet, tworzący jedno nieprzerwane pasmo i wznoszący się ponad fałdami lasów czarnych i zielonych skłonów, jest w zarysach swych betowenowsko-szerokim, ale nigdzie ponurym. Jedyne może zacieśnione pomiędzy górami doliny i wąwozy odznaczają się fantastyką groteskową świata gnomów, która jednak bardzo często się łączy z idyllą pełnych wdzięku siedzib ludzkich, sadów, prześwieżych potoków górskich, młynów wodnych i wodospadów w dziwną całość. Coś z pogody epickiej jest w obrazie tych gór. Ma się, patrząc na nie, widzenie potężnego podróżnika—Wotana, w płaszczu z czarnych obłoków, rozwiewanych wiatrem halnym, w nasuniętym na prawe, ślepe oko, kapeluszu podróżnika, z potężnym kosturem w dłoni i dwoma wilkami przy boku. Owego Wotana, który jeszcze nie zwątpił o potędze bogów i który wbrew przepowiedniom złowrogim stara się na własną rękę rozsypać powiklane nici losów, sprzęgających życie bogów i ludzi. Jeszcze wiedza jego o świecie stoi niezachwiana

In der Erde Tiefe
tagen die Nebelungen:
Nibelheim ist ihr Land...

.....

Auf der Erde Rücken
wuchtet der Riesen Geschlecht:
Riesenheim ist ihr Land...

• • • • •
Auf wolkigen Höl'n
wohnen die Götter:
Walhall heisst ihr Saal.
Lichtalben sind sie.
Licht — Alberich
Wotan, waltet der Schaar!

(*Ryszard Wagner: Pierścień Nibelungów.*)

(W głębiach ziemi pędzi swe dni ród Nibelungów. A kraj ich zwie się Nibelheim... Na grzbiecie ziemi włada potężny ród olbrzymów, a kraj ich zwie się Olbrzymoświat... Na szczytach nadehmurnych mieszkają bogowie. Walhallą zwie się ich pałac. Światłoduchy to, a Wotan Alberyeh-świeflany (antyteza względem Alberycha, króla Nibelungów) rządzi ich zastępami...)

Zmierzech bogów jeszcze daleko, daleko...

W wichrach jesiennych i zawieruchach śnieżnych, wśród Gór Olbrzymich jest może czasami trochę grozy, ale to więcej łkanie i szamotanie się, tęskne zawodzenie i zgrzyt gniewu, niż grzmoty niemilosiernego zniszczenia i okrucieństwo alpejskich wichrów i lawin. Dlatego stary Huhn i Wodnik, czarownica Wittich i Wann—a przedewszystkiem ich protoplasta, rudobrody olbrzym, Rübezahl—posiadają wszyscy tak sporą dozę dobroduszości. Dlatego może Gerhart i Karol Hauptman tak chętnie śpiewają pieśni pełne łez i uśmiechów przez łzy, zadumane, jak jeziora górskie, jasne, jak łzy wodospadów i pieśni o księżycowo-srebrnym dźwięku romantycznej idylli, mogące się spotęgować do heroicznie-wymiosłej, słoneczno-złotej pogody epopei zdramatyzowanej. A porównując tych dwóch braci, których braterstwo tak widoczne przybrało cechy, możnaby Gerharta nazwać górskim wodospadem, mieniącym się grą promienistą objawień tęczy, Karola zaś opoką. Nie ową ponurą, wyszczerbioną i nagą skałą „wygrządzającą niebiosom,” ale opoką o dość krągłym, gdzieniegdzie mchem aksamitnym złagodzonym kształcie, posiadającym pogodę jowiszowego oblicza. Obaj są przedewszystkiem synami Gór Olbrzymich.

Ostatnie dzieło Karola Hauptmana, dramat „Mojżesz“ nowe nasuwa analogie. W utworze tym dopiął Karol Hauptman poraż pierwszy jednego ze szczytów swojej twórczości. Że dzieło to, jako monumentalny utwór, można śmiało postawić obok „Florya-

na Geyera,“ będzie niezawodnie najwyższą pochwałą dla autora. Pod względem techniki dramatycznej różnią się te dwa utwory zasadniczo; jako udatne próby stworzenia typu wielkiego człowieka, są sobie bardzo bliskie. Mojżesz Karola Hauptmana jest imponującą postacią, rosnącą nam w oczach w ciągu całego dramatu do rozmiarów olbrzymich. Dramat obejmuje w swych 5-ciu aktach: wyprowadzenie ludu żydowskiego z niewoli egipskiej i 40 lat błąkania się w pustyni. Widzimy więc w pierwszym akcie Mojżesza jako 40-toletniego męża, gotującego się do kroku stanowczego, w drugim—powracającego z góry Synai, w trzecim—przyjmującego wysłanych na zwiady do ziemi obiecanej posłów i broniącego namiotu z przykazaniami przed gniewem ludu, w czwartym—już jako 70-cioletniego starca patrzącego na śmierć Aarona, w piątym—jako 80-cioletniego proroka, umierającego na górze Nebo, z wzrokiem, pełnym zachwytu, utkwionym w roztańczający się u stóp jego obraz ziemi obiecanej. W tem, jak Karol Hauptman potrafił nam ciągle potęgować się tej postaci uwydatnić, leży najwyższa jego zasługa. Już w pierwszym akcie, pod względem scenicznym może trochę przydługim, przedstawia się nam Mojżesz, jako mąż niezłomny, zdecydowany wziąć na barki swe losy całego narodu żydowskiego, ale płaczący nad koniecznością okupienia tej wolności tyloma ofiarami i przerażony ponurym jękiem rozpaczki, którym anioł śmierci znaczy drogę swoją wśród narodu egipskiego. W drugim akcie widzimy go, jako prawodawcę, powracającego z wyżyn podobłocznych na padół pełen nędzy i zdrady, a prawo boskie, którem dusza jego wypełniona została po brzegi, zapala w nim błyskawice gniewu i pogardy dla nizkości ludzkiej. W trzecim akcie gniew ten i pogarda przebrały się już w piołunowo-gorzka wiedzę:

Ja, liebe Vater!... Knechte!... Knechte, die
im Frohndienst feige und im Denken niedrig
geworden... deren Mut im Wohlergehen
uns reichlich scheint... für Taten aber bald
versiegt ist...

(Tak, tak, ojcowie mili! Toć to niewolnicy!, którzy w służbie pańszczyźnianej tchórzami się stali, a w myślach swych tak nizecy... których męstwo w dobrobycie tak obfitem się wydaje, a w dobie czynu rychło zanika...)

Ale mimo to wiedza ta, która boli, rąk do czynu me wiąże, a dziwna potęga, jak błysk światła, jak piorun tęsknoty—tak po-

wiada stary Ben Hur o Mojżeszu—wylewa się zeń ożywczą swą potęgą przez oko pełne jasnowiedzenia, na każdą najmniejszą nawet cząstkę swego narodu. Tutaj zbliża się postać tego Mojżesza do genialnej rzeźby Michała Anioła. W czwartym akcie, przedstawiającym Mojżesza po 30-tu latach błąkania się narodu żydowskiego w pustyni, mamy przed sobą mędrca sędziwego, który poznał rzeczy boskie i ludzkie, którego dusza stała się cichą, wiedzącą, cierpliwą, jasną i dyamentowo-mocną. Wspaniała jest w akcie tym kulminacyjna scena, przedstawiająca Aarona i Mojżesza, zdążających nocą ku górze Hor, gdzie, stosownie do zwiaśtowania anielskiego, zgrzybiały Aaron ma oddać Bogu ducha swego. W rozmowie tych dwóch starców, którzy przez całe życie szli ręką w rękę, przejęci jedną wielką nadzieją, posłuszni jednej wielkiej myśli, jest taki majestat uciszenia się, taka powaga i tak głębokie nabożeństwo, że zdawałoby się niepodobieństwem, aby wrażenie tej sceny mogło być jeszcze przez akt piąty przewyższone. A jednak nawet i to udaje się Karolowi Hauptmannowi. Ostatni akt, przedstawiający śmierć Mojżesza, w godny sposób wieńczy wspaniałą kopułą dzieło, które wsparte na szerokich, dość grubo obciosanych podwalinach aktu pierwszego, robi wrażenie wielkiej, wspinającej się ku niebiosom bazyliki. Mojżesz składa na barki Jozuego swój urząd wodza narodu żydowskiego. Słowa, w które zamyka swą puściznę, zawierają mądrość całego żywota. Cała siła mojrzeszowej energii jeszcze raz w nich wzbiera, ażeby zagrznieć wielkim rozkazem i przekleństwem dla wszelkiej przyziemności ludzkiej. A gdy cała ta litania gniewu, której Jozue wtóruje swem „Niechaj tak będzie,“ zostaje wyczerpana i wiatry poranne zaczynają rozsuwać mgły, zasłaniające jeszcze ziemię obiecaną, nastaje chwila pełnego oczekiwania skupienia.

Du wirst jetzt meine Hand halten, nun ich
auf dieser Felsenhöhe stehe .. und
das Land mit Augen wirklich sehen werde...
die Weinberge und Weizenafeln endlich...
die Jordanaue, über der im Glanze
die Lerchen jauchzen... Oh! ich werde beben...
die höchste Stunde Glückes, wird jetzt mein sein...
auch deines... Josua!

(A teraz ujmiesz moją rękę, powiada Mojżesz do Jozuego, gdy tam na skale stanę... patrząc nareszcie oczyma memi na ziemię ową... na winnice i pola przennieczne, na łąki Jordanu, ponad którymi skowronki w blasku radość głoszą... Oh, boć dygotać

będę... Godzina najwyższego szczęścia stanie się teraz moim udziałem i Twoim... Jozua!...)

I naraz obraz upragniony, skąpany w świeżość poranku słonecznego, staje przed zachwyconym wzrokiem proroka i dusza jego porwana w sfery nieziemskiego już zachwytu, cała w hejnał radosnego dziękczynienia się zamienia, łka radością poznania dróg Bożych i własnego dzieła i rozplywa się w jednym, wielkim ekstatycznym błogosławieństwie.

... Wie eine Mutter

ihre Kind in ihren Arm nimmt, es zu bergen,
so fasst jetzt Jahwes niedrer Diener Moses
das Land der Väter leiblich mit den Augen
und presst es an sich... saugt es in sich... füllt
mit diesem Glücke seine ganze Seele
wahrhaftig bis zum Rande... ja... ich schaue
ich greife es... es ist das Land... ja wirklich...
in meinem Herzen hab' ich es getragen,
als heimlich-süße Lockung... ich erkenne es...
Nein, meine Augen sind nicht schwach geworden,
und meine Kräfte sind noch nicht verfallen...
Jetzt leuchtet volle Sonne!... sieh! oh sieh!
das ist das Land der Väter... das ich jetzt
mit Augen schaue... ja... das heilige Land,
das ich in Drangsal allzeit mitgetragen...
gesegnet!... sei gesegnet!... sei gesegnet!

(Jak macierz, która dziecię swe ramieniem opiekuńczo ogarnia, tak Mojżesz, lichy sługa Jehowy, obejmuje teraz cielesnym wzrokiem swoją ziemię ojców, przyciska ją do łona... wsysa jej widok w siebie, ... całą duszę wypełnia tem szczęściem. zaprawdę aż po brzegi... Tak... widzę... chwytam ją... to ziemia owa... zaprawdę... w sercu ją swoim nosiłem, jako tajemno-słodką zapowiedź... poznaję ją... Nie, oczy moje jeszcze nie osłabły, a siła moja jeszcze krzepka... A teraz pełne słońce świeci!... patrz! o patrz! Toć ziemia ojców... którą teraz okiem widzę... tak... święta ziemia, którą nosiłem w sobie wśród ucisków zawsze... Błogosławiona!... bądź błogosławiona!... bądź błogosławiona!).

Dramat ten, który poza wspaniałą swą charakterystyką Mojżeszową zawiera bardzo trafnie ujęte etnograficzne epizody z życia koczowniczego i stopniowego przekształcania się narodu żydowskiego, stawia Karola Hauptmana w rzędzie najpierwszych twór-

ców doby dzisiejszej w Niemczech. Oczekiwać odeń możemy w przyszłości rzeczy wielkich.

Wystawienie tego dzieła na scenie, po dokonaniu pewnych skróceń, byłoby rzeczą pożądaną, a przypuszczam, że może jedynie z wyjątkiem pierwszego aktu, całość, mimo swego charakteru zdramatyzowanej epopei, wywołaćby powinna silne wrażenie. Ale czyż teatry dbają o podobne dzieła!—o podobne sukcesy?... Im chodzi przedewszystkiem o strawę lekką, o błahostki i trywialności, któreby można było po kilkadziesiąt razy z rzędu powtórzyć i olbrzymio na tem zarobić. A większość publiczności będzie ich w tem dążeniu zawsze popierała, boć teatr dziś nie myśli o kształceniu publiczności, lecz stosuje się jedynie do życzeń większości. Większość ta dziś dyktuje teatrom prawa. Trudno nieraz zrozumieć, odwiedzając częściej premiery, w jaki sposób tyle nędzoty można było zakwalifikować do wystawienia. Wszak są i dość często zjawiają się dzieła o wiele bardziej wartościowe. Kto czyta te utwory i wybiera w końcu — najlichsze, najpłytsze, najtrywialniejsze?... Dla znającego stosunki wewnętrzne teatrów nie jest tajemnicą, że przedewszystkiem czyta je i segreguje geszefciarz... I czyż może być inaczej?...

*

*

*

Z nowości w ciągu ubiegłego sezonu teatralnego zaledwie kilka zasługuje na uwagę, pomimo że istnieje około kilkudziesięciu większych teatrów w Niemczech i Austrii. Ale być może, że niejeden z tych teatrów wystawił nawet przypadkiem jakiś lepszy, poważniejszy utwór sceniczny. Utwory takie znikają z desek teatralnych zazwyczaj już po kilku przedstawieniach, jak mgła. Nikt o nie nie dba, prasa nie była w stanie zorientować się jeszcze co do ich dobroci—powierzchnowa prasa orientuje się w takich wypadkach bardzo ociężale—i znikły one, aż kiedyś później ktoś bardziej uważny, a najczęściej sama przyszłość „korektorka wieczna“ wyciągnie je z zapyłonych archiwów przed światło ramp—i wejdą w modę. A świat się dziwić będzie, że ich nikt przedtem nie wielbił. W podobny sposób dziś wypłynął na powierzchnię teatralną i stał się modnym Fryderyk Hebbel, gdy się narzeczcie przekonano, że pośród wybitniejszych niemieckich talen-

tów dramatycznych, jak Grillparzer, Kleist, Otto Ludwig, on to najbardziej się wyemancypował z pod wpływu Szyllera i najbardziej zasługuje na imię: poprzednika Ibsena. W ciągu ubiegłego sezonu wystawiano dość obficie jego dzieła, a przedewszystkiem tragedye: „Judytę“, „Agnes Bernauer“, „Herodes und Mariane“, a nawet gdzieniegdzie prześliczny, dotychczas nie należycie przez publiczność niemiecką oceniony, zachwycający subtelną symboliką — „Pierścień Gyges'a.“ Że większość tych utworów, dziś tak popularnych, była swego czasu ostro przez krytykę ganiona, jest rzeczą naturalną. Niejeden lata całe czekać musiał na swoje wystawienie. Gdybym chciał zacytować te krytyki, które się do dziś dnia przechowały, mógłbym niejednego ubawić. Pomijając je, nie mogę sobie jednakże odmówić przyjemności — skoro już musnęliśmy w przelocie humorystykę krytyk — zacytować zdanie księcia Hohenlohego, byłego kanclerza i wujaszka cesarskiego, wyjętą z jego aktualnych i „drogocennych“ pamiętników, zdanie o — Hanusi Hauptmana (mam nadzieję, że łaskawi czytelnicy darują mi to zбочenie z drogi). Wzmianka ta była napisana dn. 14 grudnia 1893 roku i brzmi następująco:

„Dziś wieczór byliśmy na „Hanusi.“ Wstrętnie partacka robota o socyalno-demokratycznej tendencji, realistyczna i pełna mistyki chorobliwie-sentymentalnej, fatalnie denerwująca przytem — słowem coś obrzydliwego. Byliśmy później u Borchardt'a (znana restauracya w Berlinie), aby przy szampanie i kawiorze wprawić się w nastrój ducha, bardziej odpowiadający godności ludzkiej.“

Tak sądzi współczesność, i to nie tylko t. zw. motłoch, krzyżący: panem et circenses! Poza utworami Hebbła grano dużo Szekspira we wspaniałych wystawach. Szczególnie „Kupiec wenecki“ w Berlinie, ze znakomitym Schildkrautem, nową gwiazdą sceny berlińskiej, jako Szylokiem, zasługuje na wzmiankę obok okazałej wystawy również szekspirowskiej „Bajki zimowej.“

Pośród nowszych autorów berło pierwszeństwa zyskali, jako najczęściej grani, trzech cudzoziemcy: Bernhard Shaw, Oscar Wilde i Maksym Gorkij. Nadspodziewanie mało grano Ibsena, co ze względu na niedawną śmierć mistrza i zazwyczaj towarzyszące takiej okoliczności ożywienie się kultu, jest jednym objawem więcej, jak mało poeta ten jest popularny, pomimo wszelkich deklamacyj i szumnie brzmiących panegiryków. Za to mnożą się różnego rodzaju publikacye ibsenowskie. Obok 10-cio tomowego wydania kompletnego dzieł Ibsena przy współudziale Jerzego Brandesa, Juliusza Eljasza i Pawła Schlenther'a i 5-cio tomowego tańszego wydania (oba w nakładzie berlińskim S. Fischera), wychodzić obecnie za-

Nowsza poezya dramatyczna niemiecka nie dostarczyła w ciągu ubiegłego sezonu zbyt obfitego żniwa teatrom. Pośród całej powodzi rzeczy miernych odznaczają się przynajmniej scenicznymi zaletami takie utwory jak „der Graf von Charolais“ Beer-Hofman'a, dramat będący właściwie przeróbką starego, angielskiego dramatu „The Fatal Dowry“, napisanego przez Massingsa i Fielda, lub „der Andere“ (Drugi) Juliusza Bab'a umiejętnie zdramatyzowana nowella Boccaccia. Podobnego rodzaju „przerabiane“ utwory, niezwykle liczne od czasu udatnych prób Hofmannsthal'a („Uratowana Wenecya“ — „Elektra“ — „Edyp i Sfinks“), są przeważnie sztucznymi konstrukcjami bez prawdziwie dramatycznego tętna. Technicznie przedstawiają się okazale, a czasami nawet, jak utwór Bab'a, który jako krytyk teatralny należy do najbardziej paradoksalnych teoretyków—imponująco. Ale napróżno w nich szukać głębi i prawdy pod różem i blanszem sztuczności.

Ciekawą premierą było drugie t. zw. „Przedstawienie kameralne“ w Deutsches Theater, w Berlinie. Przedstawienia te, dostępne szczupłej tylko garstce bogatych abonentów, mają pretensyę głoszenia sztuki ekskluzywnej. W rzeczywistości są niczem innym, jak w ramach niezwykłych podaną sensacją, która snadź służy organizmom bogaczy berlińskich. Premierą tą było „Przebudzenie się wiosny“ (Frühlings Erwachen) Franciszka Wedekinda. Utwór niezwykle charakteryzujący autora. Poznajemy w nim bowiem Wedekinda takim, jakim musiał być na początku swej twórczości. Utwór ten, nie będący właściwie dramatem, ale szeregiem luźnych scen, przedstawia psychologicznie bardzo trafne spostrzeżenia z niezdrowej atmosfery wielkich miast. To przebudzenie się Wiosny w różnego rodzaju młodych dziewczętach i chłopcach wielkomijskich, posiada w sobie bardzo wiele prawdziwej brzydoty. Taką była i jest młodość większej części młodzieży ze sfer tak zwanych „inteligentnych“, we wszystkich niemal miastach dzisiejszego świata ucywilizowanego. Kto ją zna, pojmie skąd się bierze tak bardzo dziś rozpowszechniony cynizm, kryjący się częstokroć pod maską indyfferentyzmu, i dlaczego tak mało spotykamy prawdziwego zapału i idealizmu. Toć młodzież ta w pąkowiu swego rozkwitu zatruta i splamiona beczelnymi rękoma niepowołanych, którzy, nie dorósłszy do poziomu „wychowawców“, stają się, nie wiadomo jakim prawem, rodzicami—rzadko kiedy jest w stanie przyjść znów do siebie, wyzdrowieć i odrodzić się. Są to przeważnie moralne kaleki, mający przytem beczelność tłumaczenia swego kalectwa, jako „wyższości.“ Jak-

żeż często widzi się podobnego pokroju rodziców z przypadku, i wychowawców z przypadku, i podobnego pokroju dzieci, noszące od kolebki niemal stygmat przewinień przeciwko duchowi świętemu. W „Przebudzeniu się Wiosny“ potrafił Wedekind wielorakie odcienie tego zła uwidocznić. Szkoda, że, zamiast nadać swoim spostrzeżeniom bardziej odpowiednią formę powieściową, wybrał szatę dramatyczną i to w dodatku tak nieudatną. Wystawienie tego dzieła w takiej formie i wobec takiej publiczności miało w sobie coś olbrzymio-karykaturalnego, do czego przyczyniały się pozatem zupełnie zbyteczne, silnie perwersyjną zabarwione ustępy, jak na przykład zakończenie aktu pierwszego, lub scena szósta aktu trzeciego i zakończenie, które nacechowane jest owym kłownowskim cynizmem Wedekinda, znanym nam już dostatecznie skądinąd. Bądź co bądź utwór ten dla każdego, pragnącego lepiej zrozumieć twórcę-Wedekinda, będzie ważnym kluczem. Wedekind jest bowiem nie tylko artystą, kształtującym tę smutną część naszej teraźniejszości, ale żyjącym nią. Bardzo wiele z tego świata perwersyj, dziwactw i chorobliwości płciowych, musiał w sobie wziąć, aby je tak ogarnąć i wyczerpać, ale przewyciężyć ich nie potrafił. Stąd jego śmiech cyniczny, lubiący się zdobić maską kłowną, stąd jego liryka potworna i sadyistyczna rozkosz okrucieństwa. Mimo to większa część jego dzieł posiada znaczenie dokumentów i może kiedyś, jak dla nas „Uczta Trymalchiona“ wykwitłego Petroniusza świadczyć będzie potonności o obyczajach i zepsuciu wielkich naszych centrów przemysłowo-handlowo-administracyjnych, których symbolem jest Lulu-nierządnicą. „Duch ziemi“ w połączeniu z „Puszką Pandory“, która nareszcie, oczyszczona w płomieniach cenzury, wyszła w nowej szacie z druku, tworzą całość niezmiernie charakterystyczną, jednolitą i bez zarzutu pod względem artystycznej jedności. Dopiero przez „Puszkę Pandory“ nabierają te dwa dramaty iście tragicznej grozy, a czyny Lulu, właściwie jej absolutna bierność, owe najniższe stadyum upodlenia duszy, znajdują w piekielnym uścisku zbrodni z wielką konsekwencją przeprowadzone unicestwienie. Lulu w objęciach niemiłosiernych szalonego rozpustnika, w brudnej, wstrętnej izdebce na poddaszu w londyńskim Whitechapel, podczas gdy pełna niezwykłego, na gruncie zwyrodnionych popędów wykwitłego poświęcenia panna von Geschwitz, którą mieliśmy sposobność poznać przelotnie w ostatnim akcie „Ducha ziemi“ i która jest właściwą bohaterką „Puszki Pandory“, — tak autor chce przynajmniej — kona od ran zadanych jej nożem owego

szaleńca. Oto epilog tej wstrętnej tragedyi. Dodać należy, iż „rozpruwacza“ gra z wielkim zapałem sam autor.

*

*

*

Śród typowych fabrykatów cukierniczych dla sceny mamy w obecnym sezonie teatralnym aż dwa do zaznaczenia. Jednym (das Blumenboot) obdarzył nas Hermann Suderman, drugim (der Heimliche König) — Ludwik Fulda. Jeżeli, jak się słusznie swego czasu Alfred Kerr wyraził, Suderman posiada w sobie dużo elegancyi—fryzyerskiej, to pozostając przy tem porównaniu będziemy mogli zamaszystość Fuldy nazwać szykiem — subjekta. Śród autorów, którzy już oddawna zasłużyli na ostrą krytykę, zajmuje dziś Fulda, po detronizacyi Sudermana—najprzedniejsze miejsce. Jeżeli do dziś dnia uszedł swemu losowi, to przypisać taką dlań pobłażliwość należy jedynie jego zdolności udawania. Jako kameleon, który, wdrapawszy się na gałązkę jakąś, potrafi w razie potrzeby przybrać zielony kolor liścia Fulda wdrapuje się na każdy symbol, który mu się wydaje czemś zuamiennem, i potrafi się do każdego kolorem swego specjalnie w tym kierunku wyrobionego naskórka artystycznego przystosować. Nawet pozory myśli udaje mu się częstokroć przybierać. Żonglując z ową bezczelnością, właściwą umysłom karlim, wielkimi słowami, których znaczenia ani przeczuć, ani zrozumieć nie potrafi, nie zleknie się żadnego świętokradztwa. A ponieważ pisze wierszem tak gładkim i potocznym, że możnaby go jednym tchem recytować, jak to naprzykład recytują swoje bogato parabazami naszpikowane filipiki zane kumoszki, więc i bardzo wielu ani się połapie, jak już 49 grzechów przeciwko Duchowi świętemu przemknie i dopiero na 50-ym można będzie na chwilę zatrzymać nadużyta uwagę. Dlatego może nie dość jeszcze ostrą otrzymał odprawę, poeta dramatyczny—Ludwik Fulda. Ale zbyć go tylko uśmiechem, byłoby rzeczą niesłuszną, bo właśnie ten kameleonizm, pozujący na natchnienie, jest jednym z najszkodliwszych objawów deprawacyi umysłowej, które muszą być piętnowane wszędzie i zawsze. Wolimy gburów i zdeklarowanych wrogów postępu nawet, niż owe mgliste karykatury.

„Tajemny król“ jest jedną z parafraz owych pseudo-idei, które Fulda swego czasu w „Talizmanie“ eksploatował. Mają one

niby antymonarchiczne zabarwienie. Ale ta wolnomyślność tak jest przykładną, że nie mogłaby nawet przeszkodzić udekorowaniu autora pruskim orderem pour le mérite.

Treść dramatu mniej więcej następująca:

Król, chory i niedołężny potomek niegdyś bohaterskiego rodu stara się ukryć swoje braki fizyczne i duchowe tem, że jest prawie niedostępny i niewidzialny dla swych poddanych. Rządy sprawuje marszałek dworu, lekarz nadworny i kapelan (postacie nie tylko bez wyrazu, ale w anachronizmie swym niemożliwe). Raz tylko na dzień zjawia się na ulicach lektyka króla niesiona przez hajduków dworskich i witana entuzjastycznie przez tłumy, które rade są, jeżeli się im uda zobaczyć chociażby koniec nosa monarchy, po przez firanki lektyki. I byłoby dobrze tak, gdyby król nie był śmiertelny. Oto król ów zachorował ciężko, bez nadziejnje. Marszałek, lekarz i ksiądz, którzy bynajmniej nie pragną postradać swej nieograniczonej władzy, dokładają wszelkich usiłowań, aby go przy życiu zachować, co im się jednakże nie udaje. W chwili śmierci króla znajdujący się na dworze królewskim pastuch młody Peredur, którego piękna Siguna córka marszałka, upatrzyła sobie na kochanka, daje zrozpaczonym dworzanom radę, aby na miejsce umarłego króla obrali lalkę drewnianą, która ma mniej więcej te same zalety co nieboszczyk, bo nie przeży, a nadto nie umiera. (Zadziwiający spryt!) Kłaniać jej się będzie lud naturalnie z równym zapałem, jeżeli się z lektyką na ulicach miasta spotka. Po pewnem wahaniu się decydują się wreszcie dworzanie wprowadzić projekt Peredura w czyn. Zgromadzony przed pałacem królewskim szemrzący lud, który w utworze Fuldy, gra rolę „deus ex machina,“ zostaje uspokojony wiadomością, że zdrowie króla znacznie się polepszyło i że tego jeszcze wieczora zamierza użyć codziennej przechadzki w lektyce przez ulice stołeczne. Drugim deus ex machina jest „wróg,“ który grozi wojną i wysyła posłów, domagających się koniecznie audyencji u króla. Tymczasem naród ochłonawszy z pierwszego wiernopoddańczego strachu, gromadzi się znów u wrót pałacu, żądając, aby król myślał o potomku, czyli szukał żony. Dworzanie są znów zrozpaczeni, bo ożenienie króla drewnianego połączone jest z trudnościami nie do przebycia. Z tego korzysta Siguna, przyłapana przez ojca-marszałka na schadzce z Peredurem i skazana na wygnanie klasztorne. (Peredur zaś został wrzucony do lochów zamkowych). Siguna decyduje się zostać żoną króla drewnianego, ale pod warunkiem, że wszystkie funkcye tego małżonka de nomine, spełniać będzie de facto i w ukryciu kochanek Peredur. To ma

być według Fuldy ironia, a wygląda w rzeczywistości na tłusty dowcip Mikosza. Dworzanie, a na czele ich marszałek-ojciec, mając nóż na gardle, zgadzają się na propozycję Siguny. Sytuacja uratowana! Teraz wstępuje znów drugi deus ex machina w akcję (skądżeby się bowiem wzięła akcja). Wróg domaga się zapłacenia haraczu i — o zapleśniała reminiscencyo! — tysiąca brańców i branek. Dworzanie w zasadzie gotowi są do wszelkich ustępstw, ale co powie pierwszy deus ex machina — lud? Odpowiedź musi tym razem dać pastuch Peredur, ponieważ drewniany król mówić nie potrafi. W tajnem posiedzeniu rady państwa przygotowują dworzanie Peredura do tej nowej roli, ale z bardzo ujemnym rezultatem, ponieważ Peredur pod żadnym warunkiem dopuścić nie chce zapłacenia haraczu.

Po scenie tej następuje—poskromienie niewiasty. Fulda czytał zapewne niejednokrotnie, że kobieta poslušna być winna mężczyźnie... I będzie panem twoim... Dla uwydatnienia więc zalet męzkich Peredura potrzeba, aby poskromił niewiastę. Siguna kocha Peredura, jak może dziecko zabawki swe kocha, nie chce jednak bynajmniej aby mieszał się w sprawy państwowe. Wszak na to jest ojciec-marszałek posiadający dostateczną wprawę. Peredur sprzeciwia się stanowczo takiemu pogładowi na jego stanowisko męża. Kobieta zostaje poskromiona, a delegacya ludu otrzymuje ku przerażeniu dworzan zapewnienie, że haracz upokarzający nie zostanie pod żadnym warunkiem zapłacony. Posłom wroga ukazuje tię pastuch w złotej, ciężkiej zbroi króla Artusa, której nieboszczyk król nie był w stanie udźwignąć, i z podniesionym mieczem w dłoni wypowiada wojnę. Kobieta i lud składają mu hołd. Widzimy znów, jak uważnie Fulda notuje wszelakie symboliczne reminiscencye, mogące łatwo nadać sztuce jego pozory myśli — kobieta i lud, jako naiwni, nieprzekupni sędziowie, jako głos serca! Wszak tak u niejednego z wielkich stoi. Dobrze! Weźmy kobietę i lud na wszelki przypadek, myśli Fulda. Że wybór Siguny opiera się właściwie na instynkcie samiczki, szukającej zdrowych i silnych... Dewajtysowych muszkułów, i że przez to ów symbol piękny staje się karykaturą, o tem Fulda pojęcia niema, gdy tymczasem poważnego widza wita z pod tej bezprawnie przywłaszczonej lwiej skóry aż nadto dobrze znana sierć...

Zagalopowawszy się już tak daleko, musi Peredur objąć dowództwo wojsk i jak dziewica orleańska stanąć na czele armii. Tylko że dziewica orleańska innemi środkami działała na męstwo wojsk francuskich, niż nie mający pojęcia o strategice pastuch-dowódca. Ale dlaczegóżby nie?... Wszak i autor, nie mając poję-

cia o tem co to jest sztuka, pisze wierszowane dramaty. Pokrewieństwa takie obowiązują. Że pastuch zdobywa wawrzyny jest rzeczą naturalną, bo tak wszystkie tego rodzaju szopkowe dramaty się kończą. Ale Fulda jeszcze dalej idzie, pragnąc w zakończeniu jeszcze raz okazać się człowiekiem nowożytnym i satyrykiem. Dufny w swoje zwycięstwa pastuch zaczyna po powrocie coraz bardziej mięszać się w sprawy państwowe, a ponieważ Siguna powija mu syna, prawa jego rzeczywiście coraz bardziej rosną. Zawiazuje się tajny komplot dworzan przeciw Peredurowi, mający na celu otrucie niewygodnego intruza. Siguna z przebiegłością kobiety dowiaduje się zawczasu o tych zamiarach, ale nie wspomina nic Peredurowi o grożącym niebezpieczeństwie. Widocznie dla zachowania stylu dramatu, aby przypadkiem pod koniec nie powstała jednak potrzeba akcji, której w ciągu całego dramatu ani śladu niema. Siguna przekupuje hajduków noszących codziennie lektykę z królem-lalką, aby niby przypadkiem potknąwszy się lektykę przewrócili i aby naród zobaczył jej zawartość. Tak się też staje. I wzburzony lud, ów wielokrotnie cytowany deus ex machina, staje groźny u wrót pałacowych. Rzecz się wyjaśnia. Oburzeni posłowie ludu, poznając w Peredurze pastucha, nie chcą uznać go za króla. Partya dworska korzysta z tego, aby natychmiast obwołać królem księcia Lancelotu, kompletnego idyotę co prawda, ale prawdziwego księcia krwi. Wobec takiego obrotu rzeczy decyduje się wkońcu pewna część ludu stanąć po stronie Peredura, Siguny i dziecka i wraz z nimi opuścić kraj, aby gdzieś, za morzem stworzyć nowe, wolniejsze i lepsze państwo. Oto szematy, według których zredukowany Rostand niemiecki pisze swoje dramaty. Poznawszy raz ich zasadniczy, niezmienny charakter, będziemy je mogli nadal ignorować zupełnie. Będzie to najodpowiedniejszym względem nich zachowaniem.

O komedyi Sudermana nie mam nic nowego do powiedzenia. Berlin W. utwory takie niegdyś lubiał. Dziś jednakże pożąda potraw bardziej pieprzno przyrządzonych. Ot, taka Salome Wilda z muzyką Straussa chociażby, albo taki Wedekind, taka krwawa Elektra Hofmannsthala (co prawda zbyt już posagowo piękna, pomimo swej krwawości), tacy obdartusi Gorkiego, albo takie postacie, jak pani Warren Shawa, albo wkońcu tacy ajenci polityjni, jak ich Doyle opisuje, albo Ferdynand Bonn wystawia i gra — to przynajmniej coś, co pobudza!... Haut gout! — Cóż robić. Richesse oblige.

*

*

*

Upodobaniom tym w wysokiej mierze odpowiada ostatni ta-siemcowy utwór Ottona Juliusza Bierbauma, cztero-tomowa powieść „Prinz Kuckuck.“ Historia życia, czynów, myśli i porwania do piekieł rozpustnika. Spotykamy się w niej bowiem ze wszystkimi odcieniami wyuzdania i perwersyi płciowej, z niesmaczną roz-wlekłością i niepotrzebną dokładnością opisów niczem ze stano-wiska sztuki nie uzasadnionych. Autor w przedmowie swej po-święconej Holgerowi Drachmanowi stara się, co prawda, wywołać zupełnie inne wrażenie, ale przedmowa ta jest jedną z najgor-szych pomiędzy lichemi przedmowami Bierbauma, a możnaby o niej rzeczywiście powiedzieć, że „ani przypiął, ani przyłatał.“ W grun-tcie rzeczy cały utwór ten jest marną elukubracyą przedstawiającą tylko bardzo powierzchownie naszkicowaną powierzchnię świata, którego duszę o wiele umiejętniej przedstawia Wedekind. A pra-wie zapomnieć można w trakcie czytania nużącego, że utwór ten ma być wielką epopeą humorystyczną, coś w rodzaju satyryczno-humorystycznego Don Żuana, pojętnego bądź co bądź mózgiem snoba. Myśl przewodnia: Prinz Kuckuck, jako milioner używający życia, czyli pieniądź i zmysły:—najniższy stopień „używania,“ jako mądrość życiowa. Ideał kelnera.

A przecież nazwisko Bierbauma w innem zgoła towarzystwie niegdyś spotykaliśmy. Wszak zaliczano go jeszcze niedawno do grona poetów i nie bez racyi. Czas zrobić z nim ostateczny obra-chunek. Historia jego twórczości zasługuje z wielu względów na uwagę, jako ciekawe odzwierciedlenie w osobistości twórczej, niezwykle podatnej na wpływy, ostatnich lat dwudziestu poezyi niemieckiej. Niema bowiem ani jednego prądu ostatniej doby, któryby się nie był odbił na twórczości Bierbauma. Karyerę swo-ją rozpoczął Bierbaum pod znakiem Liliencrona, jako impresyoni-sta, jednak wówczas już nie bez pewnej dozy stylizmu. Czem Detlev von Liliencron był dla nowożytniej liryki niemieckiej—wie-my. Jako twórca o dziecięco naiwnej, świeżej bezpośredniości uczucia i myśli, był on wskrzesicielem nowej wolności poetyckiej, oswobodzicielem z pod jarzma konwenansów. Technika wiersza Liliencrona staje się elementarzem nowej poezyi lirycznej w Niem-czech, a od Conradiego, do Momberta wszyscy młodzi z wyjąt-kiem Stefana George i Hofmannsthala uczą się od niego swobody ruchów. Bierbaum występuje więc w szranki literatury niemiec-kiej, jako giermek Liliencrona, a w wesołości swej może podo-bniejszy jest początkowo do swego mistrza, niż wielu innych. Dwie właściwości jego charakteru składają się na to. Jego tem-perament i niezwykła, wprost wirtuozowska, zdolność odtwarzania.

Temi cechami odznacza się jego pierwszy zbiór poezyj o archaicznym tytule „Nemt Frouwe Disen Kranz“ (co znaczy: „Wam niewiasty ten wieniec!“) i do pewnego stopnia również znacznie późniejszy: „Irrgarten der Liebe,“ będący punktem kulminacyjnym twórczości Bierbaumowskiej. Nigdzie w utworach jego, ani rytm, ani rym, ani strofa, które poeta zazwyczaj z największą ścisłością stosuje, nie działają hamująco lub nienaturalnie, chociażby nie wiem, jak stare i znane były. Z łatwością zdaje się Bierbaum wszystko odtwarzać, a lira jego posiada takie bogactwo tonów, że mimowoli musimy myśleć o młodym Goethem. I doprawdy, coś z królewskiej hojności i niedbającej o jutro wesołości, coś z taneczności i lekkości młodego Goethego jest w tym ulubieńcu muz, oddającym z równem mistrzostwem mistycznie zamysloną, lub marzącą średniowieczną lirykę niemiecką, dobroduszną serdeczność poezji Matjasza Claudiusza, romantyczną fantastykę Bürgera, pogodę i przejrzystość Goethego, świeżość Baronówny von Droste-Hülshoff (z którą jako oryginalną poprzedniczką Liliencrona wartoby się zaznajomić), finezyę sentymentalną Heinego i rozmach rycersko-szlachecki Liliencrona; posługującym się z równą łatwością wszystkimi stylami nowej poezji i nowej sztuki. Jednem słowem widzimy w nim eklektyka w wielkim stylu, upoważniającego do niemałych nadziei. Jako przykład ówczesnej twórczości Bierbauma niechaj posłuży następujący, precudny wiersz:

Die schwarze Laute.

Aus dem Rosenstocke

Vom Grabe des Christ

Eine schwarze Laute

Gebauet ist;

Der wurden grüne Reben

Zu Saiten

Gegeben.

Oh, wehe Du, wie selig sang

So erossüss, so jesusbang,

Die schwarze Rosenlaute.

Ich hörte sie singen

In mailichter Nacht.

Da bin ich zur Liebe

In Schmerzen erwacht,

Da wurde meinem Leben

Die Sehnsucht

Gegeben.

Oh, wehe Du, wie selig sang
 So jesussstiss, so erosbang
 Die schwarze Rosenlaute.

(*Czarna lutnia*: Z krzaku róży na grobie Chrystusa czarną lutnię zbudowano. I dano jej zielone latorośle winne, jako struny. Oh, Boże, jakże błogo grała, tak erosowo słodko, tak jezusowo tęskno ta czarna lutnia z drzewa różanego. Usłyszałem jej śpiew w noc majową i w bolesnem przebudzeniu poznałem miłość, a życiu memu udzielona została tęsknota. O, Boże, jakżeż błogo grała, tak jezusowo słodko, tak erosowo tęskno, ta czarna lutnia z drzewa różanego).

„Mistykę tego wiersza mogła była stworzyć każda sztuka chrześcijańska, powiada jeden z krytyków współczesnych. Ale co daje mu ów czar tak zupełnie średniowieczno-niemiecki tak zasadniczo przeciwny poezji romańskiej, a przedewszystkiem włoskiej? W literaturze niemasz utworu, któryby mógł być mu służyć za wzór. A jednak trudno sobie wystawić, aby wiersz ten powstał wprost z łona naszych czasów bez wzoru żadnego.“ Podobnie możnaby się wyrazić o większej części ówczesnej liryki Bierbauma.

Dalszem stadyum twórczości Bierbauma jest pełne wdzięku igranie miękkim przepychem Rococo, częstokroć przetykanym to naiwnością Pierrota, to lekkim błyskiem dobrodusznie uśmiechniętej satyry, a stąd po krótkich sztukach zonglerskich w dziedzinie egzotyczno-fantastycznej japońszczyzny i domorosłej niemieckiej niezgrabności Ueberbrettlu (będącego ostatnią pseudo-artystyczną konsekwencyą cyrku), zwrot ku szerokiej i płytkiej sztywności małomieszczańskiego stylu Biedermeier. Oto droga zaniku poezji lirycznej Bierbauma, droga zaniku każdej sztuki wogóle, która porzuciwszy swój główny cel — tworzenia piękna, zaczyna się bawić swemi akcesoryami. Pośród rówieśników literackich Bierbauma uniknęli tego losu jedynie Ryszard Dehmel, Stefan George, Hugo von Hofmannsthal i Alfred Mombert.

Podczas ożywionego ruchu artystycznego, na schyłku ubiegłego stulecia, powstała w Niemczech próba stworzenia nowego stylu, znanego u nas pod nazwą secessyi. Nazwa ta w Niemczech ma dwójakie znaczenie, przedewszystkiem utarła się w świecie malarskim, jako miano pewnej frakcyi młodo-niemieckich malarzy. W związku ze sztuką stosowaną, używano jej w Niemczech nie wiele. Natomiast rozpowszechniła się bardziej, prawie że równoznaczna nazwa „Jugendstil,“ którego heroldem było dziś zupełnie

bez znaczenia będące monachijskie czasopismo „Jugend.“ Styl ten zbyt sztuczny, ale posiadający szlachetną genealogię (angielsko-belgijską i japońską) został niezwykle szybko zdyskredytowany przez nieumiejętne zastosowanie go do przemysłu fabrycznego i ustępuje coraz bardziej rozpanoszącemu się, brzydkiemu stylowi Biedermeier, który jest ucieczką przed rzeczywistością, zamknięciem się poza muslinowemi firankami kwiatyznu, kompletnem wyrzeczeniem się walk i wszelkiego heroicznego światopoglądu, który, dzięki Nietzschemu, zabłysnął był znów ponad ludzkością europejską. Słowem dzisiejszy styl Biedermeier w Niemczech, jest dowodem nowego zwycięstwa ociężałości ciała nad duchem.

Pierwotny styl Biedermeier, odgrywający zupełnie wyłączną rolę w historii stylów, powstał był jako reakcja przeciw stylom Louis XIV, Rococo, Barocco i Louis XVI. Jest on pierwszym stylem czysto burżuazyjnym, zrodzonym, nie jak poprzednie, z przepychu pałacowego, ale z potrzeb zwyczajnego mieszczanina-obywatela. Jako taki posiada on wielką prostotę, graniczącą z kompletnym niemal brakiem pomysłów i przysadzistą, niewykwintną dobroduszością, która w kańczastości i trzeźwości swej jest częstokroć czemś ohydnie brzydkiem. Niezawodnie, reakcja przeciwko niespokojnym w swych zarysach, przeładowanym i nienaturalnym wybrykom późnego Rococo i Barocco, jest rzeczą zrozumiałą. Z podobnegoż źródła powstały style Louis XVI i Empire — ale powracając dziś do stylu Biedermeier i doprowadzając go do ostatnich jego konsekwencji, otwiera się na oścież wrota drugiej ostateczności. Owa obawa ornamentów, które dzisiejszy odrodzony styl Biedermeier prawie że usuwa, jako zbyteczny dodatek, owe podkreślanie tendencji prostej linii, nie posiadającej jednakże nic z harmonii prostych linii sztuki greckiej, jest wprost mieszczańsko-niemiecką niezgrabnością i gburowatością. Ze tak zwana Secessya w swej przesadzie ornamentalnej wiele nagrzeszyła, jest rzeczą nie dającą się zaprzeczyć, a jednak szkodaby była wielka, gdyby rzeczywiście jej myśl przewodnia nie miała znaleźć klasycznego wcielenia, a miejsce jej lekkich, fantastycznych i wiotkich linii miała znów zająć czworograniasta trzeźwość. Chcieć usunąć ze sztuki ornament — znaczy to samo co obedrzeć życie z miłości, polom i łąkom skraść kwiaty, a z nieba gwiazdy postrzącać. Ciekawą ilustracją nowego stylu Biedermeier jest dzieło Józefa Folnesics'a „Innenräume und Hausrat der Empire, und Biedermeierzeit in Oesterreich-Ungarn,“ wyszłe w nakładzie A. Schrolla i S-ki w Wiedniu. Dla lepszego zrozumienia tego dzieła, które w przesadny sposób stara się zalety stylu Bieder-

meier uwydatnić, należy zauważyć, że pomimo duchowego pokrewieństwa obu stylów Biedarmeier i Empire zachodzi dość znaczna różnica pomiędzy nimi. Empire ma w sobie wszystkie cechy starych stylów królewskich i miłość dla pałacowego przepychu, Biedarmeier zaś jest wszędzie wyszukanie patryarchalnym i mieszczańskim. Oba nie cofają się przed fałszowaniem materiału, malowaniem marmurów, draperyj, kolumn, oba z najniezręczniejszą i najnudniejszą w świecie predylekcyą wdzięczą się do alegoryi i marzą o pozie klasycznej. Pod względem pokrewieństwa najbliższy jest niemiecki Biedarmeier angielskiemu Louis XVI, o czym nas najłatwiej przekona porównanie ilustracji dzieła Folnesics'a z takimi wzorami, jak Adam, Shearer, Sheraton, Hepplwhite lub Clippendale. W nowoczesnem malarstwie niemieckiem przedstawicielami tego kierunku są; sentymentalny Henryk Vogeler i E. Weiss. W poezyi złożyli mu hołd Arno Holz, Dauthen-day, Bierbaum i w. i. Z tego to okresu twórczości Bierbauma posiadamy cały szereg utworów lirycznych, które pod względem płytkości i brzydoty nie pozostawiają nic do życzenia, jak np. następujący Menuet, z którego przytaczam tylko pierwszą strofę:

Nestwarmweiche Lagerstätte,
Himmelblaues Himmelbette,
Seidenkissen, Spitzenzier,
Rosawolken, mullgebauschte,
Hinter denen Amor lauschte,
Unsrer Liebe, dir und mir,
Kräuselte der Tapezier...

Do tejżę kategorii, tylko, że z domieszką atmosfery berlińskich „nadszen,“ należy znany, typowy „Ringel, Ringel Rosenkranz“ Bierbauma. Widocznie jednakże podobna deprawacya poezyi, nawet Bierbaumowi wydać się musiała w końcu czemś niemiłym, gdyż dość szybko się jej wyrzeka. Liryka niemiecka przezwyciężyła ten nowy styl, który w sztuce stosowanej jednak teraz dopiero zaczyna wchodzić w modę.

Zwrot Bierbauma ku poezyi humorystyczno-satyrycznej da się psychologicznie wytłómaczyć. Po tak wielorakich bezpłodnych wędrowkach w dziedzinie stylów i manier artystycznych musiało nim w końcu owładnąć pewnego rodzaju sceptyczne zwątpienie, które znalazło ujście w humorystycznych słabo tylko satyrą zabarwionych utworach. Tak powstały powieści humorystyczne w rodzaju Pankracyusza Graunzera i Stilpego oraz cały szereg drobniejszych noweli humorystyczno-satyrycznych, jak Schlangenda-

me, Kaktus, Studentenbeichten—utwory średniej zaledwie wartości, będące na niebezpiecznym zboczach, które zmierza ku trywialności. Zwrot ku satyrze jest znamionym objawem w dzisiejszym życiu duchowym Niemiec. Wyrazicielem tej tendencji, posiadającej w sobie częstokroć coś ożywczego w swej walce przeciw brzydocie burżuazyjno-trywialnej, jest *Simplicissimus* (tygodnik monachijski). Szczególniej tacy artyści, jak Ludwik Thoma (*Lausbubengeschichten*) Kurt Aram (*Pastorengeschichten*) T. T. Heine, Gulbranson zasługują na uwagę. Prawdziwie głębokiej satyry jednakże żaden z nich nie stworzył. Pomijając fantastyczną, groteskową humorystkę Scherbarta, o której może, jako o objawie zupełnie specjalnym, zdarzy się sposobność wspomnieć obszerniej w jednym z późniejszych sprawozdań, i klownowsko-satyryczne odbłyśki w twórczości Franciszka Wedekinda, przyznać trzeba, że nowsza niemiecka literatura nie posiada wcale oryginalnej, głębiej sięgającej satyry. Jedynie owa dobrodusznie uśmiechnięta, gotowa zawsze do taniego dowcipkowania na kilkanaście lub kilkadziesiąt utartych tematów humorystka piwiarniana kwitnie. Najlepszym jej przedstawicielem był Otto Erych Hartleben (zmarły przed rokiem). Reprezentuje ją mniej lub więcej udatnie cały szereg autorów, począwszy od współpracowników naiwnie-jowialnych, „*Fliegende Blätter*,” a skończywszy na sędziwym Wilhelmie Busch'u. Poezyę humorystyczno-satyryczną o bardziej szerokich widnokęgach, uprawia dziś w Niemczech stary już, a dla swej rozwlekłości bardzo mało względnie znany i ceniony, Wilhelm Raabe, trzymający się tradycji Jean-Paula, nie posiadający jednakże ani zalet artystycznych ani sympatycznej, serdecznej werwy i głębokiego światopoglądu, tego głównego przedstawiciela niemieckiej satyry humorystycznej.

Z Jean-Paulem usiłowano również kilkakrotnie porównać Bierbauma, jako humorystę, ale porównania tego utwory Bierbauma stanowczo wytrzymać nie mogą. Jean-Paul, pomimo swego upodobania do arabeskowych zbaczania od tematu głównego, jest zawsze dowcipnym i barwnym, w charakterystyce zaś swego czasu i ludzi ówczesnych—jedynym. U Bierbauma komizm w charakterystyce postaci humorystycznych jest prawie zawsze naciągany. Udają mu się czasami jedynie komiczne sytuacje, których jednakże nigdy należycie wyzyskać nie umie. W ostatniej jego powieści „*Prinz Kuckuck*” udatne jest jedynie założenie i pierwsza idea dzieła. Wykonanie powieści pod względem języka, stylu i treści bardzo liche, w rozwlekłości swej niczem nie uzasadnione, częstokroć nawet zupełnie płytkie i trywialne. Chęć stworzenia

wielkiego malowidła satyrycznego, przedstawiającego wiek dzisiejszy, spełzła na niczem, krytyka różnych form Nietzscheizmu w Niemczech i nowej sztuki niemieckiej powierzchowna, donżuanistyczne pokuszenia trącą zamutem, a niepotrzebna dokładność w rysowaniu najróżnorodniejszych odcieni rozpusty, zakrawa więcej na chęć zrobienia sensacyi, niż na realizm chociażby.

Ostatni utwór Bierbauma zaliczyć muszę przeto do kategorii odbierających autorowi prawo na tytuł poety. Giermek Liencrona, który z tak wesołą piosnką na ustach wyruszył w szranki literatury i u tyłu stołów ucztował, osiedlił się, powiedzmy otwarcie, w pobliżu miasta, które się zwie „Krową pstrokata” i zajmuje się nadal fabrykacją grzechotek jarmarcznych.

*

*

*

Jako prawdziwy poeta przedstawił się publiczności berlińskiej w ciągu ubiegłego sezonu teatralnego Szalom Asz w swoim pięknym dramacie: „Bóg zemsty,” który w tłumaczeniu niemieckim brzmi tak wyśmienicie, że trudno sobie uprzytomnić, że to przekład z żargonu. Że „Bóg zemsty” nie został przyjęty z takim aplauzem, na jaki zasługuje, przypisać należy grubemu nieporozumieniu. Koła żydowskie bowiem w Berlinie, do których zalicza się mniej więcej $\frac{3}{4}$ prasy berlińskiej, uczuły się, niewiedomo dlaczego, urażone treścią dramatu, brakiem uszanowania autora dla Żydów, a mianowicie tem, że połączył bezpośrednio na scenie torę, zamut i obyczaje żydowskie. Jest to naturalnie bardzo ciasny pogląd na dramat, który, jako dzieło sztuki, jest najzupełniej obiektywny i żadnych tendencyj anti- lub filosemickich nie posiada. Mimo to ciasnota takich pojęć wywarła wpływ decydujący na powodzenie utworu Asza.

Najzupełniejsze uznanie należy się poecie ze względu na związłą i dobrze skomponowaną treść dramatu, któraby mogła być jeszcze przez to być pogłębiona, gdyby los Jankiela Szepszowicza nie był tak subiektywno-indywidualnym, gdyby tragizm jego otwierał perspektywy dalsze na losy ogólnoludzkie, jak to dzieje się naprzykład w dramatach Ibsena. Charakterystyka postaci dramatu Asza jest zato wyborna. Niema ani jednej postaci nieplastycznej, począwszy od ojca: Jankiela Szepszowicza i kuplerki

matki, a skończywszy na młodej, żyjącej i padającej pod fatalnym urokiem bagna Rywkele i na dziewczętach, będących warsztatem Jankiela i jego rodziny, z których każda posiada odrębną fizyognomię ludzką. Nawet tak drugorzędne postacie, jak chytry ge-szefciarz Reb Elje i szlachetny, sympatyczny uczony Reb Aron narysowane są bardzo dokładnie. Akcja dramatu odznacza się silnem, niczem nie osłabionem napięciem i rytmem znakomicie uwydatnionym. Wszystko tam gra i dźwięczy, jak w dobrze scharmonizowanym utworze symfonicznym. Żadna scena, żaden dyalog nie jest zbyteczny. Jako prawdziwa perła zasługuje głęboko poetyczna scena z deszczem majowym w drugim akcie na specjalną wzmiankę. Potrafić zrobić kilkoma pociągnięciami pióra z dziewczyn upadłych nimfy, pełne wdzięku i idyllicznej świeżości, jest rzeczą doprawdy nie łatwą, świadczącą wymownie o zdolnościach ekspresyjnych i przenikliwości wzroku poety.

JAN KACZKOWSKI.

TŁO HISTORYCZNE trzeciej części „Dziadów.”

VI.

Stowarzyszenia świsłockie ideowo a nawet chronologicznie zbliżyły się do formacji *Promienistych*; z odmiennych pobudek, choć w założeniu swem z tych samych poniekąd wychodząc dążności, powstawały związki młodzieży w innych zakładach naukowych na Litwie. Inicytatywą w tym kierunku, niejako punktem wyjścia dla tego rodzaju stowarzyszeń, były śledztwa wileńskie. Zarówno działalność sformowanych związków uczniowskich, jak i nieujęte w karby organizacyjne wystąpienia młodzieży szkolnej spowodowane zostały skutkiem podjętych przez Nowosiłcowa prześladowań studentów uniwersytetu. Chęć niesienia pomocy tym osfatnim, pojęta w najszlachetniejszym, acz wielce naiwnym sposobie, pragnienie podtrzymania wielkiej promiennej myśli filareckiej, wreszcie odwetu prześladowcom. — spletały się w jeden łańcuch przyczyn, które wywołały tworzenie się bądź poważniejszych związków tajnych, bądź też chwilowych nieopatrznych porywów serc i umysłów młodzieńczych.

Wyrażone powyżej pobudki kierownicze znalazły w szkołach litewskich grunt wielce podatny, trafiały do przekonania zapalnej młodzi, pragnącej corychlej działać w pełnej tajemniczego dłań uroku atmosferze spiskowej.

Istniały też niektóre inne jeszcze pozakrajowe wpływy zewnętrzne, których echa odnajdujemy w zamierzeniach uczniów litewskich.

O tem wszystkim doskonale wiedziano w kołach filareckich: wiedziano zarówno z opowiadań, jak i z bezpośredniego zetknięcia z młodzieżą szkolną. Wszak takim chciano widzieć młode pokolenie,—pełnem zapału i poświęcenia dla sprawy ojczystej, dla ideałów braterstwa i przyjaźni. „Razem młodzi przyjaciele!“ wzywał Mickiewicz, razem w dobrej i złej doli, razem przy wspólnej pracy dla Ojczyzny, razem w nieszczęściu! Silnem echem powtórzyły szkoły litewskie hasło poety; mierząc siły na zamiary, hojną złożyły daninę z siebie samych, by ulżyć losu współbraciom. I oto dłaczego opowiadanie Sobolewskiego o wywożeniu „studentów ze Żmudzi“ budzi uczucie ciężkiego smutku w więziennem gronie, dłaczego groźny obraz mąk niewinnej dziatwy wydziera z piersi Konrada bólem i rozpaczą nacechowane słowa:

Widzę ciebie, Rollison! *Bracie!* cóż to znaczy?
I tyś w więzieniu, zbity, krwią cały zbrzyzany,
I ciebie Bóg nie słuchał i tyś już w rozpacz,
Szukasz noża, próbujesz głowę tłuc o ściany;
„Ratunku!“— Bóg nie daje, ja ci dać nie mogę!
Okno mam silne: spojrzę, może cię zabiję—
Nie, ale ci pokażę okiem—śmierci drogę.
Patrz, tam masz okno: wybij, skocz, złeć i złam szyję,
I ze mną tu leć w głębie, w ciemność—lećmy na dół—
Otcłai—otcłai, ta lepsza niżli ziemi padół;
Tu niema braci, matek, narodów, tyranów...

„Braćmi“ we wspólnej idei i wspólnej niedoli byli Filareci i młodzi uczniowie szkoły kroskiej i kiejańskiej.

Stowarzyszenie uczniów szkoły w Krożach pod nazwą *Bracia Czarni* powstało od czasu aresztowania i wywiezienia do Wilna nauczyciela tejże szkoły, Filomaty, Jana Sobolewskiego, a zatem w październiku r. 1823 ¹⁾. Inicytorem towarzystwa kroskiego był uczeń VI-tej klasy, Jan Witkiewicz; razem z przyjacielem swym i kolegą Cyprianem Janczewskim zawiązał on „sekte“, nazwaną przez Janczewskiego *Braćmi Czarnymi*.

Należy przypuszczać, że myśl utworzenia podobnej organizacji świtała jeszcze dawniej w umysłach jej twórców. Podana przez urzędowego rosyjskiego historyka-pamflicistę wiadomość,

¹⁾ Raport Nowosilcowa do W. Księcia z 22 grudnia st. st. 1823 r. № 1829. O stowarzyszeniu *Braci Czarnych* pisał Michał Brensztajn w „Bibl. warsz.“ z r. 1906, t. II, 549—64; podane przezeń wiadomości prostujemy i uzupełniamy na podstawie oryginalnych aktów komisji śledczej.

jakoby *Bracia Czarni* wzorowali się na istniejącem dawniej towarzystwie w szkole kowieńskiej ¹⁾, nie wytrzymuje krytyki z tego powodu, że w Kownie nie istniała w tym czasie żadna tajna organizacja uczniowska i prowadzone tamże, w kwietniu 1824 r. śledztwo, wszczęte zostało na skutek ujawnionych w mieście napisów i wierszy, rzekomo dokonanych przez paru uczniów tamtejszej szkoły, srodze a bez żadnych wyraźnych poszlak ukaranych. Nie jest jednak wykluczona możliwość, że Janczewski pomysł swój do utworzenia tajnego związku i nazwania go *Braciemi Czarnymi* zaczerpnął istotnie za czasów bytności swej w szkole kowieńskiej. Zresztą to kwestya pomniejszej wagi. Natomiast niezmiernie interesującą jest analogia, nietylko w ogólnych zasadach, lecz już w samej nawet nazwie kroskich *Braci Czarnych* z tajną organizacją niemiecką *Schwarze-Brüder*ów. Rzeczono stowarzyszenie, o charakterze wybitnie spiskowym, powstało około roku 1819 śród akademików południowo-niemieckich pod egidą niektórych ultra-radycznych profesorów. Organizacja *Schwarze-Brüder*ów wystawiała między innymi dla najwyższego stopnia wtajemniczonych hasło zgładzenia tyranów. Ten związek niemieckich *Braci Czarnych*, czyli t. zw. „Niezależnych“ (*Die Unabhängigen*) w rzeczywistości nie wyszedł z formacyi zarodkowej; jednakowoż w późniejszych śledztwach, wszczętych w Niemczech, a w szczególności podczas czynności indagacyjnych centralnej komisji śledczej w Moguncyi, kładzono największą wagę na tę mianowicie organizację, na którą zwalano nietylko winę dokonanych morderstw Kotzebuego i innych, lecz przypisywano mu, polegając na nieudowodnionych denuncyacjach, planowanie zamachów przeciw głowom ukoronowanym, między innymi rzekomy zamiar zamordowania cesarza Aleksandra I, podczas jednego z jego przejazdów przez Niemcy ²⁾.

Czy Janczewski i inni uczniowie litewscy wiedzieli o *Schwarze Brüder*ach? Dziś niepodobna tego dociec. Jednakowcz w teoryach i poglądach kroskich *Braci Czarnych*, bardziej zaś jeszcze w hasłach i zamierzeniach związkowców kiejdańskich, odnajdujemy wielką analogię do przekonań szerzonych przez powyższą organizację spiskową niemiecką.

Jaką drogą poglądy „Niezależnych“ trafić mogły do Kiejdan, powiemy na właściwem miejscu; na Janczewskiego i towarzyszy

¹⁾ S. Szolkowicz: „Polskaja propaganda w uczebnych zawiedienjach S.-Z. Kraja“ (*Sbornik statiej razjaśniajuszczich polskoje dieło*. Wilno, 1885, t. I, 250).

²⁾ Szczegóły w dziele prof. Askenazego p. t.: „Waleryan Łukasiński.“

wpływ w tym kierunku wywierał najprawdopodobniej jego guwerner i zarazem nauczyciel szkoły kroskiej, Wincenty Paszkiewicz.

Wykładał on język niemiecki, studia zapewne odbywał w Niemczech. W czasie śledztwa kroskiego Nowosilcow zwrócił nań baczna uwagę, jako na człowieka „przekonań ultraradykalnych,“ i „za płóche a nierozsądne tegoż gadanie“ żądał surowej kary. Komisya śledcza uznała Paszkiewicza „za włóczęgę, który niewiadomo jakim sposobem tu się dostał,“ i, poczytując mu za jedyną winę spalenie na wieść o przybyciu komisji do Kroź swych papierów, co nasunęło „podejrzenie, iż te papiery *mogły zawierać coś występnego*,“—skazała go na dwa lata więzienia w kazamatach bo-brujskich¹⁾.

Do związku *Braci Czarnych*, prócz Janczewskiego i Witkiewicza, należeli: Feliks Zielonowicz, Aloizy Peślak, Wiktor Iwazskiewicz i Mikołaj Suchocki. Członków przyjmowano na słowo honoru, odrzucając przysięgę fundowaną na religii, gdyż według słów Witkiewicza: „u nas przysięga nic nie znaczy, gdyż zgłębiwszy dobrze naszą religię, znajdujemy ją bajkami nadzianą;“ przeczył wprawdzie temu Janczewski, twierdząc w swem zeznaniu (z dn. 14 grudnia st. st. 1823 r.), że „nigdy z religii nie sztydził i modlitwy umiał,“—w każdym bądź razie, pogląd *Braci Czarnych* na kwestye religijne, kształtowany w pewnej mierze na wspomnianych teoriach niemieckich, był nader wolnomyślny.

Zadaniem związku, nie mającego zresztą żadnych ustaw ani regulaminów, było wspólne omawianie przez członków dzieł historycznych, dotyczących Polski²⁾, oraz obmyślanie środków przyjsicia z pomocą uwięzionym w Wilnie Filaretom. Ten ostatni, najpoważniejszy podówczas cel *Braci Czarnych*, znalazł najgorętsze poparcie ze strony Janczewskiego, który zapewne jeszcze przedtem był coś nie coś wiedział o Promienistych, bądź od Adama Mickiewicza, dawnego swego nauczyciela, bądź też, już po przeniesieniu

¹⁾ Raport Nowosilcowa do W. Księcia z 22 grudnia st. st. 1823 r. № 1829. Listy Twardowskiego do ks. Czartoryskiego z dn. 20 i 27 stycznia st. st. 1824 r. „Roczn. Tow. Prz. N. pozn.“ XXVI, 404, 407. Wyrok w sprawie uczniów kroskich confirmowany przez W. Księcia w Warszawie, dn. 28 lutego st. st. 1824 r. № 1267.

²⁾ Książek dostarczał Janczewski z biblioteki swego wuja Ignacego Bielskiego. Między innymi czytano: „Polak konfederat na Syberję przez Moskale zaprowadzony,“ „Tajemnica podziału Polski odkryta,“ Staszica „Przestrogi dla Polski,“ „Wojna na północy w r. 1812“ (wydanie tłómaczone z niemieckiego przez J. S. Warszawa, 20 grudnia 1812 r.) i t. p.

się ze szkoły kowieńskiej do Kroź, od Jana Sobolewskiego. W tej czystej, iście młodzieńczej i nad wyraz szlachetnej pobudce, ujawnia się cały charakter bezinteresownej i ofiarnej młodzi kroskiej. Łącząc się ideowo z ruchem filareckim, *Bracia Czarni* pragnęli podzielić ciężką dolę swych ukochanych poprzedników. Na jednym z posiedzeń postanowiono wywołać zamieszki w szkole kroskiej następnie zaś i w innych zakładach naukowych na Litwie, aby „zwiększyć liczbę winowajców i złagodzić w ten sposób karę *Pro-mienistym*,” wychodzono bowiem z zasady, że „im więcej winnych w tem samym wykroczeniu, tem mniejszą będzie kara“ i że „zamieszki, wywołane przez nich w Krozach, przyczynią się do polepszenia doli całego kraju“¹⁾.

Zamiaru swego *Bracia Czarni* usiłowali dopiąć przez rozlepienie w Krozach wierszy patryotycznych oraz rozesłanie listów do uczniów i niektórych obywateli miejskich. Wiersze pióra Janczewskiego, Witkiewicza i Zieleniewicza, poświęcone są wspomnieniom Konstytucyi 3-go maja, Kościuszki i ks. Józefa. Mając zapewne na myśli niedawne wypadki w gimnazyum wileńskim, spowodowane napisami, przypominającymi rocznicę majową, pisał Janczewski:

O niechże i u nas żyje Konstytucya!
Za naszą sprawą a waszym ramieniem,
Ta iskra z czasem stanie się płomieniem.
Długo żądane uisei nadzieje.
I dawnym blaskiem znowu zajaśnieje!

O wspólności dążeń młodzieży myśli i Zielenowicz:

Niech się usilność wasza z naszą spaja
A ujrzym Konstytucyę dnia trzeciego maja.
Wolność, skarbie drogi, klejuocie jedyny
Powracaj, ach, powracaj do swojej rodziny!

„Jedność... ściśle dochowana“ da możność ziszczenia marzeń w gorących sercach uczniów kroskich żywionych. W celu zjednania większej liczby zwolenników dla wypielegnowanych ideałów postanowiono użyć „bardziej silnych argumentów“ i rozesłać listy do uczniów, nawet klas niższych, oraz do obywateli, zajmujących poważne i wpływowe stanowiska w mieście. Dla odwrócenia podejrzeń od autorów tych odezw, pisma takie przesłali sobie wzajem Janczewski i Witkiewicz.

¹⁾ Raport Nowosilcowa do W. Księcia z dn. 22 grudnia st. st. 1823 r., № 1829.

Treść powyższych wierszy i listów w całej pełni uwydatnia znacząca tendencję i myśli kierownicze *Braci Czarnych*, którzy, czepiacz wprawdzie inicjatywę w obcych pomysłach spiskowych, nadal swym dążeniem charakter nawskroś polski, szczerze patriotyczny, w wysokim stopniu prawy i szlachetny.

„Rozpusta, miękkość, zdeptanie praw natury jest zgubą narodów—pisał Janczewski w liście przesłanym dozorczy szkoły Ignacemu Dowiattowi. — Niewola i despotyzm ukaraniem niebacznych o wolność swojej Ojczyzny... Wiedzeni świętą sumienia prawicą, rzecz przedsięwzięmy. Nie przeraża nas, choć w ognieniu oka dobyte bronie śmierć i postrach sięją. Czyż długo zostawać mamy okryci piętnem wzgardy i sromoty?...“ Ta sama nuta szlachetnego oburzenia na upadek cnót obywatelskich odzywa się w anonimowym liście tegoż autora do Franciszka Stulgińskiego: „...Teraz widać smutną prawdę, wesołą obłudę, chwalone podstępny, pochlebstwo przy tronie, wolność zagrzebaną. Ach, wolności, ach, rządzie konstytucyjny, co za stan opłakany Polski! Niech żyje konstytucya i dzielna siła, jedność, wolność, niepodległość! Młodzieży, zaklinam w imię wielkiego światów Budownika, na hasło odzyskania wolności, rzućcie rodzinę, dostatek, rozkosze... Młodzieży kroska, niech i w was obudzą ducha wolności, przyjmijcie do siebie ducha wolności, całą siłę jej odzyskaniu oddajcie!...“

Zwrot do „wielkiego światów Budownika“ jest nader ciekawy, okazuje bowiem jak żywo młodzież szkolna litewska musiała reagować na tajemniczy urok masoneryi ówczesnej.

W pismach *Braci Czarnych*, skwapliwie rozpowszechnianych w mieście, nie znajdujemy wezwania do jakiegokolwiek bądź konkretnego czynu, — rzucono tu jedynie gorące hasło poprawy obyczajów i „gotowości do pomocy, gdy jej zapotrzebujemy.“

Powyższe listy opatrzone inicjałami C. B. (*Czarni Bracia*) oddano 28 listopada dwóm izraelitom z poleceniem doręczenia: dozorczy szkoły Ignacemu Dowiattowi, Czaprackiemu, byłemu uczniowi kroskiemu, podówczas zaś studentowi uniwersytetu wileńskiego, szóstoklasistom: Bonifacemu Jawłowskiemu, Janczewskiemu, Witkiewiczowi, Augustynowi Holszteinowi, wreszcie Franciszkowi Stulgińskiemu, nauczycielowi klasy wstępnej.

Przerażony Dowiatt znany z tchórzliwości i bezwzględnego posłuszeństwa rządowi, niezwłocznie zawiadomił administrację powiatową i wspólnie z prezesem sądu ziemskiego, Jaszkieviczem, rozpoczął śledztwo, a rzuciwszy trafne podejrzenie na Janczewskiego, wykrył *Braci Czarnych*. Powiadomiony o powyższem przez Dowiatta rektor Twardowski, pismem z dn. 4 grudnia st. st. 1823 r.

№ 503 doniósł o tem Nowosilcowowi. Natychmiast, dn. 6 t. m., wysłano do Kroź specjalną komisję śledczą, złożoną z Botwinki i Królikowskiego oraz Bajkowa, jako przewodniczącego.

Termin przyjazdu komisji trzymany był w ścisłej tajemnicy, jednakowoż pedelowi uniwersytetu, Sidorowiczowi, udało się o nim dowiedzieć i uprzedzić nauczyciela szkoły kroskiej, Hureczyna. Postępek Sidorowicza spowodował przykre dlań następstwa. Oddany pod sąd wojenny skazany został za zdradę na rozstrzelanie, w ostatniej dopiero chwili zamienił mu W. Książę karę na dwuletnie więzienie w kazamatach bobrujskich ¹⁾).

Po przybyciu do Kroź wysłańców senatora, niezwłocznie, idąc za wskazówkami Dowiatta, aresztowano Janczewskiego, Witkiewicza i paru innych, oraz kilku poważnie zajmujących stanowiska obywateli kroskich. Uwięziono również żydów, którzy odnosili „zbrodnicze pisma.“ Domy tych Bogu ducha winnych ludzi zajęte zostały przez oddział wojska; w celu wydobycia od nich zeznań zastosowano, według znamiennych słów urzędowego raportu, „środki bardziej skuteczne.“ Szczególną energią w wyszukiwaniu przestępców odznaczył się dowódca Olwiopolskiego pułku huzarów, podpułkownik Read ²⁾).

Dochodzenie śledcze narazie nie doprowadziło do żadnych wyników. Janczewski stale odmawiał wszelkich zeznań; dopiero pod chłostą, w dniu 14 (26) grudnia, przyznał się do wszystkiego. Prawdziwy podziw budzą słowa tego młodego, zaledwie lat ośmnaście liczącego chłopca, wyrzeczone przed komisją śledczą. „Nie zaprzeczam—mówił ten „przed rokiem swawolny, ładny chłopczyk mały“—żem kochał naród, pragnął ulżenia losu biedakom, zniesienia nierówności zamożności... Nie mogłem znieść, nie miałem serca do tyła skamieniałego, abym zcierpiał łyż tyłu niewinnych osób...“ Stanął przed swymi sędziami „z okiem dunnem, suchem i pogodnem,“ ciskając wyrazy grzmiące jak pobudka młodzieńcza, „przed katowskim nie zbladnął obuchem, ani się spłonił na widok powroza...“ ³⁾).

¹⁾ Lelewel: Nowosilcow w Wilnie „Polska,“ VII, 269. Por. listy Twardowskiego do ks. Czartoryskiego. „Roczn. Tow. Prz. N. pozn.“ XXVI, 396, 399, 403, 407.

²⁾ Sekretne raporty komisji do Nowosilcowa z dn. 9 i 16 grudnia st. st. 1823 r. №№ 4 i 24.

³⁾ Nawiasowo zauważymy, iż wiersz Mickiewicza „Do Matki Polki,“ z którego przytaczamy tu niektóre zdania, zawiera wyraźną aluzję do prze-

komisya, zarówno jak w jego listach i wierszach, widoczny jest wpływ poglądów stowarzyszenia „Niezależnych“, wystawiających również ideały braterstwa i równości społecznej.

Wkrótce sprowadzono więźniów do Wilna. W styczniu W. Ks. Konstanty wyznaczył dla sprawy kroskiej sąd wojenny z dwóch oficerów i audytora pod przewodnictwem dowódcy 3-ej brygady, generała barona Rozena IV-go. Sędziowie otrzymali polecenie „sądzienia z całą surowością.“ Nowosilcowowi zaś rozkazano mieć baczną uwagę „na przebieg tak ważnej sprawy.“¹⁾

Janczewski osadzony został w klasztorze bazylikańskim. Tu, po raz ostatni spotkał się z dawnymi nauczycielami: Mickiewiczem i Sobolewskim. Dziś łączyła ich nić wspólnej niedoli. W „długich nocnych rodaków rozmowach“ snuto bolesny wątek wspomnień zadanych mąk i jasne pasma młodzieńczych nadziei...²⁾

Powszechnie współczucie towarzyszyło skazańcom; darmo nie-szczęśliwy ojciec Cypryana, Franciszek Janczewski³⁾, żebrał łaski u Nowosilcowa.

„Ojcem jestem obwinionego dziecięcia—pisał w swej „najpokorniejszej prośbie“ z dn. 4 lutego st. st. 1824 r. — to samo dość wyraża, ile cierpieć muszę. Niepewność losu jego przeraża mię... Żebrzę dla niego miłosierdzia, dla siebie litości, prosząc, abyś J. W. Pan raczył łaskawie, jeżeli nie przez wzgląd na dziecinne lata jego i z nich idące niedoświadczenie, to przez wzgląd na boleść rodzicielską i te łzy, któremi oblewam dobroczynną Pańską rękę, być protektorem syna mego w obliczu tronu...“ Odpowiedź „zwycięzcy nad dziatwą“ brzmiała sucho, bezlitośnie⁴⁾. Czynił wprawdzie niejasne obietnice ulżenia losu więźniowi, zaznaczał

szłości filareckiej; postaci Janczewskiego i innych uczniów litewskich stanęły niewątpliwie żywo w pamięci poety w czasie pisania tego wiersza, pełnego rozpacz i bólu.

¹⁾ Rozkaz sekretny W. Ks. Konstantego do Nowosilcowa datowany z Warszawy dn. 6 stycznia st. st. 1824 r. № 4.

²⁾ O serdecznym stosunku Mickiewicza z Cypryanem Janczewskim, zawartym jeszcze za bytności tego ostatniego w szkole kowieńskiej (w latach 1818—23), świadczy między innymi litografia z portretu wieszcza, pędzla Wańkowicza, przesłana przez Mickiewicza Janczewskiemu z własnoręczną dedykacją: „A. Mickiewicz Cypryanowi Janczewskiemu“ (obecnie w posiadaniu syna Cypryana, prof. uniw. Jagiell. p. Edwarda Janczewskiego).

³⁾ Podówczas prezydent sądu granicznego powiatu Rosieńskiego.

⁴⁾ Datowana 10 lutego st. st. 1824 r. № 174. Brulion pisany po polsku ręką Nowosilcowa.

jednak, że „na zbytnią młodość jego odwoływać się trudno, gdyż nieletnim on już być przestał, a jak wiadomo używał już obok ojca swego przywilejów obywatelskich na wyborach szlachty swego powiatu.“ Ze strony senatora próżno się było spodziewać li- tości.

Ogłoszono wreszcie wyrok nadspodziewanie surowy. Janczewskiego i Witkiewicza skazano na śmierć, pozostałych na do- żywotnie ciężkie roboty lub zesłanie. W. Książę złagodził jednak takie postanowienie sądu wojennego ¹⁾. Janczewski i Zielenowicz, po pozbawieniu szlachectwa, wysłani zostali w kajdanach do Bo- brujka na lat 10 dla używania ich również w kajdanach do cięż- kich robót fortecznych, a po skończeniu tego terminu, o ile okażą się jeszcze zdawnymi do służby wojskowej — na linię Orenburską dla odbywania w szeregach garnizonów miejscowych służby bez prawa awansu; Witkiewicz zaś, jako niepełnoletni, oraz Peślak, Iwaskiewicz i Suchocki ²⁾ w kajdanach podczas podróży na linię Orenburską do szeregów garnizonów miejscowych, bez prawa awansu ³⁾.

¹⁾ Wyroku tego (konfirmowanego przez W. Księcia w Warszawie dn. 28 lutego st. st. № 1267) nie powtarzamy w całej rozciągłości, ile że podany został w artykule p. Brensztejna.

²⁾ Jedyną winą Suchockiego, zdaniem sędziów, było, że „wiedział o istnie- niu związku *Braci Czarnych*, nie doniósł o nim władzy i roznosił buntownicze pisma, nie znając wprawdzie ich treści.“

³⁾ Janczewski w ciągu sześciu miesięcy skazany był w fortecy bobruj- skiej na absolutną bezczynność, później dozwolono mu zajmować się stolar- stwem. W r. 1826 Mikołaj I za bytności w Bobrujku polecił Janczewskiego przenieść do jednego z pułków, konsystujących w gub. wileńskiej, wyraził się przytem: „Chorosz byłby w gwardju, no żal, czto odin iz wileńskich.“ W po- wstaniu 1831 r. Janczewski nie brał udziału, wszelkimi jednak sposobami dopomagał zbiegom z wojska rosyjskiego i jak mógł ułatwiał przesyłanie wiadomości do sztabu polskiego. Pomimo tego wkrótce awansował na oficera i otrzymał nawet medal „za wzięcie szturmem Warszawy,“ aczkolwiek przy oblężeniu stolicy nie był. Po wystąpieniu z wojska osiadł na wsi i oddał się spokojnej i użytecznej pracy społecznej. W r. 1846 został marszałkiem szlachty pow. Rosieńskiego. Więzienie i twarda służba żołnierska wycisnęła na nim niezatarte piętno. Obdarzony bujną za młodu wyobraźnią, zdolny, potrosze poeta, wchodził w szranki życiowe z całym zapasem młodzieńczych sił i nie- skażonej wiary w jasne strony ludzkiego ducha. Brutalna przemoc zламаła go przedwcześnie. O przejściach swych i cierpieniach wspominać nie lubił; obawiając się ciągle rewizyi, spalił w r. 1850 wszystkie swoje papiery. Przy- puszczać wolno, że Janczewski brał udział w tajnym ruchu politycznym na Litwie w okresie przedpowstaniowym. Zmarł dn. 19 września 1853 r. (z opo-

Równocześnie posypały się nagrody. Nowosilcow jeszcze dn. 21 stycznia st. st. otrzymał rangę tajnego radcy; dozorca szkoły kroskiej, Dowiat—order św. Włodzimierza czwartej klasy, wreszcie uczniowie Czapracki, Stulgiński, Jawłowski i Holsztein, którzy byli odnieśli dozorecy nadesłane im „listy buntownicze,“ otrzymali srebrne medale z napisem *Za usierdże i wiernost'*. Do nagrody przedstawiony był również przez Nowosilcowa i rektor Twardowski.

Dn. 8 marca st. st. odbyło się wywiezienie *Braci Czarnych* z Wilna. Opis tej chwili, uwiecznionej przez Mickiewicza w opo-

wiadania syna Cypryana, prof. E. Janczewskiego. Por. „Bibl. warsz.“ 1906, II, 558—60).

Witkiewicz skazany został na służbę w szeregach batalionu liniowego w Orsku, twierdzy na granicy Turkiestanu; w czasie pobytu na „linii orenburskiej“ zetknął się z towarzyszami niedoli wygnańczej — Suzinem i Zanem. Ten ostatni szczególnie polubił Witkiewicza, o czym świadczą kilkakrotne serdeczne wzmianki w listach Zana. W r. 1829, podczas wycieczki naukowej po Rosyi azjatyckiej zapoznał się z Witkiewiczem słynny przyrodnik, Aleksander Humboldt; jego też zawdzięczając wstawiennictwu do Mikołaja I, Witkiewicz otrzymał względną swobodę i pozyskał niebawem szczególne zaufanie general-gubernatora orenburskiego, Bazylego Perowskiego. Wkrótce awansowany na wyższe stopnie wojskowe, odbywa liczne podróże do Buchary, Kandahary i Kabulu, bierze udział w oblężeniu Heratu, działając w zupełnej niezależności od posła rosyjskiego w Persyi, Simonicza, wreszcie mianowany zostaje agentem dyplomatycznym w Kabulu. W r. 1838 przybywa do Petersburga, gdzie przyjmuje go z otwartymi rękami Tomasz Zan. W 1839 r. Witkiewicz nagłem wystąpieniem zerwał układy prowadzone przez emira Mahometa z agentem angielskim, sirem Burnesem, wskutek czego omal nie wywołał wojny między Rosyą a Anglią. Dn. 9 maja 1839 r., po burzliwej rozmowie z ministrem spraw zagranicznych, a nawet podobno z Mikołajem I, znaleziono Witkiewicza w petersburskim hotelu „Paryż“ bez życia. Nagła śmierć Witkiewicza osłonięta jest tajemniczą zasłoną, pozostaje jednak niewątpliwie w bezpośrednim związku z jego bliżej nieznaną działalnością dyplomatyczną. Por. „Korespondencya A. M-a“ (Paryż, 1874), III, 106. Czernicki: „Żywot i korespondencya Tomasza Zana“ (Kraków, 1863) str. 40—41, 71—72. „Istoriczeskij Wiestnik“ 1889 r., zes. XII. „Bibl. warsz.“ 1906, II, 560 sq.

Zielonowicz zmarł niebawem na suchoty w fortecy bobrujskiej; Peślak po odcierpieniu kary przeniesiony został do Birska, gdzie nad nim tajny ustanowiono nadzór; Iwaszkiewicz zaś, osiedlony na Syberyi, otrzymał pozwolenie wstąpienia do służby i dosłużył się rangi radcy tytularnego, jako asesor rządu gubern. sybirskich Kirgizów, poczem pozwolono mu służyć w Cesarstwie, z wyłączeniem miejscowości Król. Polskiego, lecz nie skorzystał z tej łaski i pozostał w Syberyi. W r. 1854 żył jeszcze. Por. A. Kraushar: Związki tajne na Litwie. „Dziennik wileński“ z dn. 26 maja 1907 r. № 109.

wiadaniu Sobolewskiego, podali Lelewel i Twardowski w liście do ks. Czartoryskiego. Do relacji powyższych, przytoczonych we wspomnianym wyżej artykule p. Brensztejna, dodajemy jeszcze wiadomość urzędową.

Na skutek sekretnego polecenia W. Księcia (z dn. 29 lutego 1824 r. № 25, a zatem nazajutrz po podpisaniu przezeń wyroku na uczniów kroskich), Nowosilcow polecił policji wileńskiej zebranie informacji o nastroju ludności podczas wywożenia „studentów ze Żmudzi.“

„Dnia 8 marca w południe — czytamy w relacji policyjnej, urzędowym skreślonej stylem — odbyło się zgodnie z wyrokiem wyprawienie do miejsc przeznaczenia przestępców: Janczewskiego, Zieleniewicza i nauczyciela Paszkiewicza. Zajęło to nieco czasu, tymczasem zebrał się ogromny tłum ludzi, który odprowadził więźniów od głównego odwachu aż za Ostrąbramę. Na spotkanie ich przybyło około 15 powozów, prawdopodobnie osób zainteresowanych losem przestępców. Tegoż dnia o godzinie 11 po północy wysłano pozostałych, t. j. Witkiewicza, Peślaka, Suchockiego i Iwaszkiewicza, odprowadzał ich tłum znacznie jeszcze liczniejszy. Wysłanie więźniów odbyło się w zupełnym porządku i bez zakłócenia spokoju. Przestępcy podczas wywożenia, a nawet w czasie okuwania w kajdany, nie okazywali najmniejszej skruchy i byli zupełnie obojętni na los, jaki ich spotkał. W szczególności spostrzeżono ojca Janczewskiego, który stał w pewnej odległości od pojazdu syna, przejęty najdotkliwszą boleścią. . . Kara na powyższych przestępców wywoła skutek pożądany...“

Urzędowy ten i błąd raport Nowosilcowa do W. Księcia ¹⁾ stwierdza jednakowoż, jak bolesnem echem w sercach mieszkańców Wilna odbiła się nieszczęсна sprawa kroska. Boleść starego Janczewskiego sprawiła silne wrażenie na obecnych, głęboko w ich pamięci zapaść musiała postać zrozpaczonego ojca, co stał w oddali od więziennej kibitki syna i słał mu na pożegnanie łzy ostatnie... W kilka tygodni potem ujrzymy ponownie Janczewskiego w kościele Karmelitów, gdzie będzie błagał u stóp ołtarzy o moc i wytrwanie dla syna zamkniętego w kazamatach bobrujskich.

Był to uroczysty dzień Opieki św. Józefa (27 kwietnia st. st.). Tłumy zalegały świątynię, modląc się żarliwie. Przed paru dniami wywożono nowych „przestępców“, uczniów szkoły kiejdańskiej. Z ambony przemawiał słynny kaznodzieja, prof. ks. Michał Bo-

1) Z dn. 9 marca 1824 r. № 396.

browski. Nawiązywał swe słowa do wypadków ówczesnych i choć mówił oględnie, z taką jednak siłą i bólem, że wszyscy odczuli, zrozumieli utajoną myśl kapłana.

„Czyż zawsze sędziowie idą drogą sprawiedliwości?—pytał.— Ileż padło ofiar niewinnych skazanych przez sąd stromy i przekupny, iluż cnotliwych obmowa lub zdrada wtrąciła w przepaść nieszczęścia?... Nie jeden ojciec licznej rodziny traci majątek i sławę skutkiem wyroku sądu, powodowanego duchem stronniczości. Nie jeden młodzieniec, jedyna nadzieja rodziców, więdnie w kajdanach za domniemane przestępstwo, z którego rozgrzeszają go same lata młodociane. Uciemniona niewinność wzywa do Boga o pomstę, a Bóg, jako sędzia sprawiedliwy i świadek serc ludzkich, wyniesie cnotę, przestępstwo zaś ukarze, jeśli nie w tym życiu, to w przyszłym. Wówczas radować się będą ci, co tu płaczą niewinnie, a winowajcy tego płaczu pogrążeni będą w wiecznym smutku. Drżycie mężowie, coście sprzedali sprawiedliwość... życie minie, jak sen, a tylko sprawiedliwi zbudzą się do szczęścia...“

Płacz ogólny był odpowiedzią na wzniosłe słowa kaznodziei. Głęboko wzruszony Janczewski opuścił świątynię¹⁾.

Wspomniani „przestępcy“ — to Molleson, Tyr i inni członkowie stowarzyszenia zawiązanego w szkole kiejdańskiej.

VII.

Krosecy *Bracia Czarni* pozostawali, jak to zaznaczyliśmy, pod wpływem związku niemieckiego *Schwarze Brüderów*; w większym jeszcze stopniu widoczne jest oddziaływanie tego stowarzyszenia na charakter dążeń uczniów gimnazyum w Kiejdanach. Wśród tych ostatnich poglądy *Niezależnych* zaszczerpił najprawdopodobniej nauczyciel szkoły kiejdańskiej, Michał Reczyński. Urodzony

¹⁾ Treść kazania ks. Bobrowskiego, z podkreśleniem inkryminowanych ustępów, zakomunikował policmajstrowi przeor klasztoru Karmelitów. Szylykow w raportach sekretnych z dn. 29 kwietnia st. st. 1824 r. za № 739 i 752 doniósł o tem Pelikanowi i Korsakowowi (*Akty wileńskiej policji miejskiej* z r. 1824). Twardowski w liście do ks. Czartoryskiego twierdzi, że Janczewski na tem kazaniu nie był. „Roczn. Tow. Prz. N. Pozn.“ XXVI, 449—50. Ks. Bobrowski wkrótce został przez Nowosiłcowa usunięty od obowiązków profesorskich i oddany pod dozór zwierzchności duchownej.

w Wilnie (r. 1796), syn pastora ewangelickiego, kształcił się najpierw w Marburgu, gdzie należał do Burschenschaftu, następnie przez trzy lata uczęszczał do seminarium nauczycielskiego przy uniwersytecie wileńskim; uwolniony stamtąd „jako mniej zdatny do nauki,“ udał się do Warszawy, gdzie w gronie akademików przyznawał się do swych stosunków z tajnymi organizacjami studentów niemieckich. Aresztowany w r. 1821 przez policję warszawską, przysłany został do Wilna na śledztwo, lecz z braku jawnych dowodów jakiegokolwiek przestępstwa uwolniono. Wkrótce otrzymał posadę nauczyciela łaciny w szkole kiejdańskiej; na tem stanowisku miał możności zbliżenia się do uczniów i zaznajomienia ich ze swymi poglądami politycznymi, które przystosował do warunków miejscowych.¹⁾

W zamierzeniach młodzieńców kiejdańskich obok szczerych i głębokich uczuć patriotycznych, zauważyć się daje sporo nierozwagi i isticie dziecinnej płochości. Już w samej genezie działań tych „przestępców“ tkwi silny pierwiastek chłopięcej naiwności i fantazyi.

Twórca „pism buntowniczych,“ ośmnastoletni syn rektora szkoły, Jan Molleson,²⁾ kochał się bez wzajemności w pewnej panie (Reinhardównie), zawód miłosny postanowił przyplacić samobójstwem, uprzednio jednak pragnął dokonać czynu, któryby okrył pewną sławą jego imię i był niejako karą na prześladowców młodzieży wileńskiej, w szczególności zaś zemstą za wyrok na Plate-
ra, twórcę napisu przypominającego Konstytucję 3-go maja w gimnazjum wileńskim.

Narazie zdawało się Mollesonowi, że napis „Vivat Konstytucya 3-go maja!“ wystarczy, by go rozstrzelano, po przyjsciu jednak do przekonania, iż jest to zamało, aby zasłużyć na karę śmierci, postanowił uczynić zamach na W. ks. Konstantego, który miał niezadługo przejeżdżać przez Kiejdany do Petersburga. Ze swych zamiarów zwierzył się paru bliższym kolegom: Michałowi Natkie-

¹⁾ Na podstawie listu rektora un. wil. Szymona Malewskiego do ks. A. Czartoryskiego z Wilna, dn. 17 (29) listopada 1821 r. (Arch. ks. Czartoryskich), oraz artykułu Wołyniaka: „O szkole kiejdańskiej w XIX wieku.“ „Muzeum“ z r. 1896, str. 337.

²⁾ W autografie *Dziadów* pierwotnie wszędzie było „Molleson“ lub „Molisson;“ podobnie w kopii Domeyki, później dopiero Mickiewicz własnoręcznie nadpisał „Rollison.“ Por. odmiany tekstu w krytycznej ed. *Dziadów* (1905), 343 sq.

wiczowi, Józefowi Tyrowi, Justynowi Michałowskiemu, Janowi Płaczkowskiemu i Edwardowi Krasnowieckiemu. Zaprzysiągłszy sobie dozogonną przyjaźń i niewydanie pod grozą śmierci tajemnicy, postanowili oni obmyślić sposób zgładzenia W. Księcia. Przedewszystkiem kazali sobie wytatuować na rękach trupie głowy, co wykonał pewien stary żołnierz napoleoński mieszkający w Kiejdanach; udekorowani w ten sposób układali na nocnych zebraniach plany zamachu. O ile przyczyną rozpaczliwych zamiarów Mollesona było „zniechęcenie tego świata, w którym nigdy słodczy nie zaznał“ (wertherowski ten pesymizm powstał, jak wspomnieliśmy, pod wpływem doznanego zawodu miłosnego), o tyle towarzyszy jego kierowała nienawiść do rządu za areszty wileńskie, przez Reczyńskiego zapewne podsycana, wreszcie mniemanie, że groźbami „zatrwożą władze“ i zmieniają ich sposób postępowania.¹⁾ Byli to młodzieńcy pełni zapału patriotycznego, obudzonego czytaniem „Śpiewów historycznych“ Niemcewicza i „Pielgrzyma w Dobromilu.“²⁾ Każdy niemal uczeń posiadał spory zeszyt z pieśniami patriotycznymi, których z zapałem uczono się na pamięć. Sami prócz tego próbowali sił swoich w tworzeniu rymów, niezbyt wprawdzie gładkich, pełnych jednak szumnych zapowiedzi.³⁾ Na okiennicach, płotach i murach szkolnych w styczniu 1824 r. ukazywać się zaczęły napisy w rodzaju: „Niech co chcą z nami robią. książę Konstanty nie ujdzie jednak naszych rąk!“ i t. p. Gdy wieść o tem doszła do rektora, ks. Jana Mollesona, tenże, nie podejrzewając w poczynieniu napisów własnego syna, doniósł dn. 22 stycznia st. st. (№ 311) rektorowi Twardowskiemu, że „duch złośliwy i nieprzyjazny szkole tutejszej, chcąc przerwać spokojność onej, którą się dotąd cieszyła, przyklepił paszkwile.“

Twardowski z urzędu zawiadomił Nowosilcowa; senator na wiadomość o tym „okropnym zamysle zbrodniczym“ udał się in-

1) Sekretny raport Botwinki i Bajkowa do Nowosilcowa z Kiejdan, dn. 3 (15) lutego 1824 r. № 2, oraz zeznania uczniów przed komisją śledczą.

2) Wiele dzieł historycznych zawierała biblioteka szkolna, między innymi: „Zbiór mów i opisów obchodów żałobnych po śmierci Kościuszki,“ utworzy Krasickiego, Śniadeckiego i t. p. Por. Wołyniak: O szkole kiejdańskiej w XIX w. „Muzeum“ z r. 1896.

3) W jednym zeszycie znaleziono następujący dwuwiersz po rosyjsku:

*Czto było dieđu i otcu,
To budiet Konstantinu molodcu.*

cognito (dn. 29 stycznia st. st.) do Kiejdan, następnie zaś wysłał tamże specjalną komisję śledczą złożoną z Bajkowa i Botwinki. Dzięki „energicznym środkom,“ które ze zwykłą zastosowano surowością, winowajcy zostali ujęci. Tyra i Michałowskiego natychmiast zakuto w kajdany, niebawem spotkało to i Mollesona.

Przypuszczać należy, że projekt zamachu na W. Księcia nie byłby nigdy w czyn wcielony i jedynie komisya śledcza, działając na chłopców chłostą, wymusiła przyznanie się do zbrodniczych zamierzeń. Przy pomocy tortur wydobyto zeznania takie, jakie mieć chciał Nowosilcow.¹⁾ Niektóre napisy nieortograficzne na parkanach budziły również podejrzenie, że uczyniła je jakaś osoba pochodzenia nie polskiego, kierowana zamiarem rzucenia klątwy na szkołę i jej wychowawców.

Nowosilcow z udanym „smutkiem i przerażeniem“ donosił W. Księciu o wypadkach kiejdańskich, rozmyślnie podkreślając rzekomo zbrodnicze zamiary dziecinne. „Są one nowym dowodem — pisał w raporcie z dn. 5 (17) lutego 1824 r. (№ 180) — do jakiego niemożliwego stopnia zbałamucone (*razwraszczeny*) są umysły młodzieży w wileńskim okręgu naukowym. Zamach na W. C. W. nie został wykonany jedynie dlatego, że nie było potemu jeszcze sposobności i że został w porę udaremniony...“ „Szkoła i nieludzkim będzie — pisał dalej z hipokryzyą — wydać surowy wyrok na młodzieńców, którzy byli prowadzeni do tego czynu przez jakąś nieznaną siłę, jednakowoż istota ważnego tego przestępstwa wymaga przykładowego ukarania i zadostyczynienia prawu.“ W myśl wskazań wileńskiego prokonsula rozkazano przewieść uczniów do Wilna i oddać ich pod sąd wojenny, rozpatrujący podówczas sprawę kroską.²⁾ Do badań pociągnięto również profesorów

¹⁾ „W Kiejdanach będąc — píše Twardowski do Czartoryskiego — miałem zręczność dowiedzieć się od osób godnych wiary, które świadkami były, jak uczniów przed egzaminami ćwiczone i dopóty męczono w indagacyach, póki koniecznie podług myśli inkwirujących nie odpisali. Młodzi, niedoświadczeni ludzie i prawie dzieci mogli się dać zastraszyć i przyznać się nawet do chęci wykorzenienia występku, co się zdaje nie zgadzać z afiszowaniem przez nich pism szkaradnych. Nadto, zdaje się, że nie odkryto żadnej broni u uczniów, ani nawet umówionego między nimi sposobu dokonania zbrodni. Dla tego zawsze wielka powstaje wątpliwość, że nie powiem więcej, aby rzetelnie uczniowie szkoły tej mieli zamiar skutecznie zbrodnią szkaradną, jaką w pismach swoich straszili.“ Roczn. Tow. P. N. pozn. XXVI, 422 oraz 447 i 450.

²⁾ Nowosilcow do Bajkowa i Botwinki, dn. 5 (17) lutego 1824 r. № 178; W. Książę do Nowosilcowa z Petersburga dn. 18 lutego st. st. 1824 r. (№ 1084).

szkoły: Jana Mollesona (ojca),¹⁾ A. Kujawskiego, Grzegorza Mowczanowicza, Rewińskiego, Michała Reczyńskiego i prywatnego nauczyciela, Francuza, Piotra Baron'a. Osobny reskrypt cesarski z dn. 20 lutego st. st. 1824 r., wyjednany przez W. Ks. Konstantego, zamykał gimnazjum kiejdańskie, celem „wytępienia tego złowrogiego gniazda.“²⁾

Istnieje wersja, że W. Książę, przejeżdżając przez Kiejdany w parę dni po aresztowaniu uczniów, kazał stawić młodego Mollesona przed siebie i zapytał, dlaczego chciał go zabić; zapytany miał spokojnie odrzec: „Bo na twój rozkaz męczą studentów w Wilnie.“ Barzykowski: *Hist. powst. list.* (Poznań 1883), t. 1, 246. Por. Lelewel: *Nowosilcow w Wilnie.* „Polska“ VII, 271. Anty-Cyprynus: *Wspominania o Nowosilcowie.* „Ruskij Archiw“ 1873 r., t. 1, 220.

¹⁾ Jan Molleson (ur. 1769 r.), syn Jakóba, pochodził z rodziny szwedzkiej. zdawna jednak zamieszkałej na Litwie, w powiecie Upickim. Studya odbywał w Berlinie i Marburgu. Od r. 1807 był przełożonym szkoły kiejdańskiej i vice-superintendentem kościoła ewangelicko-reformowanego. Wykładał prawo, naukę moralną i katechizm dla kalwinów. Jan Chodźko podczas swej wizytacji szkoły kiejdańskiej w r. 1822 wyrażał się o nim z wielkiem uznaniem. Bliższe wiadomości o szkole i profesorach w „Muzeum“ z r. 1896.

²⁾ Rzeczony reskrypt wydany w Petersburgu na imię W. Ks. Konstantego brzmiał, jak następuje: „Z powodu ujawnionych w szkole kiejdańskiej najszkodliwszych zasad i związków między wychowancami, w celu zbrodniczych przestępstw, — rozkazuję Waszej Cesarzewiczowskiej Wysokości znieść rzeczoną szkołę, aby wytępić to złowrogie gniazdo.“ (*Sbornik postanowlenij po Min. Nar. Prośw.* Petrsb. 1875, I, 1752). Rzecz charakterystyczna, że W. Ks. Konstanty nie zgodził się na ogłoszenie powyższego rozporządzenia w gazetach wileńskich.

Zamknięcie szkoły odbyło się z pewną manifestacyjną okazałością. Na akt ten zjechał do Kiejdan Nowosilcow w asystencyi licznych urzędników, z nieodzownym Bajkowem i Botwinką. Przybyli również rektor Twardowski, dyrektor gimnazjum wileńskiego Krasowski, kurator honorowy szkoły kiejdańskiej Józef Białozor, marszałek Przeciszewski i inni. Dn. 1 (13) marca zebrano uczniów w sali aktowej, po jednej stronie stanęli rektor i urzędnicy, po drugiej miejscowe władze szkolne. Przeczytano akt zamknięcia po rosyjsku i po polsku, następnie rozkaz Nowosilcowa o wysłaniu wszystkich uczniów pod konwojem do domów i oddaniu ich pod dozór policyjny. Twardowski, drżącym od wzruszenia głosem, wypowiedział mowę do uczniów „niegdys szkoły kiejdańskiej,“ w której podnosił znaczenie tego zakładu naukowego, streścił przyczyny, które doprowadziły do zamknięcia uczelni; były niemi — zdaniem rektora — „odrywanie umysłu od zatrudnień właściwych, a zaprzękanie go wyobrażeniami obcymi, czytwanie ksiąg płochych (?) i rozmowy rozwiązłe... Tym sposobem przychodzi się do występków, a te sprowadzają dzisiejsze środki surowości, które Rząd w przezorności swojej uznał potrzebnymi,

Nad przebiegiem sądu wojennego bacznie czuwał Nowosilcow. Obawiając się, aby wyrok nie był zbyt łagodny, wysłał W. Ks. Konstanty do Nowosilcowa dn. 5 marca st. st. (№ 30) niezmiernie charakterystyczne pismo sekretne, w którym żądał, aby senator po ukończeniu sądu wyraził niezależnie od wyroku „własne swe zapatrywanie na stopień winy każdego z podsądnych i wyznaczoną karę.“ Jednocześnie przewodniczący sądu, generał Rozen, otrzymał polecenie zakomunikowania senatorowi „nieoficyalnie i osobiście“ wyroku, dla dokładnego przejrzenia i przesłania wraz z opinią do Warszawy. Poczem wyrok ma być dopiero ogłoszony i wykonany.

Wobec znanych już następstw wypadków kroskich, oczekiwano w Wilnie jeszcze surowszego wyroku na uczniów kiejdąńskich. Prośby nieszczęśliwych rodziców o łaskę dla więźniów pozostawały bez skutku. Matka Mollesona,¹⁾ bolesna Niobe w *Dziadach*, próżno błagała Cesarzewicza o zmiłowanie dla syna — odpowiedziano jej, że podanie... nie zostało opłacone właściwym stemplem i że nic zresztą dopomódz nie można.

Wyrok sądu wojennego z dn. 27 marca st. st., przejrzany i zaaprobowany przez Nowosilcowa, przesłany został do Warszawy; skierowany następnie do Petersburga, gdzie dn. 17 kwietnia st. st. przedstawiony był Aleksandrowi I i w formie już nieco łagodniejszej zakomunikowany przez W. Księcia Nowosilcowowi

aby odsunąć przepaść, w którąby pobłażanie i Was mogło nazawsze pograć i drugich nieopatrznych w nią pociągnąć.“ Kończył wreszcie wezwaniem do uczniów, by ci dalszem swem postępowaniem zasłużyli z czasem na łaskawość Monarchy. „Żałosny płacz uczniów był odpowiedzią na mowę rektora, na twarzach obecnych widać było smutek i przygnębienie, ks. Molleson stał, jak odrętwiały“ — pisze Nowosilcow do W. Księcia (6 marca st. st. № 387), dodaje atoli, iż potrzebną była cała ta ceremonia dla wywarcia wrażenia, „mam nadzieję, że cel zostanie osiągnięty, a sprawione wrażenie wywrze zbawienne skutki.“ Wydalono 95 uczniów, 6 profesorów i prefekta pozbawiono posad; zaledwie 5 uczniów przyjęto do innych zakładów.

Nowosilcow jednocześnie czynił zabiegi, by za przykładem kiejdąńskiej i szkołę kroską „jako szkodliwą“ zamknęto. Przedstawienie jego w tym względzie (z 28 lutego st. st. № 326) nie zyskało jednakowoż aprobaty W. Księcia, który rozkazał „uważać sprawę kroską po ukaraniu uczniów za zupełnie skończoną.“ Por. listy Twardowskiego do ks. Czartoryskiego. „Roczni. Tow. P. N. pozn.“ XXVI, 434, 439.

¹⁾ Prośba Felicyny Mollesonowej znajduje się w aktach komisji śledczej; odpowiedź W. Księcia z dn. 16 kwietnia st. st. 1824 r. (№ 2154).

do wykonania. Treść ostatecznego wyroku w najważniejszej sprawie brzmiała, jak następuje:

„... Skazanych przez sąd wojenny na śmierć uczniów Mollesona i Tyra (lat 17), po pozbawieniu pierwszego z nich szlachectwa (Tyr był włościaninem *p. a.*), zesłać do ciężkich robót na Syberyę; Natkiewicza (19 lat), Płaczkowskiego (20 lat) i Krasnowieckiego (18 lat) — do robót fortecznych, pozbawiając Natkiewicza i Krasnowieckiego szlachectwa (Płaczkowski również był włościaninem). Michałowskiego (18 lat), zamiast wyznaczonej mu kary zesłania na Sybir, wysłać do odbywania służby w szeregach odległych garnizonów bez prawa awansu. Zamieszanych w tej sprawie: b. ucznia uniwersytetu wil., Reczyńskiego osadzić w więzieniu na przeciąg sześciu miesięcy; byłego dozorcę szkoły kiejdańskiej, księdza Mollesona oraz nauczycieli Kujawskiego, Mowczanowicza i Rewińskiego uwolnić od dalszej odpowiedzialności, ile że są już dostatecznie ukarani skutkiem zamknięcia szkoły, pozbawienia posad i pozostawania w areszcie. Z Francuzem Piotrem Baron'em oraz z oznaczeniem wydatków w całej tej sprawie postąpić zgodnie z wyrokiem sądu wojennego, pozostawiając Ministerjum Spraw Wewnętrznych oznaczenie Baron'owi miejsca zamieszkania...

Co zaś do wysłania przestępców, to zgodnie z konfirmacją, ekspedycyę ich dokonać należy pocztą przez umyślnych żandarmerów gubernialnych: Mollesona i Tyra do Nerczyńska, Michałowskiego do szeregów odległych garnizonów do Tobolska, Natkiewicza zaś i Krasnowieckiego do robót fortecznych w Bobrujsku. W drodze wszyscy mają być zakuci w kajdany, koszta przejazdu oraz wszelkie inne wydatki poszukiwać na nich, a w razie ich ubóstwa, na majątkach ich rodziców lub krewnych. Co zaś do Francuza Baron'a, to ma on pozostawać pod dozorem policyi aż do czasu wskazania mu przez Ministerjum Spraw Wewnętrznych miejsca zamieszkania.¹⁾

Ma on jednocześnie zaszczyt zawiadomić Waszą Ekscelencyę, że o najwyższej woli J. C. Mości powiadomieni zostali przezemnie: generał-gubernator zachodniej Syberyi i dowódca oddzielnego

¹⁾ Piotr Baron, rozbitek z Wielkiej Armii, od r. 1813 mieszkał w Kiejdanach, trudniąc się dawaniem lekcyj prywatnych. Podejrzewano go o wpływ na młodzież w kierunku zasad liberalnych. Zesłany został do gub. Permskiej; korespondować nawet z żoną pozwalano mu jedynie w razach wyjątkowych, za każdorazowem zezwoleniem W. Księcia i Nowosilcowa.

korpusu syberyjskiego, generał Kapcewicz oraz komendant fortecy bobrujskiej, generał-major Berg III-ci.

Przedstawienie Waszej Ekscelencyi wiadomości o poniesionych wydatkach zleciłem dowódcy oddzielnego korpusu litewskiego, generał-porucznikowi Dowre, który skomunikuje się w tym względzie z prezesem komisji sądowej, generał-majorem baronem Rozenem IV-tym. O otrzymaniu i wykonaniu niniejszego mego polecenia oczekiwać będę od Waszej Ekscelencyi wiadomości.

Warszawa 2o kwietnia (st. st.) 1824 r. № 2277.

Generał-inspektor całej kawaleryi *Konstanty Cesarzewicz*.

Zgodnie z oryginałem: Generał-major *Krywcow*.“

O dalszych losach nieszczęśliwych skazańców nie posiadamy żadnych zgoła wiadomości. Pamięć o męczeństwie Mollesona przekazało nam genialne pióro poety, historia potwierdza rzetelność tych bolesnych wspomnień. Do najwspanialszych pereł literatury polskiej zaliczoną będzie ta przejmująca scena, gdy ślepa matka niewinnego dziecka wpada do rozbawionej sali senatora i w największej rozpaczyci rzuca te piorunujące słowa:

Gdzie ty!—Znajdę cię, mózgi na bruku rozbiję,
 Jak mój syn! Ha tyranie! Syn mój! syn nie żyje!
 Wyrzucili go oknem!— Czy ty masz sumienie?
 Syna mego, tam z góry, na bruk, na kamienie...
 Ha, ty pijaku stary, zbryzgany krwią tyłu
 Niewiniątek, pójdź! gdzie ty, gdzie ty krokodylu?
 Ja ciebie tu rozedrg, jak mój *Jaś*, na sztuki—
 Syn! Wyrzucili z okna, z klasztoru, na bruki.
 Me dziecię, mój jedynak, mój ojciec żywiciel—
 A ten żyje, i Pan Bóg jest, i jest Zbawiciel!

.....
 Zwłok syna nie widziałam! Widzisz— ta ślepotą!
 Lecz krew na bruku czułam.—Przez Boga żywego,
 Tu czuję! krew tę samą! Tu krew syna mego.
 Tu jest ktoś krwią zbryzgany—tu, tu jest kat jego.

We wspomnianej scenie Mickiewicz w drobnych szczegółach nie trzymał się ściśle historycznej prawdy; ¹⁾ naogół jednak opi-

¹⁾ Np. cały rok trwające więzienie Mollesona, tajemny plan zgładzenia Mollesona przez Doktora i Pelikana nie mają podstaw historycznych. Wzmianka wyczytana w broszurze Lelewela p. t. „Nowosilcow w Wilnie“ o wyskoczeniu z okna drugiego piętra więźnia Maryana Piaseckiego, podsunęła zapewne Mickiewiczowi pomysł nawiązania tego wydarzenia do cierpień więziennych Mollesona.

sane tu wypadki mogły mieć miejsce. Stanisław Morawski opowiada w swych pamiętnikach, iż w czasie śledztw nieletnich przestępców zrozpaczone matki, jak stada przepiórek, zleciały się do Wilna. „Wszędzie widziano biedne, zaniedbane, w łachmanach kobiety, a każda miała łzami oczy zalane. Potężny czarnoksiężnik, który jednym słowem, jednym laski swojej dotknięciem, łyzy te okropne w radość, a nawet, do tego już przyszło, we łyzy wdzięczności przemienić był w stanie, nazywał się—Nowosilcow. Lecz trudnym był do niego przystęp! Wiadomo tylko było, że siedział od rana do nocy u księżnej Zubow... Rzucono się do niej, całowano jej ręce i nogi, podłono się przed nią...“ Wyuzdana wszeźtecznica, kochanka senatora, wstawiała niekiedy od szunnej libacyi, by przyjąć te biedne matki, zazwyczaj jednak odmawiała pomocy. „Przez ten czas, obok, w drugiej sali, trwał hałas, huk, śpiewy, śmiech, szum biesiadników...“¹⁾

Zaiste nieporównany to komentarz do balowej sceny *Dziadów*...

VIII.

Niezależnie od wypadków w Krożach i Kiejdanach podobne zajścia wydarzyły się równocześnie w paru jeszcze szkołach litewskich. Odpowiedzialność za tego rodzaju wybryki, nic zresztą zgoła nie zawierające zdroźnego, w całości spada na Nowosilcowa i jego zauszników, którzy nieustannem doszukiwaniem się groźnych spisków i sprzysiężeń drażnili młodzież i pobudzali ją do czynów nieopatrznych, choć w gruncie rzeczy niewinnych i nieszkodliwych.

Nie wchodząc w bliższe szczegóły tych identycznych niemal wydarzeń, pokrótce streścimy najważniejsze.

W Kownie za podrzucenie dozorczy szkolnemu wierszyków patryotycznych z pogrózkami, oddano pod sąd wojenny uczniów: Szymona Olszewskiego, Dominika Dębińskiego, Onufrego Micewicza, Józefa Towiańskiego i Aleksandra Wysockiego. Dwóch pierwszych skazano na śmierć; rozkazem cesarskim z dn. 17 (29) czerwca 1824 r. zamiemiono Olszewskiemu karę na ciężkie roboty w fortecy bobrujskiej, Dębińskiego zaś, jako niepełnoletniego, wysłano do szeregów wojskowych w Dubnie z prawem awansu. Z po-

¹⁾ Por. A. „Bajkow.“ (Lwów, 1893), str. 70 sq.

zostałymi reskrypt najwyższy polecał postąpić zgodnie z wyrokiem sądowym: Micewicza osadzić w więzieniu na przeciąg trzech miesięcy, Wysockiego, „za znalezione u niego zeszyt z rzekomo patriotycznymi wierszami“ — na cztery miesiące; Towiańskiego oddać pod nadzór policyi. Wkrótce po aresztowaniu uczniów kowieńskich, ukazały się ponownie wierszyki i listy z pogrózkami, *tą samą pisane ręką*. Zamiast przerwać śledztwo, członkowie komisji zdołali przekonać wyższą władzę o winie dawniej aresztowanych. Podczas badań zaszedł następujący wypadek, opisany w liście Twardowskiego do ks. Czartoryskiego: „Młody jeden uczeń, jak się okazało niewinny, przyprowadzony do komisji śledczej, złożonej z p. Kukolnika, policmajstra kowieńskiego i Królikowskiego, sławnego czastnego przystawa wileńskiego, widząc na stole narzędzia chłosty, a napełnioną mając imaginacyę tem, co w tej mierze słyszał, a co między młodymi uczniami z przesadą wzajemnie udzielanem było, na pierwsze zapytanie wyznał, że on wszystko pisał. Kiedy mu kazano powiedzieć, co było napisane, nie umiał tego uczynić i zgoła co innego mówił. Pokazano mu pisanie, by mu dowieść, iż się przyznaje do tego, co nie jest jego dziełem; wtedy zaczął twierdzić, iż się omylił, ale zawsze w strachu i chęci ukończenia śledztwa powtarzał, że to on pisał, tak dalece, że ledwo potrafił mu wyperswadować, iż to on nie jest. O zdarzeniu tem, w oczach nieuprzedzonych dowodzącem strasznych skutków przymusu w badaniu, doniesiono p. senatorowi, który zamiast widzieć tę rzecz, jak była rzetelnie, powiedział owszem, iż to dowodzi, że może między młodzieżą jest taki związek, iż jeden gotów za drugiego się poświęcić, tak dalece, iż ciągnąć mogą na losy, kto się z nich ma za winnego wydać.“¹⁾

W Poniewieżu również wykryto pod domami urzędników pisma anonimowe, „obietujące powrót wolności i konstytucyi, a grożące despotom oraz wszystkim, co ich stronę trzymają, śmiercią.“ Podejrzanie padło na braci Węckowiczów: dziewiętnastoletniego Józefa i trzynastoletniego Aleksandra. Na śledztwie pierwiastkowym w Poniewieżu, pod kierunkiem Królikowskiego, Józef Węckowicz zaprzeczał oskarżeniu, jakoby był autorem pism powyższych; dopiero po wymierzeniu 150 różeg podpisał obciążające go

¹⁾ „Roczn. Tow. prz. n. pozń.“ XXVI, 434, 445, 463. Sekretna odezwa Nowosilcowa do Szłykowa z dn. 17 (29) kwietnia 1824 r. № 690. Rymskij-Korsakow do Szłykowa 2 (14) lipca t. r. № 2183 (*Akty wileńskiej policyi miejskiej z r. 1824*).

zeznanie, tembardziej, iż grożono mu w razie odmowy „*siecz do tiech por, poka w niom dusza otzywatsia budiet.*“

Po przywiezieniu do Wilna, Węckowicz ponownie zaprzeczał wszystkiemu i pokazał niezatarte na ciele ślady chłosty. Wstrzymano posiedzenia sądu; generał Rozen zwrócił się do Nowosilcowa po instrukcye. Senator wysłał natychmiast do Poniewieża urzędnika gubernialnego Legę, który wymógł na dozorczy szkoły zaświadczenie na piśmie, że Węckowicz został zbity różgami za opór i krnąbrność w szkole, nie zaś na śledztwie; niezależnie zaś od tego, Nowosilcow, opierając się na prawie z 16 lutego 1720 r., które nakazuje brać pod uwagę na sądzie jedynie pierwsze zeznanie podsądnego, uznał Węckowicza za winnego przestępstwa.

Wyrok sądu wojennego z dn. 13 (25) maja 1824 r. pozbawiał Józefa Węckowicza szlachectwa i skazywał na „linię orenburską“ do służby w szeregach garnizonów miejscowych, bez prawa awansu. Aleksander Węckowicz, jako niepełnoletni, wykluczony jedynie został z gimnazjum. Innych oskarżonych, pomimo sprzeciwiania się Nowosilcowa, uwolniono od odpowiedzialności.¹⁾

Wypadki w Krożach i Poniewieżu stanowią tło, na którym Mickiewicz osnuł swe słynne „opowiadanie Sobolewskiego.“ Zaznaczyć przytem należy, że głównym materiałem dla poety, odświeżającego w swej pamięci wspomnienia wileńskie, była w wielu miejscach nieściśła pod względem historycznym broszura Lelewela p. t.: „Nowosilcow w Wilnie;“²⁾ z tego też przeważnie powodu zdarzają się w *Dziadach* niektóre drobne niedokładności w przedstawieniu wstrząsającego obrazu martyrologii uczniów litewskich.

1) Nowosilcow do W. Księcia (sekr.) z dn. 20 marca st. st. 1824 r. № 500. Gen. Rozen do Nowosilcowa (sekr.) z 1 i 10 kwietnia st. st. t. r. №№ 40 i 48. Nowosilcow do Królikowskiego (sekr.) z dn. 14 marca st. st. t. r. № 475. W. Książę do Nowosilcowa (sekr.) 28 marca i 1 kwietnia t. r. №№ 46 i 49. Wyrok zatwierdzony przez cesarza 16 czerwca st. st. t. r. O znużeniu się nad uczniami i nadużyciach podczas śledztwa. patrz listy Twardowskiego do ks. Czartoryskiego: „Roczn. Tow. p. n. pozna.“ XXVI, 432–3, 445. Na szczególną uwagę zasługuje list gen. Suchtelena do Dybicza o nadużyciach Nowosilcowa i desperacji ludności z powodu postępowania z dziećmi, l. c. 447 sq.

2) Por. Antoni Mazanowski: A. Mickiewicz od r. 1829 do 1832. „Przew. nauk. i lit.“ (Lwów) z r. 1884, str. 1145 sq. W opowiadaniu Sobolewskiego wymieniony jest jakiś „Wasilewski;“ prawdopodobnie miał tu poeta na myśli Węckowicza („Dano mu tyle kijów onegdaj na śledztwie i t. d.“). Szczegóły o śmierci Wasilewskiego i o niewidomym więźniu—fantastyczne.

IX.

W realistycznej scenie VII-ej poematu przenosi nas Mickiewicz do „salonu warszawskiego“ z r. 1823.¹⁾ Taka zmiana miejsca akcji, napozór nic nie mającej wspólnego z opisywanymi przedtem wypadkami, posiada jednakowoż głębsze znaczenie, wpływające z zasadniczej idei całego dzieła.

Nie możemy wprawdzie stwierdzić całkiem pozytywnie, czy i o ile związki młodzieży wileńskiej pozostawały w stosunku z takimiż stowarzyszeniami w Warszawie; supozycja atoli ma wiele pod tym względem prawdopodobieństwa. Wspomnieliśmy już wyżej na podstawie nader zresztą oględnych opowiadań Domejki o medycyach Filomatów z wysłaniami Towarzystwa Patriotycznego—wiemy nadto o stosunkach Czeczota z Bansemerem, jednym z wybitniejszych przywódców młodzieży warszawskiej, o udziale Zana w Gminie patriotycznej, do której był wprowadzony przez Jana Chodźkę, wreszcie o korespondencyi w sprawach organizacyjnych Filomaty Teodora Łozińskiego z Narcyzem Olizarem, byłym akademikiem wileńskim, potenczas zaś, w r. 1821. przełożonym obwodu łuckiego z ramienia Narodowego Towarzystwa Patriotycznego.²⁾

¹⁾ Por. odmiany tekstu w ed. kryt. *Dziadów* (1905), 347.

²⁾ Por. nasz artykuł: Ze stosunków wileńskich, „Bibl. warsz.“ 1904, II, 521, 524; Domejko, Filareci i Filomaci (1872), 18 sq.; Leleweł, Nowosilcow w Wilnie, „Polska“ VII, 304; Urywek pamiętnika Zana przytoczony w art. M. Gawalewicza „Druh Mickiewicza.“ Tygodnik polski 1898. str. 103; Artykuł Leonarda Chodźki u Józefa Straszewicza: „I Polacchi della rivoluzione del 29 novembre 1830.“ Capolago 1833, t. I, 56 (edycja włoska dzieła „Les Polonais et les Polonaises“); Mochnacki, Powstanie nar. pol. (Berlin 1863) t. I, 234 sq. W liście Kazimierza Piaseckiego do Franciszka Malewskiego z dn. 19 (31) grudnia 1821 r. (rkps.) taką znajdujemy wzmiankę, rzucającą światło na udział Filomatów w pracach Towarzystwa Patriotycznego na Wołyniu: „... *Gminy* (Tow. Patr. p. a.) się mnożą, a z nimi i wino drożeje (?). To jest owoc ich pracy. Szeroka (przez wisko filomaty Teodora Łozińskiego p. a.) zawodzą nadzieje, prywatna z Rafałówki korespondencya (z Olizarem p. a.) daje wiedzieć, że tam się chwyciono podanego stąd projektu wysyłania za granicę młodych, ale obrócić mają całą czynność na Krzemieniec, stamtąd to usposobionych podług ich mniemania można tylko wysyłać ludzi, a z Wilna wyjdą *szkolarze nie więcej*. Może więc oszukają Szeroka nadzieje wyjazdu za granicę. Nie dotąd niema pewnego, czeka odpowiedzi...”

Tę łączność obu dzielnic, Litwy z Koroną, w przedsięwzięciach ogólnonarodowych chciał Mickiewicz, zdaniem naszym, zaznaczyć, wprowadzając do swego dramatu filareckiego scenę warszawską. „My powinniśmy z sobą łączyć się i znosić; Inaczej rozdzieleni, wszyscy zginiem marnie“ — powiada przyszły belwederczyk Zenon Niemojewski do Adolfa Januszkiewicza, przedstawiciela młodej Litwy w „salonie warszawskim.“

Może też inny jeszcze czynnik powodował tu poetę. W trzeciej części Dziadów, której wydrukowanie uważał za „kontynuację wojny,“ miał zamiar objąć „całą historię prześladowań i męczeństwa naszej ojczyzny,“ jedną zaś, niezmiernie bolesną, kartą z dziejów narodowej martyrologii były śledztwa i cierpienia więzienne członków tajnych związków w Królestwie.

Scena warszawska, prócz ustępu o Cichowskim, zbliżonego do opowiadania Sobolewskiego, wypadła znacznie mniej wyraziście, niżeli inne. Jest to całkiem zrozumiałe, jeśli weźmiemy pod uwagę, że życie stolicy, jej ludzi i salony znać mógł Mickiewicz jedynie z drezdeńskich opowiadań Odyńca, Garczyńskiego, Antoniego Góreckiego i innych emigrantów ze stolicy po upadku powstania. Był to zapewne salon generała Wincentego hr. Krasieńskiego na Krakowskim Przedmieściu, gdzie na „obiadach czwartkowych“ licznie schodzili się literaci, publicyści, uczeni i cała towarzyska elita.

W „salonie warszawskim“ spotykamy wybitniejszych przedstawicieli *society* stołecznej. Przeważają ludzie pióra, choć nie brak również reprezentantów świata wojskowego i urzędniczego. *Gros* stanowi zwierzchnia warstwa narodu, „zimna i twarda, sucha i plugawa,“ złożona z ludzi czechych i pustych, rozprawiających o balach dawanych onego czasu przez Nowosilcowa, co tak „gustownie umiał urządzać zabawy,“ i którego brak w świecie towarzyskim dotkliwie dawał się odczuwać. Nie wzruszał ich los wydanej na pastwę śledztw senatora Litwy, o której mniej wiedzieli „niż o Chinach“ i to jedynie z gazet francuskich. Dziwi ich, że po polsku mówią jeszcze na Litwie, los więźniów warszawskich jest im obojętny, o czym pisać nie warto, conajwyżej „niech to stary Niemcewicz w Pamiętniki wsadzi.“ Niektórzy, jak Szam-

Pewne wskazówki co do porozumiewania się Wilna z Warszawą zawiera raport Nowosilcowa do W. Ks. Konstantego z dn. 5 (17) marca 1824 r., pf. Kraushar, Sprzysiężenia studenckie (1820 — 27). „Miscellanea historyczne“ (Lwów 1905), IV, 21 sq.

belan, wychodzą z salonu podczas rozmowy o Cichowskim, gdyż „o takich rzeczach słuchać nie bardzo bezpiecznie.“

Poeta rozwija przed nami szereg ludzi mniej lub więcej pogodzonych z losem, marzących wyłącznie o karierze, o błyszczeniu na jakimkolwiek bądź „dworze,“ choćby to miał być bodaj skromny dwór belwederski.

Typowym przedstawicielem tej sfery jest płaska figura Jana Kolumny Żaboklickiego, szambelana i „mistrza ceremonii“ przy W. Księżciu, złośliwie niegdys odmalowana przez Niemcewicza w *Tęczyńskim*.¹⁾

Szarzyznę umysłów, zasklepionych w nałogach pseudoklasycyzmu, reprezentują literaci, święcie trzymający się przepisów sztuki, wyznawcy Rasyna i Boileau. Widzimy tu obok „gazeciarza“ Franciszka Salezego Dmochowskiego, „poetę klasycznego“ Ludwika Osińskiego, autora „Ziemiaństwa“—starego Koźmiana, sielanekopisarza Brodzińskiego, skłaniającego się wprawdzie do nowszych haseł w poezji, nie lubującego się jednak w scenach gwałtownych, jako rzekomo przeciwnych naturze „sławiańskiej.“ Cały ten „salon“ czczy i dumny z siebie, nie odzwierciedlałby ówczesnych stosunków w stolicy, gdyby zbrakło w nim „młodych“—romantyków w literaturze, spiskowców w polityce. Jeden, to znany już nam ze sceny więziennej zacny Adolf Januszkiewicz, inni to: przyszli belwederczycy Zenon Niemojewski, Ludwik Nabelak i Wysocki. Jest również Adam Gurowski,²⁾ jaskrawy krzykacz z obozu demokratycznego, późniejszy na emigracji demagog, „wynalazca maszyny do wieszania arystokratów“—jak go nazwie Słowacki, w rzeczywistości zaś zdrajca i szpieg Paskiewicza. Nie braknie wreszcie sympatycznej postaci „damy młodej,“ opiekunki więźniów i ramych—Klaudyi Potockiej.

Najcelniejszym ustępem sceny warszawskiej jest opowiadanie Adolfa (Januszkiewicza), znane w literaturze jako „historia Cichowskiego.“ Właściwie mówiąc jest to opowieść o cierpieniach więziennych Machnickiego, jego bowiem, nie Cichowskiego, miał na myśli Mickiewicz, kreśląc ustęp powyższy.³⁾

¹⁾ Por. Kajetan Koźmian, Pamiętniki (Kraków 1865), t. III, 432–444.

²⁾ Przepuszczenie, że A*** G** w „Dziadach“ — to Gurowski opieramy na dokonanej przez Domejkę kopii poematu, w której postać ta nosi imię „Adam;“ wobec tego nie może to być Antoni Gorecki, por. ed. kryt. „Dziadów“ (1905), str. 350 i 405.

³⁾ Przekonywa o tem autograf trzeciej części *Dziadów*, w którym pierwotnie wszędzie było „Machnicki,“ później dopiero Mickiewicz własnoręcznie

Kazimierz Machnicki sam przez się nie był człowiekiem głośnego czynu, postać to niemal ukryta w dziejach, jednakże jako charakter wyjątkowej szlachetności, o rysach mocnych a czystych, jako jeden z twórców Wolnomularstwa Narodowego i Towarzystwa Patriotycznego i męczennik sprawy narodowej, nie dziw, że wprowadzony został do poetyckiej księgi naszej martylogii. Ze szlacheckiej rodziny wielkopolskiej, syn Antoniego i Zuzanny z Gniazdowskich, urodził się w Poznaniu w 1780 r. Wybitnych zdolności, poświęcił się był narazie prawoznawstwu, uczęszczał na uniwersytety w Heidelbergu i Hadze. Po powrocie do kraju został sędzią trybunału w Łomży.

Był on wtenczas młody,
 Żywy, dowcipny, wesół i sławny z urody;
 Był duszą towarzystwa, gdzie się tylko zjawił,
 Wszystkich opowiadaniem i żartami bawił;
 Lubił dzieci...

nadpisał „Cichocki,“ Domejko zaś poprawił na „Cichowski;“ podobnież w wierszu „Oni (Machnicey) są z Wielkopolski“ napisał „z Galicyi,“ zgodnie ze zmianą nazwiska. Por. odmiany tekstu w ed. kryt. *Dziadów* (1905), 347 sq. Być może, że Mickiewicz usunął nazwisko Machnickiego na skutek życzenia tego ostatniego.

Adolf Cichowski, „znany męczennik patriotyzmu,“ jak go nazywa Barzykowski, był synem generała artylerji; urodził się w Warszawie w 1794 r.; już w 1809 wstąpił do wojska Księstwa w stopniu podporucznika i został adjutantem generała brygady Piotrowskiego. Odbił kampanię moskiewską 1812 r., saską 1813, francuską 1814 r., ozdobiony krzyżem legji honorowej. Po upadku Napoleona opuścił szeregi w randze kapitana, lat kilka zawiadywał magazynem solnym w Kaliszu. Należał do Tow. Patriotycznego. Aresztowany w 1822 r. trzymany był u Karmelitów i następnie oddany pod nadzór policji. Podczas badań nikogo nie wydał. W czasie rewolucji listopadowej został prezesem Komisji budowli publicznych i wydawał „Kuryera Polskiego;“ po upadku powstania emigrował z żoną do Drezna. Strata żony i klęski prywatne skłoniły go do szukania pociechy w zbieraniu zabytków polskich, do czego użył dość znacznego swego majątku. Z Drezna w 1835 r. przeniósł się do Paryża, gdzie pomagał ks. Adamowej Czartoryskiej w założeniu i kreowaniu Instytutu panien oraz wspomaganiu ubogich emigrantów. Zmarł w Paryżu dn. 7 października 1854 r. Na grobie jego w Père-Lachaise wyryto następującej napis: „Prawy Polak, waleczny żołnierz, męczennik za sprawę narodową, zasłużony naukom, opiekun sierot i nieszczęśliwych na wygnaniu.“ Por. „Muzeum Adolfa Cichowskiego“ w „Przeglądzie Poznańskim“ z r. 1852, XV, 4 sq. życiorys tamże 1854 r., XIX, 502 sq., „Wiadomości polskie“ (Paryż) z dn. 14 października 1854 r., str. 104, „Demokrata polski“ (Londyn) z dn. 30 listopada 1854 r. str. 212. Wl. Mickiewicz, „Żywot A. M-a,“ t. IV, 385.

Nie był to jeszcze wtedy ów „waryat Machnicki,“ obłąkany „Król zamczyska,“ jakiego po Mickiewiczu odmaluje Goszczyński, znękanego po tylu cierpieniach dziwaka i szaleńca. Dn. 1 kwietnia 1809 r. opuścił Machnicki zajmowane stanowisko, aby stanąć w szeregach wojsk Ks. Warszawskiego, walczących z Austryą. Odbył całą kampanię 1809 r., narazie jako organizator gwardyi narodowej departamentu łomżyńskiego, następnie, z nominacyi ks. Józefa Poniatowskiego (z dn. 5 lipca 1809 r.), jako kapitan pułku I-go galicyjsko-francuskiego, późniejszego XIII-go księstwa. W 1813 uczestniczył w obronie Zamościa; mianowany przez Haukego majorem placu, z krwią zimną i nieustraszoną odwagą pełnił trudne swoje obowiązki; pod lukiem dział znalazł czas dla wybicia słynnych sześciogroszniaków zamojskich, z napisem: „Boże dopomóż wiernym ojczyźnie.“ Po kapitulacyi twierdzy, ozdobiony krzyżem kawalerskim, wszedł po utworzeniu Królestwa, dn. 2 marca 1816 r. do pułku V-go piechoty liniowej, w randze majora, niebawem jednak, 15 marca t. r., wziął dymisyę. W tym czasie Machnicki, wspólnie z Łukasińskim i innymi, rozpoczął działalność spiskową, mającą na celu organizacyę sił krajowych w tajnych związkach politycznych. Aresztowany w 1822 r. trzymany był u Karmelitów i razem z Łukasińskim stawiony przed sąd wojenny; wyrokiem z dn. 14 czerwca 1824 r. uwolniony dla braku dowodów, lecz z oddaniem pod ścisły nadzór policyjny. Ponownie aresztowany w lutym 1826 r. w ciągu trzech lat znosił okropne męczarnie więzienne, z zaciętym uporem odmawiając wszelkich zeznań.

... lat trzy przeszło bez śladu, bez wieści.
 Lecz nie wiedzieć, kto szerzył w Warszawie powieści.
 Że on żyje, że męczą, że przyznać się wzbrania,
 I że dotąd nie złożył żadnego wyznania;
 Że mu przez wiele nocy spać nie dozwalano,
 Że karmiono śledziami i pić nie dawano,
 Że pojono opium, nasyłano strachy,
 Larwy, że łaskotano w podeszwy, pod pachy...

Uwolniono go wreszcie, lecz jakim!

Utył, ale to była okropna otyłość;
 Wydęła go zła strawa i powietrza zgniłość;
 Policzki mu nabrzmiwały, poźółkły i zbladły,
 W czole zmarszczki pół wieku, włosy wszystkie spadły.

... tyle tysięcy dni był pod śledztwa próbą.
 Tyle tysięcy nocy rozmawiał sam z sobą,
 Tyle lat go badały mękami tyraury.
 Tyle lat otaczały słuch mające ściany,
 A całą jego było obroną—milczenie,
 A całym jego były towarzystwem cienie:
 Że już się nie udało wesolemu miastu
 Zgładzić w miesiąc naukę tych lat kilkunastu.
 Słońce zda mu się szpiegiem, dzień donosicielem.
 Domowi jego strażą, gość nieprzyjacielem.
 Jeśli do jego domu przyjdzie kto nawiedzić,
 Na klanki trzask on myśli zaraz: idą śledzić;
 Odwraca się, i głowę na rękę opiera:
 Zdaje się, że przytłumność, moc umysłu zbiera,
 Ścina usta, by słowa same nie wypadły,
 Oczy spuszcza, by szpiegi z oczu co nie zgadły.
 Pytany, myśląc zawsze, że jest w swem więzieniu,
 Ucieka w głąb pokoju i tam pada w cieniu,
 Krzyżąc zawsze dwa słowa: „nie nie wiem, nie powiem.“
 I te dwa słowa jego stały się przysłowiem.

.

Ten „człowiek nieugiętego charakteru, dzielnego umysłu i serca,“ predestynowany był pierwotnie na naczelnika powstania wojskowego w listopadzie 1830 r. zamiast Wysockiego; wezwany do wzmocnionej Rady Administracyjnej w grudniu 1830 r.; po upadku powstania emigrował, cierpiał straszną nędzę, aż wreszcie pod koniec tknięty paralizem i pozbawiony mowy zmarł w Marsylii dn. 15 października 1844 r.:¹⁾

... O swoich cierpieniach sam już nie wiedział,
 Nie pomyślał!—Jego pamięć zapisana cała.
 Jak księga herkulańska pod ziemią spróchniała!...

¹⁾ Por. Rodowody pułku V piech. lin.; „Dziennik Narodowy“ z 28 grudnia 1844 r. № 195; „Kronika emigr.“ 1835 r., III, 308 sq. Barzykowski, „Hist. powst. list.“ I, 181, 264 sq., Mochnacki, Powstanie nar. (Berlin 1863), t. I, 224 sq. „Bibl. warsz.“ 1906 r., II, 5 sq.

W opowiadaniu Mickiewicza nieściśle jest wiadomość o „kilkunastoletniem“ więzieniu Machnickiego, co najwyżej może być mowa o latach 1822—29. Opis katuszy więźniów w klasztorze Karmelitów (A. Cielhowskiego i in.) zgodny z prawdą.—por. list Maurycyego Mochnackiego do Michała Hubego, referendarza stanu, z dn. 12 sierpnia 1832 r. (Podczaszyński: „Pamiętnik emigr, Mieczysław II, str. 19—23); Mochnacki: „Powst. nar. pol.“ (Berlin 1863), II, 55

IX.

W VIII-ej scenie *Dziadów*, zatytułowanej „Pan Senator,“ widzimy kata litewskiej młodzieży „u siebie,“ w otoczeniu najbliższych przyjaciół i powierników. Znakomicie nakreślony przez Mickiewicza wizerunek Nowosilcowa stawia w pełnym świetle postać „pana senatora.“ W napiętnowanym brzydota ciała siedziała zła i nieczemna dusza policyjna. Napozór światowiec, *galantuomo*, z wersalską uprzejmością zwracający się do dam „z towarzystwa,“ przy zetknięciu ze swymi ofiarami przeistaczał się w wyuzdanego cynika, drwiącego ze wszelkich uczuć litości i współczucia. Przy „damach“ nieśmie on odmówić prośbie matki, aby do syna w więzieniu posłano kapłana, za chwilę zaś postępuje brutalnie z księdzem:

„Mnichu! Czy ty słyszałeś o ruskim batogu?

A czy wiesz mnichu, że ja mógłbym cię powiesić,
 I obaczym, czy przecor potrafi cię wskrzesić.

Jeżeli cię powieszę, a cesarz się dowie,
 Zem zrobił nieformalnie; a wiesz, co on powie?
 „Ej senatorze, widzę, że się już ty bisisz.“
 A ty mnichu, tymczasem jak wiesz, tak wiesz!...¹⁾

sq. W czasie pisania III cz. *Dziadów* opowiadał wiele Mickiewiczowi „o więzieniach i morzeniu głodem za rządów W. Księcia (Konstantego),“ pułkownik Piotr Ludomir Łagowski. (Por. list Domejki do ks. Siemieńskiego z dn. 26 paźdz. 1880 r. w „Korespondencji A. M-a,“ IV, 5. Pamiętniki Henryka Narkwaskiego. Kallenbach, „A. M-cz,“ II, 402). Pułkownik Łagowski należał do Towarzystwa Patryotycznego, przez pewien czas był surowo więziony; pozostawił w rękopisie interesujące pamiętniki.

¹⁾ W r. 1812 opowiadano na Litwie o charakterystycznym zajściu jakie miał w owym czasie ks. Ksawery Lubecki, podówczas wileński marszałek gubernialny z jakimś generałem rosyjskim, podobno z samym Kutuzowem, opierając się jego samowoli w sprawie dostaw dla armii; rozgniewany generał krzyknął na Lubeckiego: *Ja ciebia, kniaź, powieszu; Gosudar skazet: wot zbiesiśsia staryk, a ty kniaź budiesz wisieł!* (Smolka: „Polityka Lubeckiego,“ Kraków 1907, str. 38). Powyższa anegdota dała zapewne Mickiewiczowi powód do włożenia tych słów w usta Nowosilcowa.

Nowosilcow, gdy kogo potrzebował, miał dlań na zawołanie ujmujący uśmiech i układne słówko francuskie; przybierał się w tożę praw strzegącego męża, jak w szyty z fotem mundur, w zaufanem zaś kole powierników z cyniczną otwartością szydził z tych „patriotów, co miast opowiadać o „strojach i kasynie“ mają na ustach błagalne słowa za uwięzioną młodzieżą i żywią dla niej współczucie. A w jaki sposób wplątywać umiał najniewinniejszych ludzi w sprawę filarecką dowodem postępowanie Nowosilcowa ze swym wierzycielem, kupcem Kanissynem:

SENATOR:

A propos,— ten Kanissyn, trzeba mu wziąć syna
Pod śledztwo.— Oj, to ptaszek!

SEKRETARZ:

To mały chłopeczyna.

SENATOR:

Oni to wszyscy mali: ale patrz w ich serce;
Najlepiej ogień zgasić, dopóki w iskiecce.

SEKRETARZ:

Syn Kanissyna w Moskwie.

SENATOR:

W Moskwie? A, voyez vous,
Emissaryusz klubów? — Czas zabezpieć temu,
Wielki czas.

SEKRETARZ:

On podobno u kadetów służy.

SENATOR:

U kadetów? — Voyez vous? On tam wojsko burzy.

SEKRETARZ:

Dzieckiem z Wilna wyjechał.

SENATOR:

Oh! cet incendiaire,
Ma tu korespondentów.

(Do sekretarza)

Ce n'est pas ton affaire;
Rozumiesz! — Hej deżurny! — We dwadzieścia cztery
Godzin, wysłać kubitkę i zabrać papiery.
Zresztą, ojciec lękać się nas niema przyczyny,
Jeśli syn dobrowolnie przyzna się do winy.

Cały szereg faktów z czasów procesu filareckiego stwierdza, że takie rozmowy w salonach senatora mogły mieć miejsce. Policmajster wileński, Szłykow, prowadzący z ramienia Nowosilcowa śledztwo przeciw studentom uniwersytetu, zapewniał, „że uczniowie tutejsi posyłali i przyjmowali parlamentarzy, i byli w związku z uczniami w Warszawie i *kadetami* w Petersburgu, i że taki był duch stowarzyszeń, iż byle jakie zaprowadzać starano się, a stąd powstały towarzystwa poetów *a nawet palących lulki (!)*“¹⁾

Wiadomem jest z jaką zaciekłością doszukiwał się Nowosilcow udziału ks. Czartoryskiego w sprawie filareckiej, jak zapamiętałe dążył do obalenia swego niedawnego jeszcze przyjaciela:

Ach, gdyby jaki dowód! choćby podejrzenie,
Ślad dowodu, cień śladu, choćby cieniów cienie!
Nieraz już mi o uszy oblała się mowa:
To Czartoryski wyniósł tak Nowosilcowa.
Obaczym teraz, kto z nas będzie mógł się chwalić:
Czy ten co umiał wynieść, czy ten, co obalić.

Podejrzenie, że „kryjomą sprężyną spisku“ jest książę, nasuwa senatorowi w *Dziadach* Doktor August Becu, ojczym Juliusza Słowackiego.

Rola prof. Becu w procesie filareckim nie została dotychczas należycie wyświetlona.²⁾ Przypuszczać można, że była co najmniej dwuznaczna i że w każdym razie „ten doktor nad powinność czynił.“ Mickiewicz nie szczędził w *Dziadach* ciemnych barw dla odmalowania tej postaci, czem ściągnął był na siebie zrozumiałe oburzenie Słowackiego. Dr. August Ludwik Becu, pochodzący z protestanckiej rodziny francuskiej, osiadłej od wieku XVII w Polsce i obdarzonej indygenatem, nie żył się nigdy ze swą drugą ojczyzną. Polska, sarmacka godność narodowa by-

¹⁾ Przedstawienie sekretne rektora wileńskiego uniwersytetu do ks. kuratora z dn. 25 października st. st. 1823 r. № 407 („Arch. dla hist., lit. i t. d.“ VI, 239). Do *Towarzystwa Filaretów* w rzeczy samej należało paru wojskowych: Ignacy i Bruno Szemiotowie i Dominik Orlicki. Por. Wierzbowski, „K historyi tajnych obszczestw,“ 64 sq.

²⁾ Najtrafniejszą charakterystykę dr. Becu z uwzględnieniem całej literatury oraz wielu nowych szczegółów podaje Ferdynand Hösick w swym „Życiu Juliusza Słowackiego“ t. I (Kraków 1896), zwłaszcza str. 46–8, 128–33, 137–9, 555. Por. Porcyanko, Żywot A. Becu, „Dziennik wileński“ 1825, II. Bieliński, „Uniwersytet wileński“ t. II, 279 sq., III, 118 sq. Pamiętniki ks. St. Jundzilla (Kraków 1905), str. 114.

ły mu obce. Przejął się nawskroś atmosferą europejską, która mu imponowała i w końcu stał się zupełnym kosmopolitą. Był przytem, obok niezaprzeczonych zasług dla wiedzy lekarskiej, człowiekiem niedbałym w swych obowiązkach profesorskich, przekładając dobre śniadanie nad lekcję w uniwersytecie. Ten sybarytyzm i pragnienie użycia zbliżyły doktora do Nowosilcowa. Senator polubił profesora za jego wesoły zawsze humor i chętnie z nim czas spędzał. Dr. Becu chodziło o podtrzymanie przyjaznego stosunku z przyszłym kuratorem, miał bowiem nadzieję wyjednania sobie uwolnienia od służby publicznej z wysoką pensją dożywotnią. W działaniach swych dla zyskania możnej protekcji nie zawalał się nawet przed spełnieniem czynów nieszlachetnych. Gdy jeden z uwięzionych Filaretów napisał przez więziennego stróża karteczkę do prof. Becu, którego znał dobrze, prosząc go, aby ostrzegł pewnego kolegę, że jeśli nie umknie, to będzie aresztowany;—Becu, obawiając się, ażeby to nie ściągnęło nań podejrzania, zamiast postąpić w myśl życzenia owego więźnia, albo przynajmniej zamiast zniszczyć kartkę, oddał ją Pelikanowi, ten zaś przesłał ją do komisji śledczej.¹⁾ Czyn taki, bądź co bądź, ujemne rzuca światło na osobę Becu. Wiedząc, że Nowosilcow potępiał kierunek narodowy w wychowaniu młodzieży, dr. Becu podsunął mu, jak twierdzi Lelewel, myśl, że „nauki filologiczne i moralno-polityczne, wykład Iliady lub nauka prawa, mogą młodzieży umysł egzaltować.“

Właśnie powiadałem

Jaśnie Pann, że młodzież zarażają szalem,
 Ucząc ich głupstw: naprzykład starożytnie dzieje!
 Któż nie widzi, że młodzież od tego szaleje.

.....

I owszem uczyć dziejów: niech się młodzież dowie,
 Co robili królowie, wiele ministrowie...

.....

... jest sposób wykladać dzieje i dla młodzi:
 Lecz poco zawsze prawić o republikanach,
 Zawsze o Ateńczykach, Spartanach, Rzymianach?

¹⁾ Na podstawie listu prywatnego ks. arcybiskupa Z. S. Felińskiego do p. F. Hösocka, l. c. str. 129.

Zapatrywania Becu w zupełności podzielał Nowosilcow i niejednokrotnie dawał im wyraz w swych raportach do W. Księcia.¹⁾

Wobec tego wszystko, co o doktorze napisał Mickiewicz, jest wielce prawdopodobne i możliwe; być może, iż poeta nieco przesadził, charakterystyka jednak dr. Becu w *Dziadach* niewątpliwie zgodną jest z ówczesną o nim opinią litewskiego społeczeństwa.

Nagła śmierć doktora od pioruna (dn. 26 września 1824 r.) uważana była powszechnie za widomy znak „kary niebios“ na ciemieżców młodzieży. Tysiączne z tego powodu krążyły wieści. Opowiadano między innymi, że śmierć dosięgła dr. Becu w tym dniu właśnie, w którym nadeszło dla niego z Petersburga podziękowanie „za zasługi,“ jakie położył w czasie filareckiego procesu. Szczególną przywiązywano wagę do faktu, że piorun zabiwszy doktora, wpadł do komody, w której było kilka rubli srebrnych, i stopił je.

Fenomen ten godzien rozbiorów:

Okolo domu stało dziesięć konduktorów.

A piorun go w ostatnim pokoju wytropił,

Nic nie zepsul i tylko ruble srebrne stopił.

Srebro leżało w biurku, tuż u głów Doktora.

I zapewne służyło dziś za konduktora.

.....

Ruble rosyjskie, widzę, bardzo niebezpieczne.

Chętnie też podawano ucha pogłosce, szerzonej przez Niewiarowicza,²⁾ który opowiadał, że wjeżdżał właśnie do Wilna podczas owej burzy, której piorun zabił doktora, gdy około domu, przytykającego do zaułku bernardyńskiego, w którym mieszkali państwo Becu, z jakiejś bramy wypadł śmiech prawdziwie szatański, połączony z wykrzyknikiem: „Ha, ha, ha! przecież jednego dyabli wzięli!“

Wszystkie te pogłoski, słyszane podówczas niewątpliwie przez Mickiewicza, i w wielu wypadkach prawdziwe, stwierdzone bowiem przez świadków, znalazły wyraz w *Dziadach*.

Typem karyerowicza, o giętym karku i marnej duszy, był następca Józefa Twardowskiego na stanowisku rektora, dr. Wacław

¹⁾ Na szczególną uwagę zasługuje tu raport senatora z dn. 9 sierpnia st. st. 1823 r. № 1061, który na innym miejscu zostanie przez nas ogłoszony.

²⁾ Alojzy Ligenza Niewiarowicz, Wspomnienia o A. Mickiewiczu. Lwów. 1878, str. 31.

Pelikan ¹⁾. Pochodzenia czeskiego (ur. w Słonimie w r. 1790 r.), syn nadwornego muzyka w orkiestrze hetmana Ogińskiego, dzięki wybitnym zdolnościom, ukończył wydział filozoficzny w Wilnie, poczem udał się na koszt rządu do cesarskiej akademii medyko-chirurgicznej w Petersburgu; po ukończeniu studyów, został tamże pomocnikiem inspektora studentów, w r. 1817 objął po prof. Nizkowskim katedrę chirurgii w uniwersytecie wileńskim i wkrótce zjednał sobie sławę zdolnego profesora i biegłego operatora. Ujmującą powierzchownością i wykwiutnem obejściem pozyskiwał serca wszystkich, stał się, jak pisze Morawski, „bożyszczem Wilna.“

W początkach śledztw zasiadał w komisji dla osądzenia sprawy uczniów gimnazjalnych i narazie występował, jako żarliwy obrońca uniwersytetu przeciw zakusom Nowosilcowa. Jeździł nawet w owym czasie do Petersburga, gdzie starał się o „odmienienie opinii“ i przedstawienie ministrowi „wielu szczegółów w prawdziwym świetle.“ Rezultat zabiegów petersburskich zapowiadał się pomyślnie. Dn. 16 września 1823 r. donosi Pelikan ks. A. Czartoryskiemu, że „książe minister (Golicyn) i publika petersburska uważa wypadki wileńskie za dzieciństwo... minister przyjął mnie przychylnie... i obiecał opiekę... cesarz również usposobiony dobrze...“ ²⁾ W początkach swej kariery Pelikan nie ujawniał w niczem przyszłego „nauk i ludzi tyрана,“ jak o nim głosiła ówczesna młodzież wileńska w satyrycznym wierszyku; oburzał się na sposób prowadzenia śledztwa i na potworną nieczemność tegoż

¹⁾ Sylwetka na podstawie następujących źródeł: nekrolog w petersburskim tygodniku „Wsiemirnaja Illustracya“ z dn. 18 sierpnia 1873 r. № 242; Morawski: Pamiętniki (por. A. „Bajkow,“ str. 46 sq., 92, 110 etc.); Sobarri: Obrazki litewskie (Poznań, 1874), str. 127 sq.; Lelewel: Nowosilcow w Wilnie „Polska,“ VII, 282 sq. 307; Korespondencya ks. Czartoryskiego i Józefa Twardowskiego z lat 1822—24, „Roczn. Tow. prz. nauk pozn.,“ XXVI, 282, 341, 350; Mikołaj Malinowski: Księga wspomnień, Kraków, 1907 r., str. 57, 77 sq. (powołany ustęp drukowany uprzednio w „Korespondencyi“ Mickiewicza, t. IV, 28 sq.); Wierzbowski: Mickiewicz w Wilnie i Kownie, „Bibl. warsz.,“ 1888, t. II, 43; Bieliński: Uniwersytet wileński, II. 329 sq., 827 sq., III, 87 sq.; Michał Godlewski: „Przekleństwo na Pelikana.“ Warszawa, 1830; A. F. Adamowicz: Protokoły wileńskawo medycynskawo obszczestwa z r. 1873, № 8. Profesor un. wil., dr. Józef Frank w piątym tomie swych „Mémoires biographiques“ skreślił charakterystykę Pelikana i opisał wszystkie jego nadużycia; tom ten został przez Pelikana wykradzony z biblioteki wileńskiego towarzystwa lekarskiego i następnie przezeń zniszczony.

²⁾ Arch. ks. Czartoryskich.

prowodyrów. Zastępując w kwietniu 1824 r. nieobecnego Twardowskiego, wyjeżdżał dla rozpatrzenia sprawy uczniów w Poniewieżu, i w tych słowach donosił rektorowi o postępowaniu tamże wysłańców senatora, Królikowskiego i Botwinki: „Niespokojny, jak widzę, jesteś trochę względem rozmaitych smutnych naszych wydarzeń, i sprawiedliwie; awantura poniewieska nauczyła mnie lepiej znać ludzi: sumienie, prawda i wszystko na bok, kiedy się tem można merytować, zgubienie kilku lub kilkudziesięciu osób, zrobienie ich nieszczęśliwymi nie nie znaczy, kiedy przez to na łaskawe skinienie oczu zasłużyć można. Bądź pewny, mój dobry Panie, że podobnej wyprawy drugi raz za nichym się nie podjął, jakoż wymówiłem się sam od zjechania do Kowna, a posłałem tylko Kukolnika, który szczęśliwszy odemnie w tem, że nie miał takiego, jak ja, kolegi“¹⁾.

Słowa powyższe, zawierające rzetelną ocenę postępowania zauszników Nowosilcowa, na tem baczniejszą zasługują uwagę, że pochodzą bynajmniej nie od człowieka współczującego młodzieży, lecz od w bliskiej już przyszłości gasicielea ducha i wroga wszelkich narodowych zamierzeń polskiego społeczeństwa. Niebawem, przekonawszy się o zachwianem stanowisku ks. Czartoryskiego na kuratorji wileńskiej, przerzucił się Pelikan do jawnych stronników Nowosilcowa. Pociągały go tam nadzieje łatwej kariery, nęciło wystawne życie w czynowniczem gromie, nadzieja zaszczytów, rang i orderów. Stał się takim, jak ci, których niedawno jeszcze potępiał. Zostawszy, dzięki poparciu swego przyjaciela Bajkowa, dożywotnim rektorem uniwersytetu z nominacji urzędowej, co było miśtychaniem w dziejach wszechnicy, gdyż dotychczas wyboru rektora dokonywała rada profesorów, wprowadził Pelikan niebyswały nepotyzm w stosunkach uniwersyteckich i sam niepoohamowanym zbytkiem i trwonieniem funduszków publicznych dawał gorszący przykład. Otoczywszy się całą zgrają pochlebców, dążył razem z nimi do szybkiego zbogacenia się; nauka i dobro uniwersytetu poszły w poniewierkę. Do łask rektora wkradano się za pomocą kosztownych upominków, składanych mu w dniu

¹⁾ Arch. ks. Czartoryskich. W szczerosc powyższych wynurzeń Pelikana nie należy zbyt ufać. Już wtedy zdawał się on być dwulicowym, chociaż pisał rzetelną prawdę. Z sekretnego raportu Botwinki do Nowosilcowa (z Poniewieża, dn. 17 marca st. st. 1824 r., № 3) dowiadujemy się, że w Poniewieżu do wykrycia i aresztowania rzekomych przestępców przyłożył się najwięcej Pelikan: o niecznych jego tamże podstępach w celu wydobycia zeznań od mwiezionych uczniów pisze również Lelwel. Por. „Polska,“ VII, 272.

imieniu albo na imienniny jego żony,—taką tylko drogą dojść można było do awansu. Jeżeli kto przegrał do niego w karty większą kwotę, również pewny mógł być protekcyi. Sposobności po temu nie brakło nawet u samego Pelikana, którego dom stał się przytułkiem gry hazardowej, oraz najprzeróżniejszych niezbyt godziwych rozrywek.

Wprowadzając moralną zgniliznę do przybytku wiedzy, Pelikan stał się równocześnie bezwzględnyim tępicielem wszelkiej myśli wolnej, wszelkiego szlachetniejszego porывu serc młodzieńczych. „Nakoniec—pisał do Nowosilcowa w raporcie z dn. 13 maja 1828 r. ¹⁾—ciąglem mojem staraniem mogę wyrzec, że doszedłem do zupełnego przekształcenia uczącej się młodzieży; jeżeli z uczniów okaże się który źle myślący, taki natychmiast bywa denuncyowany i przekonany przez własnych kolegów.“

Szeregim śledztw politycznych w szkołach litewskich w latach 1825—30 zyskiwał Pelikan pochwały Nowosilcowa i do coraz wyższych przedstawiany był odznaczeń. Dla przypodobania się senatorowi, *Wiencęstaw Wiencęstawowicz*, gdyż tak nazywano rektora, polecił profesorowi historii, Żegocie Onacewiczowi, szukać w dziejach polskich plam, ciężących na rodzinie Czartoryskich, i zebrane rzekome dowody niegodziwości tychże przedstawił Nowosilcowowi dla „użycia ich w danym czasie i miejscu, tudzież dla wrażania Cesarzewiczowi, że ród Czartoryskich jest od wieków buntowniczy i królobójczy.“ Znaną jest również niecna działalność Pelikana w stosunku do Mickiewicza i innych Filomatów, przebywających w Rosyi na wygnaniu; rektor wszelkich używał starań, aby uniemożliwić im powrót do kraju, gdzie, jako „w gnieździe wszystkich ich szkodliwych marzeń i zamiarów, nie można im zupełnie dowierzać.“

W r. 1824 Pelikan został przewodniczącym w komitecie dla przeprowadzenia systematycznej reorganizacyi szkolnictwa litewskiego w duchu rusyfikacyjnym; od 1829 r. kierował wileńskim komitetem cenzury i za zasługi położone na tem polu, polecono mu z najwyższego rozkazu wypłacać w ciągu dwudziestu pięć lat dodatkową pensyę 1500 rb.

W r. 1831 był jawnym stronnikiem Rosyi i wrogiem powstania; wszelkich używał sposobów, aby wyłączyć uniwersytet od udziału w wypadkach politycznych i podtrzymać w nim porządek. W tym celu wydał, dn. 20 grudnia st. st. 1830 r., rozporządzenie,

¹⁾ Lelewel: Nowosilcowa w Wilnie, „Polska“, VII, 310.

zabraniające wyjazdu do domów podczas świąt Bożego Narodzenia wszystkim studentom i uczniom gimnazjum, rzekomo dlatego, aby „nie narazili się przez niedoświadczenie na jakiegokolwiek nawet podejrzenie.“ W czasie rewolucyi zajmował się urządzeniem szpitala w Wilnie dla ranionych oficerów rosyjskiej armii; za gorliwość otrzymał podziękowanie od Dybicza, oraz wyrazy cesarskiego uznania. Publiczność wileńska inaczej oceniła niezmierną pracę rektora—został sromotnie obity kijem na ulicy. Obmierziwszy sobie wskutek tego pobyt w Wilnie i przewidując upadek uniwersytetu, wyjechał do Petersburga, gdzie wszedł niebawem do komisji, reorganizującej cesarską Akademię medyko-chirurgiczną. W końcu 1838 r. przeniesiony do Moskwy, został głównym lekarzem szpitala wojennego z taką samą pensją, jaką pobierał na stanowisku rektora, czyli 4,200 rb. rocznie. W 1846 r. powołany był na dyrektora medycznego departamentu ministerium wojny, w 1851 r. mianowano go prezydentem Akademii medyko-chirurgicznej. Dn. 22 marca 1863 r., z powodu pięćdziesięciolecia „nieskazitelnej“ służby, otrzymał od cesarza 4,037 dziesięcin ziemi z dóbr koronnych w saratowskiej gubernii; zaś w dwa lata później Pelikan dostąpił najwyższej w państwie godności, jako medyk,—prezesa rady lekarskiej przy ministerium spraw wewnętrznych. Na parę miesięcy przed zgonem otrzymał przy miłościwem piśmie cesarskiem order Aleksandra Newskiego wyższego stopnia. Zmarł dn. 9 lipca st. st. 1873 r. we własnym majątku Pelikany, w gub. kowieńskiej.

Imię Pelikana nierozłącznem jest z dziejami upadku wszechnicy wileńskiej, a z nią i całej wielkiej budowy edukacyjnej Czarotorskiego na Litwie.

Zanim napiętnował go w *Dziadach* Mickiewicz, już w r. 1830 rzucił Michał Godlewski w Warszawie, dokąd dotarła nieszczerna sława rektora, następujące „przekleństwo na Pelikana:“

Bodajby cię w ciemnościach piekło pochłonęło,
 Oby ciebie ojezysta ziemia nie nosiła.
 Oby cię taka rozpacz do skonu dręczyła,
 Z jaką tylu mych braci na wieki zginęło.
 Ty, chcąc hydrę północy podle zjednać sobie.
 Rozbrat w duchu i cnocie zrobiłeś z Polakiem.
 Tyle matek na zimnym synów płacze grobie,—
 Bo ty dla nich tyranem byłeś, nie rodakiem.
 Zgiń, jak wiatr na grobach duszy mej, szatanie!
 Napawaj strutem tchnieniem lodowate kraje;

Czegóż nam burzysz złotej wolności świtanie;
 Dość, niech w tobie wiekują dzikich myśli zgraje.
 Gdzie tylko pełne zguby zwrócisz swoje oko,
 Wszędzie głos mego żalu ścigać będzie ciebie.
 Polski sława poleci po świecie szeroko,
 Ty zginiiesz, i w pamiętek nie zabłyśniesz Niebie.

*

*

*

Najdoskonalszem wcieleniem cynicznego wyuzdania i moralnej gangreny wśród biurokracyi rosyjskiej wogóle, w najbliższem zaś otoczeniu Nowosilcowa w szczególności, był przyjaciel tego ostatniego i towarzysz jego warszawskich bachanalii, rzeczywisty radca stanu i szambelan, Leon Bajkow ¹⁾. Śledztwa wileńskie dały mu znakomitą sposobność ujawnienia instynktów urodzonego satrapy. W rzeczy samej Bajkow przedstawia rzadki typ psychologiczno-patologiczny. Z zadziwiającą szczerością pisane własne jego pamiętniki okazują nam w całej potwornej nagości marną duszę i nikczemny charakter tego *sui generis* niezwykłego człowieka. Brak w nim wszelkich uczuć ludzkich, wszelkich szlachetniejszych pierwiastków duchowych. Jest to natura do szpiku kości zmysłowa i w tej chorobliwej zmysłowości niesłychanie brutalna. Kieruje nim wyłączne niczem nie okiełznane pragnienie brudnych uciech. Występuje się Nowosilcowowi nie dla szczerzego oddania jakiejś państwowej idei rosyjskiej, lecz jedynie dla kariery. „Wogóle — mówi Wigiel w swych pamiętnikach — *Bajkow nie pragnął ni k kakoj wiere.*“ Za młodu, sekretarzując hr. Markowowi,

¹⁾ Materiał do charakterystyki Bajkowa zawierają osobiste jego pamiętniki, wydane przez A. Kraushara w przekładzie z francuskiego oryginału, przechowywanego w archiwum ordynacyi Krasieńskich. (A. „Bajkow.“ Z kartek pamiętnika rękopiśmiennego. Lwów, 1893). Wydawca nie uważał za właściwe ogłosić rękopisu w całości, ze względu na pornograficzną treść niektórych ustępów, przewyższających swą trywialnością opowieści Swetoniusza, Boccaccia i Casanovy.

Pamiętnik Bajkowa po śmierci autora przechowywany był w kancelaryi Nowosilcowa w Warszawie i stąd, wraz z innymi papierami, dostał się w listopadzie 1830 r. do rąk powstańców; wtedy też zapewne czytał wspomniane pamiętniki Lelewel. Por. Nowosilcow w Wilnie. „Polska,“ VII, 297.

ambasadorowi rosyjskiemu w Paryżu, wyniósł Bajkow z „nowoczesnego Babilonu“ zewnętrzne jeno cechy towarzyskiej oglady oraz zamiłowanie do hulaszczego trybu życia. Przejął się też modnym naówczas sentymentalizmem; ta powierzchowna czułość w stylu epoki, każe Bajkowowi rozczytywać się po całych nocach w żałośliwych romansach, brzdąkać na gitarze i rozczulać się do łez nad losem wyzłicy; nie przeszkadza mu atoli w znęcaniu się nad niewinną młodzieżą. Jest łotrem w każdym calu, nie dziw, że tacy zohydzali w naszych oczach cały naród rosyjski.

Oficer rosyjski z *Dziadów*, wskazując na Bajkova, mówi do Bestużewa:

Nie dziw, że nas tu przeklinają:
Wszak to już mija wiek.
Jak z Moskwy w Polskę nasylają
Samych lajdaków stek.

Student zaś w tych słowach charakteryzuje Bajkova:

Patrz, jak się Bajkow rucha:
Co to za mina, co za ruch!
Skacze, jak po śmieciach ropucha.
Patrz, patrz, jak nadął brzuch.
Wyszczerzył zęby: nazbyt lyknał.
Patrz, jak otwiera gębę on.
Słuchaj, ach, słuchaj: Bajkow ryknał.

I „pan generał“ istotnie nuci przed Nowosilcowem dwuznaczną piosnkę Béranger'a („Le sénateur“ napisaną w r. 1813), którą przywłaszcza sobie z taką samą bezczelnością z jaką kradnie pieniądze składane na jego ręce dla senatora. A jednak ten rozpustnik, w gruncie rzeczy obskurant i nieuk, choć „członek honorowy“ uniwersytetu wileńskiego, pogardliwie traktujący ludzi niższego od siebie „czynu“, przyjmowany był i mile widziany w najpierwszych domach litewskiej stolicy. To „obrzydłe trupisko, blade, tłuste“ chce się żenić. Upatrzył sobie w Wilnie „panienkę białą i czerwoną“, podkomorzanek kowieńską, Zofię Chłopicką.

Fi! pan młody, avec un teint si délabré!
Powinienbyś brać ślub twój, jak Tyber à Capré.
Nie pojmuję, jak oni mogli pannę zmusić,
Piękniemi usteczkami słowo *tak* wykrztusić.

Dziwi się senator. Cyniczna odpowiedź Bajkova wyjaśnia zagadkę: „C'est beau małej szlachciance być generałową.“ W tych

słowach streszcza się cała istota nienaturalnego stosunku już nie tylko polskiej dziewczicy do „generała,” lecz wogóle pewnego odłamu ówczesnego społeczeństwa polskiego na Litwie do przybyszów-Rosyan. Nieraz przekraczano granice, zakreślone przez obowiązek patriotyczny, w pogoni za „błyszczącym i pięknym mundurem” generalskim, choćby pod nim bić miało złe i wraże serce; nie wahano się podawać przyjaznej ręki katom młodzieży, zapominając w szumie zabawy, że ten przymilający się w tanecznym gronie sympatyczny pan senator „wczora mordował i katował.”

Zepsucie zachodu, zgnilizna moralna, sycona przez Nowosilcowów, Bajkowów *e tutti quanti*, weszły do najuczciwszych nieraz domów, podkopywały szczęście rodzinne i zwołna poczęły ogarniać nawet te sfery, które na mocy narodowej tradycji lub też swego stanowiska w społeczeństwie powołane były do objęcia moralnego przewodnictwa w kraju. Anarchizm w stosunkach i pojęciach etycznych szerzył się coraz groźniej, i był jedną z ważniejszych przyczyn powstania zdrowej reakcyi, ujawnionej w szeregach szlachetnej i czystej młodzi filareckiej.

Pamiętnikarze, opisujący epokę przed powstaniem 1831 r. na Litwie, malują smutny i przygnębiający obraz zepsucia; Mickiewicz zlekka tylko naszkicował te stosunki. Nie należały wówczas do rzadkości bale, na których wśród pijanej tłuszczy wszelkiego gatunku sowietników i registratorów, gubernatorów i ich kochanek, obracali się przedstawiciele najlepszych rodów polskich ¹⁾. Nie dziw, że młode pokolenia, w takiej wzrastające atmosferze, nieraz zbaczały z drogi obowiązku, że Walentynowiczówna wychodziła za Zubowa, córka Jędrzeja Śniadeckiego, Ludwika, szalała za synem wileńskiego wielkorządcy, Korsakowem, Zofia Chłopiczka nie wstydziła się uchodzić za narzeczoną Bajkowa i zapewne poszłaby z nim do ołtarza, gdyby nie nagła śmierć, co raziła „generała” w marcu 1829 r. przed samą Ostrą Bramą.

I nie dziw również, iż o tym czasie dziecięcych kaźni, moralnych udręczeń, tortur i knutowań, w niektórych bardziej zapalnych głowach gorzeć poczęło rozpaczliwe hasło odwetu i słabe pięści zaciskały się w bezsilnem pragnieniu zemsty...

¹⁾ Jaskrawy obraz tych stosunków kreśli w swych pamiętnikach dr. Stanisław Morawski. Por. nadto: A. „Bajkow. Z kartek pamiętnika rękopiśmiennego;” Karol Kaczkowski: Wspomnienia, t. I-y; Listy Salomei Słowackiej-Becu do A. E. Odyńca (wydał Leopold Méyet w „Przew. nauk. i lit.” z 1898 r., zwłaszcza strony 1159, 1162, 1235 etc.); Lelewel: „Nowosilcow w Wilnie;” Sobarri: Obrazki litewskie.

X.

Wyrok z dn. 26 sierpnia 1824 r. skazujący 20 osób z uniwersytetu wileńskiego i gimnazjum świstockiego na rozliczne kary więzienia i zesłania, zamyka pierwszy okres czynności Nowosilcowa, mających na celu reorganizację szkolnictwa w duchu bezwzględnej polityki rusyfikacyjnej. Odtąd szkoła, w myśl senatorskich wskazań, miała za zadanie „wyplenić w umysłach przywiązanie do nierozumnej narodowości polskiej i miłość do zgasłej niepowrotnie ojczyzny.”

Na innem miejscu postaramy się przedstawić tę niszczycielską działalność kierowników oświaty na Litwie przed powstaniem listopadowem. Opowiedziane przez nas wypadki starczą za tło historyczne trzeciej części *Dziadów*. Nie odzwierciedlają one całości, nadewszystko w sferze subiektywnych poglądów i proroczych natchnień wieszca. Lecz nie chodziło nam o tę, bardziej już literacką stronę poematu. Pragnęliśmy jedynie, przy pomocy ściśle historycznej analizy opisanych tamże wydarzeń, uwydatnić niezwykłą wprost dokładność Mickiewicza, który w rzeczy samej „sceny historyczne i charaktery osób działających skreślił sumiennie, nie nie dodając i nigdzie nie przesadzając.”

Trzecia część *Dziadów* jest dla nas dzisiaj i po wszystkie będzie czasy wiarą a niezapomnianą księgą narodowej martyrologii, bolesną skargą z kochającego i cierpiącego wydartą serca, wreszcie wielką natchnioną pieśnią, streszczającą w sobie wszystkie łzy, bole i pragnienia—„narodowej sprawy męczenników.”

W tem jej doniosłość, moc i niepożytość.

HENRYK MOŚCICKI.

Karty jako pra-rasa.

Jednym z zagadnień, żywo interesujących antropologów doby obecnej, jest kwestya stanowiska ludów karlich, czyli pigmejów, wewnątrz rodu ludzkiego. Na polu tem ścierają się poglądy dwóch wybitnych uczonych niemieckich, prof. I. Kollmann'a z Bazylei i prof. G. Schwalbego ze Strasburga, z których każdy opiera swoje twierdzenia na poważnych dowodach i każdy liczy spory zastęp zwolenników swej teoryi.

Zanim jednak przystąpię do rozpatrzenia obu rzeczonych poglądów, muszę wprzód poświęcić słów kilka na wyraźne zaznaczenie różnicy, jaka istnieje pomiędzy „kartami ułomnymi, patologicznymi“ i „ludami karlemi,“ czyli „pigmejami,“ gdyż oba te pojęcia bywają częstokroć utożsamiane.

Karty patologiczne są zjawiskiem sporadycznym, zjawiają się bowiem wśród rodzin, złożonych z osobników normalnie wyrosniętych i ukształtowanych. Niekiedy osobniki takie nie są nawet ułomne, tylko budowa ich ciała jest nieproporcjonalna, wskutek stosunkowo zbyt wielkiej głowy, lub nóg niezmiernie krótkich. Częstokroć jednak karty takie są kalekami o członkach dziwnie nie pokrzywionych i garbie na plecach lub piersiach. Istoty te powstają niewątpliwie z przyczyn chorobowych, bardzo często pod wpływem rachityzmu i nie mają nic wspólnego z tak zwanymi „ludami karlemi,“ t. j. szczepami ludzi małego wzrostu, lecz zupełnie normalnej budowy ciała, które żyją dziko w rozmaitych okolicach globu ziemskiego. Szczepy te oznaczane bywają również nazwą „pigmejów,“—mianem klasycznym, które im zostało nadane jeszcze przez autorów starożytnych. Jedynie wzrost mały stanowi cechę wspólną karłów patologicznych i pigmejów, chociaż w pierwszych jest on wynikiem stanu chorobowego, w drugich

zaś — właściwością normalną, rasową. Różnica ta jednak między karłami patologicznymi i pigmejami, dopiero od niedawna została gruntownie wykazana, tak, że czasami trudno bywa zorientować się, o jakiej kategorii karłów mówi dany autor.

Pierwsze wieści o istnieniu ludów karlich znajdujemy u pisarzy starożytnych; Homer mianowicie wspomina o istnieniu drobnego ludu pigmejów w Afryce północnej, a Ktezyasz, lekarz nadworny Artakserksesa, na 400 lat przed Chrystusem, opowiada, że w Indyach żyje lud mały, brzydki, chodzący nago i doskonale władający łukiem. Również Hezyod, Herodot i Arystoteles mówią o istnieniu pigmejów w Afryce, a Pliniusz wymienia ich także w Indyach. W wiekach średnich podróżnicy przynoszą wieści o ludach karlich, zamieszkujących na Ceylonie; w 16-em stuleciu marynarze portugalscy przywożą wiadomości o szczepach małego wzrostu z wybrzeży Loango; w 17-ym napotkano lud karli „Dongo” w Afryce, pod równikiem, wreszcie w 18-tym stwierdzono istnienie na Madagaskarze ludu małego wzrostu, o skórze jaśniejszej, niż skóra Negrów i włosach kędzierzawych. Dopiero jednak od połowy 19-go wieku wiadomości nasze o pigmejach nabierają charakteru zupełnie pewnego i naukowego. Szczególniej na terytorium środkowo- i południowo-afrykańskim znaleziono znaczną liczbę plemion, wyróżniających się wzrostem wybitnie małym. Schweinfurth, Felkin, Emin-Pasza, Stanley, Stuhlmann, Wolff i Wissmann poznali i opisali liczne szczepy karle, zamieszkujące obszar leśny Środkowej Afryki; Gustaw Fritsch zbadał dokładnie Buszmanów, zajmujących ongi wraz z Hotentotami całą część południową Afryki, obecnie jednak chroniących się w ilości niewielkiej przed naporem Negrów Bantu i Europejczyków w pustyni Kalahari, na północo-zachód od jeziora Ngami i w niektórych miejscowościach graniczących z Kaplandyą. Znamiona fizyczne Buszmanów świadczą wymownie, iż stanowią oni jedną z pierwotniejszych ras ludzkich. Według przypuszczenia niektórych badaczy, są oni szczątkami najdawniejszej ludności afrykańskiej, która pod naporem rasy czarnej, przybywającej z północo-wschodu, ustępowała coraz bardziej ku południowi lądu. Doskonały znawca Buszmanów, G. Fritsch, opisuje ich, jako ludzi o barwie skóry żółtawo-brunatnej, o włosach czarnych węzłkowato poskręcanych, o nosie płaskim, szerokim i ustach szerokich, o wargach mięsistych, kościach licowych silnie wydatnych; steatopygia jest im powszechnie właściwą, a szczególnie u kobiet występuje w bardzo silnym stopniu. Wzrost Buszmanów, według Fritsch'a, waha się od 140—150 cm. wynosząc średnio 144,4 cm. Według Stratz'a

długość kończyn dolnych jest proporcjonalna, natomiast kończyny górne są nieco zadługie. Głowa stosunkowo do ciała jest również nieco zawięta. Wogóle jednak Buszmani robią wrażenie ludzi zręcznych i zwinnych, chód mają pewny, a ruchy swobodne.

Obok małego wzrostu, w mężczyznach uderza nadzwyczajna chudość, występująca już nawet u dzieci. Skóra ich pozbawiona jest do tego stopnia podkładu tłuszczowego, iż robi wrażenie pergaminu, pod którym wyraźnie znać kości i który fałduje się w mnóstwo drobnych zmarszczek w tych miejscach, gdzie skóra ulega chwilowemu rozciąganiu. Mięśnie nie są grube, lecz nadzwyczaj sprężyste. Wogóle Buszmani są znani jako znakomici biegacze i niestrudzeni myśliwi, wytrzymali na głód, pragnienie i niewygody. Miłość wolności, odwaga, spryt w zakresie zdobywania sobie środków do życia, chytrość i mściwość — oto cechy ich charakteru. Życie ich — to ciągła wędrówka w ślad za zwierzyną.

Zdaniem niektórych badaczy, np. Stratza, przejście od jasnoskórej rasy afrykańskiej, jaką są Buszmani, do rasy czarnoskórej stanowią ludy karle, zamieszkujące obszary leśne Afryki środkowej. Podstawą do takiego poglądu jest okoliczność, iż pigmeje środkowo-afrykańscy posiadają niektóre znamiona fizyczne, wspólne z Buszmanami, inne zaś wspólne z rasami czarnoskóremi. Do pierwszej kategorii zaliczyć należy, obok znamion mniej wybitnych, wzrost mały i steatopygję, do drugiej — ciemne ubarwienie skóry i silny rozwój szczęk. Przytem u niektórych typów pigmejskich widoczna jest wybitna przewaga znamion tej lub owej rasy. Wskutek tego Stratz przypuszcza możliwość dwóch dróg rozwojowych: bądź pigmeje środkowo-afrykańscy stanowią przejście rozwojowe od Buszmanów do rasy czarnoskórej, — co jednak sam uważa za mało prawdopodobne, — bądź też rzeżeni pigmeje są rezultatem zmieszania pierwotnych mieszkańców Afryki z czarnymi przybyszami z północo-wschodu. Nietylko znamiona fizyczne, lecz znamiona charakteru i sposób życia wykazują łączność pomiędzy Buszmanami i ludami karlemi lasów równikowych. Pigmeje, podobnie jak Buszmani, pędzą żywot koczowniczy i trudnią się łowiectwem, używając wśród plemion, między którymi żyją, opinii ludzi sprytnych, żywych, odważnych i mściwych. Między nimi, a plemionami rolniczymi, w których sąsiedztwie przebywają, ułożyły się ciekawe stosunki współżycia: pigmejowie, mianowicie, dostarczają im upolowanej przez się zwierzyny, miodu, owoców leśnych, kości słoniowej, a otrzymują wzamian płody ziemne uprawne, tytoń i narzędzia żelazne. Nadto pełnią oni częstokroć funkcję straży pogranicznej i szpiegów tych plemion, z którymi

sąsiadują, donosząc im o przybliżeniu i ruchach nieprzyjaciela. Pomimo to plemiona rolnicze nie lubią bynajmniej ich sąsiedztwa i starają się ich odpędzić jaknajdalej, a to z powodu ciągłych kradzieży i z obawy przed ich zatrutemi strzałami. Co się tyczy wzrostu tych szczepów, to według Emina-Paszy waha się on pomiędzy 130 i 140 cm.; natomiast Wissmann zmierzył 40-tu mężczyzn z plemienia Batua i otrzymał jako średnią ich wzrostu 140 cm., a Wolff dla 98-iu osobników z tegoż plemienia znalazł średnią wzrostu, wynoszącą 142 cm. W każdym-bądź razie wzrost pigmejów środkowo-afrykańskich nie przewyższa 150 cm. t. j. wymiaru, jaki Emil Schmidt poczytuje za granicę wzrostu karlego.

Istnienie ludów karlich nie ogranicza się wyłącznie tylko do kontynentu Afryki; występują one również i w innych okolicach; do pigmejów zaliczani są: Aëtowie z wysp Filipińskich, Andamani, Semangowie z półwyspu Malajskiego, a przez niektórych badaczy — i Lapończycy. Nadto niektórzy uczeni włączają tu również Weddów, Toalów z Celebesu i Senoiów z półwyspu Malajskiego. Schwalbe jednak, Schmidt i Martin uważają, iż plemiona te przekraczają właściwą granicę wzrostu karlego, t. j. 150 cm., jako średnią wzrostu mężczyzn.

Przejdźmy teraz do rozpatrzenia teoryj, dotyczących genetycznego stanowiska pigmejów względem ras wzrostu wysokiego. Mamy dwa przeciwne poglądy na tę sprawę.

Według teoryi Kollmann'a pigmeje są pra-rasą rodu ludzkiego, kształtem, który dał początek rasom dużym. Twierdzenie swoje Kollmann opiera na danych następujących:

Cały rozwój świata zwierzęcego i roślinnego świadczy, że kształty większe powstawały z biegiem czasu z kształtów małych; badania w zakresie botaniki, zoologii, anatomii porównawczej i paleontologii dostarczają licznych dowodów w tym względzie. Olbrzymie gady, olbrzymie płazy, wielkie drapieżce, wielkie przeżuwające i jednokopytowe nie powstały bezpośrednio, jako kształty duże, lecz rozwinęły się stopniowo z małych kształtów. Podobnie i rasy ludzkie dużego wzrostu wytworzyły się w biegu rozwojowym z ras małych, karlich. Tak więc pigmeje, zdaniem Kollmann'a, są protoplastami ras wysokich i ich poprzednikami na globie ziemskim.

Starożytności ludów karlich dowodzą liczne znaleziska, sięgające neolitu, a nawet epoki rena (Baoussé-Roussé pod Mentoną), a więc okresu dyluwialnego. Mianowicie, w grobowcach przedhistorycznych, obok kości ludzi dużych bywają częstokroć znajduwane i szczątki pigmejów. Kollmann przytacza cały szereg

podobnych znalezisk, pochodzących z kontynentu Europy, mianowicie ze Szwajcaryi, Francyi, Niemiec. Również przedhistoryczne cmentarzysko znalezione koło Abydos w Górnym Egipcie,—podobne starożytne cmentarzyska w Peru, oraz znaleziska z dorzecza La-Platy wykazują, zdaniem Kollmann'a, iż na tych łądach, podobnie jak w Europie, ludy karle żyły pospół z rasami dużemi w czasach bardzo odległych. Kollmann nie wątpi, że z czasem nowe znaleziska dostarczą nowych dowodów rozpowszechnienia pigmejów i ich głębokiej starożytności.

Co się tyczy *ras karlich doby obecnej*, to, według Kollmann'a, szczątki pra-rasy karlej przetrwały po dziś dzień jeszcze we wszystkich częściach świata. Już znaleziska śląskie z okolic Wrocławia dowiodły istnienia pigmejów w Europie, w czasach znacznie późniejszych niż neolit, wykopaliska te bowiem odnoszą się do okresu brązowego rzymskiego i słowiańskiego. Nadto badania Sergi'ego i Mantii, prowadzone w czasach ostatnich, świadczą, zdaniem Kollmann'a, iż obecnie jeszcze żyje rasa pigmejów w prowincyi Girgenti na Sycylii. Na kontynencie Afryki ludy karle mają dziś przedstawicieli w osobie Buszmanów i licznych szczepów, zamieszkujących podzwrotnikowy obszar leśny. W Azji do pigmejów zalicza Kollmann Weddów, oraz wiele plemion archipelagu i półwyspu Malajskiego, jako to: Toalów z Celebesu, Tenggerezów z Jawy, Utu-ajarów z Borneo, szczep Alów z Sumatry, Andamanów, Senoi'ów i Semangów z półwyspu Malakki, Aëtów z wysp Filipińskich. Również i w Ameryce, zdaniem Kollmann'a, istnienie pigmejów w czasach obecnych zostało stwierdzone w niektórych miejscowościach. Na podstawie badań d'Orbigny nad wzrostem dzisiejszych Peruwiańczyków, Kollmann przypuszcza, że pigmejowie dziś jeszcze wchodzi w skład ludności peruwiańskiej. Podobnie, na zasadzie obserwacji Ehrenreicha i Porte'a, przyjmuje on współczesne istnienie pigmejów wśród Botokudów,—wreszcie uznaje ich występowanie w Kalifornii i na wyspie Santa-Cruz.

Jednym z dowodów popierających uznanie ludów karlich za szczątki pra-rasy ludzkiej jest, zdaniem Kollmann'a, *pierwotność znamion fizycznych*, będąca ich udziałem. W tym względzie przytacza on ustęp z opisu Harry Johnstona, odnoszący się do pigmejów, zamieszkujących lasy dziewicze nad Kongo: „niektórzy z tych mało-podobnych ludzi mają ubarwienie ciała żółto-brunatne.“ . . . „całe niemal ciało pokrywa delikatny żółtawy włos, który, choć widoczny tylko z niewielkiej odległości, wystarcza jednak dla nadania ciału jeszcze wyraźniejszej żółtawej barwy. Oczy są

osadzone głęboko, a łuki brwiowe silnie wydatne. Prognatyzm jest wybitny, bródka natomiast słabo rozwinięta i cofnięta . . .“

Nie znaczy to bynajmniej, by Kollman, uznając prymitywność ludów karlich, uważał je zarazem za *ludy zwyrodniałe*. Przeciwnie, odgranicza on wyraźnie dwa te pojęcia i występuje energicznie przeciw uważaniu pigmejów za zwyrodniałych potomków ras wzrostu wysokiego, a ich mały wzrost — za wynik ciężkich warunków bytu i braku pożywienia. Hypoteza degeneracyi w zastosowaniu do ras pigmejskich jest, zdaniem jego, stanowczo zbyt powierzchowna i powstanie jej przypisać należy chyba tylko utożsamianiu pojęcia „ras karlich“ i „karłów ułomnych.“ Zupełnie inne jest zdanie w tej sprawie tych uczonych, którzy osobiście badali pigmejów; bracia Sarazin i dr. Rütimeyer w stosunku do Weddów odrzucają bezwzględnie teorię zwyrodnienia; Lloyd i Johnston opisują środkowo-afrykańskich pigmejów, jako szczepy o budowie silnej i umięsieniu dobrze rozwiniętym i nie wspominają nic o degeneracyi. Tak samo Wissmann, François, Schweinfurth, Felkin, Emin-Pasza, Stuhlmann i inni nie uważają bynajmniej szczepów karlich za szczepy zwyrodniałe. Wreszcie żaden z widzianych przez Kollmann'a szkieletów pigmejskich, pochodzących ze Szwajcaryi, Afryki, wysp Andamańskich, i żadna z czaszek, pochodzących z Afryki, Indyi i Ameryki nie wykazują jakichkolwiek śladów zwyrodnienia.

Po umotywowaniu w sposób powyższy stanowiska pigmejów, jako pra-rasy ludzkiej, Kollmann rozwija swą *teorię domniemanego rozwoju rodu ludzkiego z pra-hordy pigmejów*. Podobnie jak Hagen uważa szczepy karle, zamieszkujące archipelag Malajski za szczątki pra-rasy malajskiej, tak samo Kollmann poczytuje pigmejów Europy, Azji, Afryki i Ameryki za szczątki rasy pierwotnej, zamieszkującej te części łądu, a z której z biegiem czasu powstały rasy wzrostu wysokiego. Cała ta pra-ludność karla wytworzyć się musiała przypuszczalnie z jakiejś gromady antropoidów, być może w pasie zwrotnikowym Afryki lub Indyi. Wyobraźmy sobie, — mówi Kollmann, — olbrzymią gromadę antropoidów, zamieszkującą w okresie trzeciorzędowym las dziewiczy zwrotnikowy; są to jeszcze istoty czwororękie, wzrostu nie przewyższającego jednego metra, i nie władające mową. Opowiedzieć szczegółowo, drogą jakich przemian i przez jakie poszczególne stadya rozwoju dokonywał się rozwój od stanu tych antropoidów do stanu człowieczeństwa, — jest rzeczą absolutnie niemożliwą; poprzestać musimy na ogólnem powiedzeniu, iż odbywało się tu stopniowe doskonalenie znamion ludzkich, a więc chodu wyprostowanego,

rozwoju mózgu, pojemności czaszki i mowy członkowanej, i że osobniki kroczące tą drogą rozwoju stawały się coraz bardziej człekopodobnymi. Wreszcie ostatecznym rezultatem tych przemian było wytworzenie się pra-rasy karlej, czyli pigmejów, nieznacznie już tylko różniących się od swych późniejszych potomków wzrostu wysokiego. Pierwotnie niezróżnicowani pomiędzy sobą pigmeje z biegiem czasu ulegli rozproszeniu po rozmaitych okolicach ziemi i zróżnicowaniu na trzy podgatunki, różniące się wzajemnie barwą skóry, rodzajem włosów i kształtem czaszki. Przyjmując włosy za cechę charakterystyczną, możemy nazwać owe trzy podgatunki: wełnistowłosemi, falistowłosemi i prostowłosemi. Zachowały się one i do dnia dzisiejszego: do wełnistowłosych należą mianowicie Negrycy i rasy karle Afryki, do falistowłosych—Weddowie, oraz pigmeje archipelagu Malajskiego, do prostowłosych—rasy karle Ameryki. W dalszym rozwoju rodu ludzkiego zjawia się jeszcze większa różnorodność kształtów, gdyż z trzech podgatunków pigmejów wytwarzają się także trzy podgatunki ludzi wysokich, więc wełnistowłosi, falistowłosi i prostowłosi. Proces ów mógł się odbyć w ten sposób, iż część osobników małego wzrostu wydała z siebie drogą mutacyi, a więc przez ciąg istnienia kilku pokoleń,—grupę osobników, obdarzonych nietylko wzrostem wysokim, lecz nadto i większą pojemnością czaszki, co czyniło z nich istoty znacznie już lepiej uzbrojone do trudnej i ciągłej walki o byt; natomiast reszta pigmejów zachowała i nadal swój pierwotny wzrost mały.

Nie zatrzymuję się tu dłużej nad dalszym rozwojem rodu ludzkiego, według teoryi Kollmann'a, mianowicie nad różnicowaniem się ras i odmian,—chodziło mi tu bowiem li-tylko o odtworzenie jego poglądu, co do stanowiska pigmejów, jako pra-rasy ludzkiej. Kollmann uznaje w zupełności, iż teorya jego w szczegółach może być błędna i rozumie, że potrzeba jeszcze wielu badań dla wyświecenia historii powstania człowieka, o ile kwestya ta wogóle zostanie kiedykolwiek rozwiązana. Jednocześnie jednak wierzy on w słuszność swego poglądu, co do istnienia szeregu rozwojowego od pewnej grupy małych antropoidów—do pigmejów, i od nich do ras wzrostu wysokiego.

Lecz *jakież stanowisko* w tym łańcuchu genetycznym przyznaje Kollman *rasie Neandertalskiej*, tej najstarszej ze znanych dotąd ras ludzkich, której szczątki znajdowane są w starszych pokładach dyluwialnych? Jak pogodzić niskość sklepienia czaszki, będącą właściwością tej rasy, z wysokosklepioną budową wszystkich czaszek pigmejskich? Otóż Kollmann uważa, że rasa neandertalska

nie jest bynajmniej pra-rasą ludzką, lecz rasą, znacznie późniejszą niż rasy karle, — gałęzią boczną, która oddzieliła się dopiero od ras wysokich i rozwinęła się w specjalnym, sobie właściwym kierunku. Podobnie, jak dziś—mówi Kollmann—wśród ludzi spotkać można pojedyncze głowy typu neandertalskiego, które zjawiają się, jako bezpośredni potomkowie osobników o wysoko-sklepionych czaszkach—tak samo, a nawet tem bardziej, podobne indywidualne odmiany budowy mogły występować w dyluwium. I właśnie tą drogą powstać mogła gałąź odmienna od ras wysokogłowych, — rasa o niskiem sklepieniu czaszki i wydatnych łukach brwiowych. Zdaniem Kollmann'a ontogeneza¹⁾ małp człekokształtnych i człowieka potwierdza w zupełności pogląd taki, wskazuje ona bowiem, że pierwotny kształt czaszki ludzkiej był wysoko-sklepiony, nie zaś płaski. Dowodem tego jest fakt, że starsze płody małp człekokształtnych i młodzieńskie antropoidy posiadają budowę czaszki wysoko-sklepioną, niezmiernie podobną do budowy czaszki ludzkiej. Niema tu jeszcze owych grzebieni kostnych, będących właściwością czaszek małp człekokształtnych; jama mózgowa jest przestronna, a czoło i potylicza wznoszą się znacznie ku górze. Dopiero z wiekiem znamiona te ludzkie zacierają się i znikają pod wpływem szybko postępującego rozwoju w kierunku zupełnie innym, niż ludzki. Aparat żucia, mianowicie, zyskuje potężny rozwój i wywiera dominujący wpływ na budowę całej czaszki. Szerokie i mocne szczęki wymagają silnych i wielkich mięśni, które ze swej strony powodują wytwarzanie się potężnych punktów przyczepu, w postaci wydatnych grzebieni kostnych, na bokach i wierzchu czaszki. Pod wpływem tych czynników pierwotna, wysoko-sklepiona budowa głowy antropoidów ulega znacznemu obniżeniu i spłaszczeniu, różniąc się już teraz w stopniu bardzo silnym od kształtu czaszki ludzkiej. Jeśli tedy antropoidy w swym rozwoju osobniczym posiadają wysoko-sklepioną czaszkę, słuszną jest, zdaniem Kollmann'a, przypuszczać, że kształt taki był od razu właściwością rodzaju ludzkiego, jako powstałego z antropoidów. Istoty bowiem, których rozwój miał posuwać się w kierunku ludzkim, nie tylko musiały rodzić się z pomyślnym kształtem głowy i znaczną ilością mózgu, lecz musiały nadto zatrzymywać i rozwijać nadal owe dodatnie znamiona. Stąd też jedynie możliwe jest twierdzenie, że pra-rasa ludzka posiadała kształt głowy wysoki, podobny temu, jaki spotykamy dzisiaj u pigmejów i ras dużych. Natomiast

¹⁾ Ontogeneza=rozwój osobniczy, filogeneza=rozwój rodowy.

rasa neandertalska, o czasze płaskiej i wydatnych łukach brwiowych, oddzieliła się znacznie później od ras wysokich, jako ich boczna gałąź.

Tak się przedstawia w streszczeniu teorya Kollmann'a co do stanowiska ras karlich wśród rodu ludzkiego. Teorya ta wogóle jest zbyt sztuczna, by mogła być uważana za prawdopodobną; przytem niektóre dane, na których się opiera Kollmann, są — jak tego dowodzi Schwalbe, — zupełnie błędne, niektóre zaś jego poglądy, wręcz przeciwne dowodom faktycznym, istniejącym w tym zakresie. W bardzo ciekawej pracy: „Zur Frage der Abstammung des Menschen“ Schwalbe zbija kolejno dowody Kollmann'a w kwestyi wyprowadzania rodzaju ludzkiego od pigmejów, a zarazem wypowiada swoją teoryę, popierając ją poważnemi i rzeczowemi dowodami. Przyjrzyjmy się tym argumentom Schwalbego.

Jak wiadomo, główną podstawą, na której Kollmann opiera swą teoryę, jest twierdzenie, że w szeregu rozwojowym najróżnorodniejszych grup kręgowców kształty większe zawsze powstawały z mniejszych, nie zaś odwrotnie. Otóż Schwalbe uznaje wprawdzie, iż zdanie to jest słuszne w zakresie ogólnego przebiegu rozwoju niektórych rodzin zwierzęcych, np. wielbłądowatych, a po części i koniowatych, lecz przeczy uogólnianiu takiego poglądu, oraz stosowaniu go do *powstawania ras wewnątrz gatunków*¹⁾. Wprawdzie szereg rozwojowy rodziny koniowatych, zaczynający się w dolnym Eocenie małemi kształtami, przechodzi do coraz większych, kończąc się wreszcie rodzajem Equus,—lecz chcąc stosować do *filogenezy ras ludzkich wyniki obserwacji nad filogenezą konia*, nie możemy porównywać *gatunku „człowiek“ z rodziną koniowatych*, lecz tylko również z *gatunkiem equus caballus*, lub z *gatunkiem equus asinus!* Otóż, rozpatrując gatunek equus caballus, przekonywamy się, iż, podobnie jak w gatunku homo, obok ras wzrostu dużego istnieją tu i rasy małe, będące prosto odmianami konia współczesnego, nie zaś przodkami rozwojowemi ras dużych. Szczególniej wspom. właściwe są karle rasy koni; np. bardzo małe są konie na Irlandyi i Islandyi, jeszcze mniejsze na wyspie Man, Hebrydach i wyspach Szkockich, oraz w Sardynii i na Korsyce, gdzie, według Maltzahn'a, są one wzrostu dużych psów, a według Cetti'ego mierzą 3 stopy wysokości. Podobnie i w ga-

¹⁾ Rodzina — equidae, rodzaj — equus, gatunek — equus caballus, equus asinus, rasy rozmaite wśród koni, osłów i t. p.

tunku equus asinus istnieją rasy małego wzrostu; według obu wyżej wymienionych autorów wzrost osłów sardyńskich wynosi zwykle 2 stopy i kilka cali. Nietylko jednak w gatunku „koń“ i „osieł“ spotykamy występowanie ras karlich; inne zwierzęta, zarówno domowe, jak żyjące na swobodzie, dostarczają licznych przykładów w tym względzie. Nadto dla wielu z tych gatunków dowiedzionem zostało, iż punktem wyjścia dla ras, wzrostu dużego i małego, była rasa bynajmniej nie karła, lecz większa, niż powstałe z niej następnie rasy drobnych rozmiarów. W zakresie tym przytacza Schwalbe cały szereg przykładów i wskazuje na rasy karle kury domowej, kozy, na rasę małego tygrysa i małego nosorożca jawańskiego, których nikt jednak nie poczytuje za prarasę wielkiego tygrysa bengalskiego i nosorożca, żyjącego na kontynencie. Ciekawym przykładem w tym względzie jest mały kopalny słoń maltejski, (*Elephas melitensis*), dosięgający niekiedy zaledwie 3-eh stóp wysokości łopatki, a który według badań Pohlig'a i Adams'a stanowi karłą odmianę *Elephas antiquus*. Na Sycylii, Sardynii i na Cyprze zostały również odnalezione szczątki tej karlej rasy słoń. Wreszcie Nehring znalazł odmiany karle u dzika i u bos *primigenius*, Schäff — u niedźwiedzia brunatnego, Hensel — w rodzinie kun, u łaski i gronostaja, wreszcie Gerrit, Abbott i Miller znaleźli na jednej z wysp archipelagu Sundzkiego karłą rasę siamanga (*gibbon*), dosięgającą zaledwie połowy wzrostu, właściwego temu rodzajowi małp człekokształtnych. Podobne przykłady, zdaniem Schwalbego, przeczą teorii Kollmann'a, a przemawiają natomiast za jego poglądem, że, podobnie jak małe rasy zwierząt są lokalnymi odmianami ras dużych, tak samo pigmejowie są odmianą lokalną *homo sapiens*, powstałą pod wpływem środowiska.

Przytem Schwalbe podziela w zupełności pogląd E. Schmidt'a, iż w przypadkach, gdzie Kollmann podaje jednoczesne znalezienie w grobowcach szczątków pigmejów obok szczątków osobników wysokich, nie mamy bynajmniej do czynienia z *dwierma rasami różnemi*, rasą dużą i karłą, lecz tylko z *odmianami wzrostu jednej i tej samej rasy*. Schmidt zarzuca przedewszystkiem Kollmannowi, iż, określając szczątki małych wymiarów, jako szczątki pigmejskie, nie uwzględnia on bynajmniej wahań wzrostu wewnątrz rasy, czyli indywidualnych odmian wzrostu, i wyciąga wnioski na podstawie prostego zestawienia wzrostu *pojedynczych okazów* — ze *średnią wzrostu*, przyjętą przezeń jako granicę wzrostu karlego. A przecież na „średnią“ wzrostu składa się cały szereg pojedynczych

wymiarów, leżących pomiędzy pewnem maximum i pewnem minimum i sięgających zazwyczaj znacznie powyżej i poniżej liczby średniej. Naprzykład według bardzo ściślej statystyki wzrostu mężczyzn popisowych księstwa Badeńskiego, dokonanej przez Ammon'a, wynika, iż średnia wzrostu wynosi tu 165 cm.—maximum 190 cm., a minimum poniżej 130 cm. Przytem 11,70% popisowych wykazuje wzrost nie przekraczający 157 cm., czyli — według braci Sarazin,—średniej wzrostu Weddów, których Kollmann zalicza jeszcze do ras pigmejskich. W takim razie, stosując metodę Kollmann'a, należałoby twierdzić, iż 11,70% popisowych Badeńskich należy do pigmejów! Weźmy inny przykład: Rahon dokonał badań nad materyałem przedhistorycznych szkieletów ludzkich, męskich Francyi, w ilości 429-iu egzemplarzy i na podstawie pomiarów określił jako średnią wzrostu ludności męskiej z neolitu Francyi—162,5 cm. t. j. wzrost niemal średni, bynajmniej jednak nie karli. A w takim razie zupełnie prostą jest rzeczą, iż szczątki tych mężczyzn, których wzrost zbliża się do dolnej granicy wahań danej grupy, należy pojmować jako szczątki *szczególne małych indywiduów*, należących do rasy wzrostu *niemal średniego*. Przytem zupełnie słuszną czyni Schmidt uwagę, iż wnioski co do średniej wzrostu rasy, lub plemienia, opieramy zwykle na pomiarach, dokonywanych *wyłącznie prawie, lub przeważnie na mężczyznach*. — w grobach natomiast znajdujemy zarówno mężczyzn, jak kobiety, których wzrost jest wogóle mniejszy, niż męski, — tembardziej więc szkielety kobiece ras niewielkiego wzrostu mogą częstokroć wykazywać bardzo małe wymiary. Wreszcie Schmidt podkreśla i tę okoliczność, że *rekonstrukcja wzrostu* osobników na podstawie znalezionych szczątków *rzadko kiedy* może być ściśle *dokładna*, przeważnie bowiem dokonywa się pośrednio, t. j. w stosunku do rozmiarów znalezionych *szczątków kostnych*. A przecie stosunek wielkości poszczególnych kości szkieletu nie jest stały i ulega znacznym wahaniom. Stąd też w obliczeniach długości ciała, opartych na wymiarach którejkolwiek z kości długich szkieletu, zawsze przypuszczać należy możliwość błędu, w porównaniu z rzeczywistym wzrostem danego osobnika. Najlepiej dowodzi tego porównanie wymiarów ciała osobników żyjących z rezultatem, otrzymanym po rekonstrukcyi wzrostu według wymiarów poszczególnych kości długich. Otrzymane tą drogą wahania wynoszą niekiedy parę, kilka, — a nawet powyżej 10-iu cm. Rozumie się, iż przy obliczaniu tą drogą wymiaru wzrostu przedstawicieli ras kolorowych błędy mogą być jeszcze znaczniejsze, a to z powodu

odmiennych proporcjach części szkieletu. Zgadając się w zupełności z krytyką Schmidt'a, Schwalbe, wraz z nim, poczytuje domniemane szczątki pigmejów przedhistorycznych Europy poprostu za *indywidualne odmiany wewnątrz rasy*, za szczątki ludzi wprawdzie małego wzrostu, lecz należących do tej samej rasy, co ludzie wzrostu wyższego, odnalezieni pospołu z nimi. W podobny sposób zapatruje się również Schwalbe na domniemanych pigmejów przedhistorycznych z grobowców egipskich, peruwiańskich i innych.

Co się tyczy *istnienia ras karlich w czasach obecnych*, to egzystencję ras takich uznaje Schwalbe w zupełności, zaliczając jednak do pigmejów te tylko rasy, które, stosownie do skali E. Schmidt'a, wykazują średnią wzrostu mężczyzny poniżej 150 cm. Należą tu więc wyłącznie rasy krętowłose: środkowo-afrykańscy karli, Buszmani, Aetowie, Andamani i Semangowie, a być może że i prostowłosi Lapończycy; natomiast poczytywani przez Kollmann'a za pigmejów falistowłosi Weddowie, Senoi'owie z półwyspu Malajskiego i Toalowie z Celebesu, — według pomiarów braci Sarazin i Martin'a — przekraczają już granicę wzrostu karlego. Takie jednak *odgraniczenie pigmejów od pozostałych ras* ludzkich jest zdaniem Schwalbego li tylko sztuczne, gdyż właściwie wśród rodu ludzkiego nie istnieją żadne wyraźne granice wzrostu dla grup rasowych i rasy duże zlewają się z małymi, dzięki istnieniu w każdej rasie całej skali najróżnorodniejszych wymiarów. Pod tym względem i prof. Martin i Schmidt podzielają zdanie Schwalbego i występują przeciw twierdzeniu Kollmann'a, jakoby wewnątrz rodu ludzkiego istniały trzy odrębne i ustalone grupy wzrostu.

A teraz przyjrzyjmy się, w jaki sposób Schwalbe zbija poglądy Kollmann'a co do *stanowiska rasy neandertalskiej* wewnątrz gatunku ludzkiego i jak się przedstawia jego własna teoria w tym względzie. Zdaniem Kollmann'a, jak wiemy, rasa neandertalska nie jest bynajmniej pra-rasą ludzką, lecz gałęzią boczną, która oddzieliła się już od ras wzrostu wysokiego. Na takie twierdzenie Schwalbe odpowiada przedewszystkiem, że rasa neandertalska, jak wykazują znaleziska, jest bezporównania starsza geologicznie, niż rasy karle, nawet w tym wypadku, jeśli byśmy chcieli uznawać prawdziwość domniemanych przedhistorycznych pigmejów Kollmann'a. Rzeczywiście najstarsze znalezisko z tego zakresu sięga młodszego dyluwium, mianowicie okresu rena (Mentona), podczas gdy szczątki ludzkie należące do rasy neandertalskiej znajduwane były w dyluwium starszem, np. szczątki ze Spy, Krapiny, Neandertalu. Wprawdzie argument ten można w części osłabić, przyjmując wraz z Kollmann'em, że jeśli w młodszym dyluwium

pigmeje egzystowali już pospółu z rasami dużemi, — to niewątpliwie musieli istnieć i wcześniej, i być może w przyszłości szczątki ich kostne zostaną odnalezione również w pokładach starszych. Tymczasem jednak brak nam zupełnie wszelkich dowodów faktycznych w tym względzie; zresztą i owa domniemana egzystencja pigmejów w młodszym dyluwium, oraz w grobowcach znacznie późniejszych przedhistorycznych, została, jak wiadomo, obalona przez Schmidt'a. Tak więc, zdaniem Schwalbego, nie ulega wątpliwości, że rasy karle są bezporównania młodsze, niż rasa neandertalska, a co za tem idzie niemożliwą jest rzeczą uważać ich za protoplastów tej rasy.

Zupełnie logicznym wynikiem takiego poglądu jest fakt, że *rasa neandertalska* wykazuje *budowę czaszki bardzo prymitywną*, natomiast kształt czaszek karlich wkracza najzupełniej w dziedzinę kształtów, właściwych rasom współczesnym. Stosunkowa wysokość sklepienia czaszki, prostota czoła, wyęcie potylicy ku tyłowi — są to znamiona, które daleko odsuwają rasy karle od typu neandertalskiego. Fakt ten wprawdzie został zużytkowany przez Kollmann'a właśnie na poparcie jego twierdzenia, co do stanowiska rasy neandertalskiej, jako gałęzi bocznej ras dużych, lecz Schwalbe czyni zarzut, iż pogląd taki dowodzi u Kollmann'a niewłaściwego zrozumienia prawa biogenetycznego. Opierając się na tem, że starsze płody małp człekokształtnych i młodziutki antropoidy posiadają budowę czaszki wysoko-sklepioną, podobną do czaszki ludzkiej, Kollmann przypuszcza, że właśnie kształt taki był odrazu właściwy ludzkości. Na to jednak odpowiada Schwalbe, że przecie i płody małp niższych, lemurów i innych ssaków posiadają czaszkę stosunkowo znacznie wyżej sklepioną, niż osobniki dorosłe, a nie znaczy to przecie bynajmniej, by zwierzęta te, jako okazy dorosłe, posiadać miały pierwotnie wysokosklepioną budowę głowy. Rozwój bowiem osobniczy nie jest dokładnem i szczegółowem odtworzeniem wszelkich poszczególnych postaci, przez jakie postępował rozwój rodowy, lecz tylko bardzo niedokładnem i skróconem powtórzeniem filogenezy, w którem wiele stadyów rozwojowych uległo zmianie, opuszczeniu lub przestawieniu. Wszak gdyby np. u małp wysoki kształt czaszki miał być kształtem pierwotnym, to przecie jakiegokolwiek znaleziska potwierdzałyby jego rzeczywiste pierwotne istnienie. Widzimy przeto, — mówi Schwalbe, — do jakich rezultatów prowadzi teoria Kollmann'a: bądź musimy przypisać filogenetyczne znaczenie takim postaciom rozwoju osobniczego, które nigdy w rozwoju rodowym nie istniały, — bądź

musimy przyjąć, że wszystkie kształty dorosłe, rozwijające się z kształtów zarodkowych, ulegały stale degeneracyi! Zupełnie natomiast inaczej, zdaniem Schwalbego, należy pojmować znamienny fakt silniejszego rozwoju sklepienia czaszki u płodów małp i ludzi, niż u osobników dorosłych. Przyczyną w tym względzie jest mianowicie nader wczesny i silny rozwój mózgu, następujący u zarodka wówczas jeszcze, gdy aparat żucia pozostaje w stadium bardzo słabego rozwoju. Następnie, w miarę rozwoju aparatu szczęk, ściśle związana z niemi pokrywa czaszki ulega stopniowemu wydłużeniu i spłaszczeniu, przyczem czoło staje się bardziej pochyłe, a potylicą — mniej wypukłą. Ze pomimo to jednak czaszka człowieka, w przeciwieństwie do czaszek małpich, pozostaje wysoko-sklepiona — wynika to stąd, iż aparat żucia ulega tu bezporównania słabszemu rozwojowi, a jednocześnie rozwój mózgu trwa znacznie dłużej, niż u małp; skutek tego wydłużenie czaszki, następujące z czasem, jest stosunkowo nieznaczne, i stosunek wysokości sklepienia do długości niewielkiej tylko ulega zmianie. Najzupełniej logicznym wynikiem takiego rozumowania jest twierdzenie, że w dziejach powstawania rodu ludzkiego postaci dawniejsze posiadać musiały czaszkę długą i płaską; dopiero w miarę stopniowego doskonalenia się cech ludzkich, w miarę silniejszego rozwoju mózgu, a uwsteczniania się aparatu żucia, kształt głowy osobników dorosłych coraz mniej oddalał się od kształtu właściwego płodom, czyli że czaszka w mniejszym stopniu traciła wygląd zarodkowy, wysoko-sklepiony. Stąd też rasa neandertalska, wykazująca tak niską a długą czaszkę, jak żadna z ras obecnie żyjących, musi być uważana za rasę pierwotną i bezporównania dawniejszą, niż pigmeje, posiadający głowy wysoko-sklepione, podobne głowom imych ras współczesnych.

Wogóle *rasy karle*, zdaniem Schwalbego, hynajmniej *nie wykazują większej prymitywności rasowej, niż wiele plemion dzikich wzrostu wysokiego*.

Dokonawszy w ten sposób szczegółowej krytyki teorii Kollmann'a Schwalbe wypowiada wreszcie swój własny pogląd w tej kwestyi. Zdaniem jego *rasy karle* wśród ludzi, podobnie jak rasy karle wśród zwierząt, *są li-tylko lokalnemi odmianami wzrostu*. Lecz jakież przyczyny spowodować mogły wytworzenie się tych odmian? Według Schwalbego złożyły się na to: *izolacya* w środowisku niepomyślnem dla sprawy zdobywania pożywienia i *dobór naturalny*, dający w takich właśnie warunkach przewagę w walce o byt tym osobnikom, które potrzebowały mniej stawy dla utrzymania się przy życiu. Wiadomo, że wszelka grupa ludz-

ka zawiera w sobie pewne naturalne różnice wzrostu, wytwarzające szereg indywidualnych wahań powyżej i poniżej wymiaru „średniego.“ Wyobraźmy sobie teraz, iż szczep, którego średnia wzrostu jest miernie wysoka, znajduje się w warunkach bytu nader trudnych ze względu na sprawę wyżywienia; natenczas przewagę w walce o byt zyskają niewątpliwie osobniki mniejsze, natomiast osobniki dużego wzrostu stopniowo wyginą i w rezultacie „średnia“ wzrostu ulegnie obniżeniu. Podobne karlenie szczepu posuwać się będzie wciąż dalej, aż póki nie zostanie osiągnięta równowaga między wzrostem osobników a ilością pożywienia. Jasną jest rzeczą, iż dobór w tym zakresie, podobnie jak dobór wogóle, tem skuteczniej działać będzie, o ile dana grupa osobników ulegnie zupełnemu wydzieleniu z pośród grup innych, wskutek izolacji na wyspie, w lesie dziewiczym, lub w okolicy odciętej pustynią. Z chwilą jednak, gdy wzrost karli został utrwalony wewnątrz danej grupy, t. j. stał się cechą rasową—nie tak łatwo i nie tak szybko ulegnie on ponownej zmianie i zachowa się nadal, przez czas jakiś przynajmniej, pomimo, że warunki bytu ulegz mogą znacznej modyfikacji.

Z pośród szczepów pigmejskich, dziś żyjących, niektóre wprowadzie bynajmniej nie znajdują się obecnie w warunkach bytu, które mogłyby być uważane za przyczynę ich skarlenia; dotyczy to np. Senoi'ów i Semangów z półwyspu Malajskiego, którzy żyją w pomyślnych warunkach odżywiania, oraz tych szczepów karlich środkowej Afryki, które, sąsiadując z plemionami rolniczymi, zyskują sobie dostateczne pożywienie, bądź drogą rabunku, bądź drogą zamiany. W tych wypadkach przeto nie można uważać wzrostu karlego za cechę bezpośrednio wywołaną brakiem pożywienia, lecz należy go rozpatrywać jako właściwość rasową, która obecnie przechodzi drogą dziedziczenia na potomstwo, lecz która pierwotnie powstała wskutek niedostatecznego odżywiania się pewnej grupy osobników. Wyrażając taki pogląd na kwestyę powstawania ras karlich, Schwalbe zaznacza jednocześnie, iż *plemion skarłatych* pod wpływem braku pożywienia nie uważa bynajmniej za *plemiona zwyrodniałe*, gdyż mały wzrost nie jest w tym wypadku wyrazem degeneracji fizycznej, lecz rezultatem doboru naturalnego, wywołanego warunkami zewnętrznymi.

Na zasadzie streszczonej powyżej krytyki Schwalbe uważa, iż teoria Kollmann'a w zakresie pigmejów musi być uznana za błędną a rasy karle wśród ludzi, podobnie jak rasy karle wśród zwierząt, mogą być jedynie traktowane, jako odmiany wzrostu, wytworzone pod wpływem środowiska.

Z powyższego widzimy, że stanowisko karłów, jako pra-rasy ludzkiej, zostało poważnie zachwiane przez dowodzenia Schwalbego i w danej chwili pogląd tego uczonego należy uznać za gruntowniej umotywowany, niż hipoteza Kollmann'a. Czy jednak pogląd ten ma bezwzględną słuszność? — czy przyszłe badania nie dostarczą dowodów popierających w pewnym względzie zapatrywania Kollmann'a — tego przesądzać bezwarunkowo nie można.

K. STOŁYHWO.

SĄD ESTETYCZNY.

Spotykamy w salonach naszych dzieła, wywołujące namiętne spory, nieskończone dyskusye i sądy najsprzeczniejsze — utwory niewątpliwie wysokiej wartości artystycznej, co do których jednak zdania ogółu są tak podzielone, że kiedy jedni stawiają je na jakichś niedosiężonych wyżynach doskonałości, inni odmawiają im wprost racyi bytu w dziedzinie sztuki, każą więc zamykać podwoje wystaw publicznych przed podobnie niezdrową, jak twierdzą, i demoralizującą produkcją. Zasadniczym tłem nieporozumień najczęściej jest zagadnienie brzydoty, która jakoby nie mogła się mieścić w samym pojęciu sztuk pięknych.

W tłumaczeniach z jednej strony zbyt prostych o jakimś pięknie, które się wszystkim podoba, z drugiej strony w zbyt zawitych o „rzeczy samej w sobie,“ jakie niektórzy artyści rzucają w oczy zdumionemu filistrowi, a rzucają z góry z enigmatycznym lub zgoła pogardliwym uśmiechem, nie znajdziemy możliwych dróg pojednania. Poza tem często wprost przekorna chęć przeciwstawienia się smakowi ogółu, podnieca pewne jednostki do wytwarzania sensacyi i skandalu, w czem ludzie bez gruntowniejszego przygotowania estetycznego nie są w stanie się orientować i śmiały humbug przyjmują za czyste objawienie, nie mając odwagi przyznać się, że nic zgoła w danej sprawie nie rozumieją.

Powstaje stąd zamęt, wzajemne okłamywanie się i poniżająca nieszczerłość w sądach. Myślę jednak, że jeżeli w sztuce nie zechcemy odgadywać jakichś nadzwyczajnych tajemnic, ale weźmiemy ją, jako zwykłe zjawisko społeczne, jako funkcję socjologiczną starą, jak sama ludzkość i uwarunkowaną stanami jej ogólnego rozwoju cywilizacyjnego: jako naturalny wytwór organizacyi ludzkiej w życiu gromadnem, wtedy wyda nam się mniej

zawią i niezrozumiałą. Musimy przecież zjawisko to jako takie określić dokładnie i zgodzić się co do pojmowania pewnych form jego zasadniczych. Wtedy bez fałszywego wstydu, bez oglądania się na wskazania zawodowych kierowników opinii, będziemy mieli odwagę przyznać się, że nam się to a to niepodoba, gdyż nie odpowiada naszym istotnym skłonnościom i temperamentowi.

W dzisiejszych społeczeństwach, bardzo zróżniczkowanych w kulturze, spotykamy oczywiście ludzi o bardzo różnym stopniu przygotowania, chodziłoby więc o to, ażeby przez wyjaśnienia wielu przejawów w tej dziedzinie wyrównać w pewnej mierze istniejące w naszym wychowaniu estetycznym braki i przygotować ogół do własnych sądów w rzeczach sztuki.

Najogólniej biorąc, sztuka jest wyrażeniem pewnego wzruszenia w formach dostępnych dla zmysłowego poznania, to znaczy, że wzruszenie jednego człowieka, znalazło dla siebie takie formy, taki wyraz zewnętrzny, który za pomocą zmysłu oka lub ucha dojść może do świadomości innych ludzi. Jest ona zatem środkiem udzielania sobie wzajemnie wzruszeń—jest drogą uczuciowego porozumienia się ludzi między sobą.

Jeżeli, dajmy na to, artysta pod wpływem zachwyty nad pięknnością zachodu słońca, ułoży pieśń, namaluje obraz, lub skomponuje symfonię, jednym słowem, zachwyty swój zaklnie w utwór, który możemy widzieć lub słyszeć, i jeżeli utwór ten wywoła w nas uczucie podobne do tego, jakie było podniętą jego twórczości, wtedy stajemy wobec zjawiska, które w istocie swej jest właśnie udzielaniem wzruszeń za pośrednictwem dzieła sztuki.

Różne bywają wzruszenia, a stąd też najrozmaitszej natury dzieła sztuki. Nie trzeba sobie wyobrażać, że na miano to zasługują jedynie wielkie kompozycje moralne, czy umoralniające utwory o głębokiej treści religijnej, filozoficznej, ale owszem najzwyczajniejszy dajmy na to dywan wzorzysty, czy skromny rysunek ornamentacyjny, każdy sprzęt, każdą formę uznamy za dzieła sztuki, jeżeli tylko posiadają one w sobie wymienione wyżej właściwości wzruszania nas w jakimkolwiek stopniu, jeżeli posiadają tak zwane wartości estetyczne.

Weźmy prosty garnek gliniany. Dla celów użyteczności wystarczy, jeżeli będzie to naczynie mniej więcej wklęsłe, w którymby się płyny mogły przechowywać bezpiecznie. Jeżeli jednak garncarz, urabiając go na krążku, stara się mu nadać kształty wytworne, jeżeli przez wrodzone poczucie rytmu, proporcji i harmonii, potrafi zachować właściwe stosunki wymiarów, całości i pojedynczych podziałów między sobą, jeżeli wyciągnie wdzięczną

linię falistą wciąć i wybrzuszeń, jeżeli, jednym słowem, tkwiące w sobie poczucie rytmu, proporcji i harmonii przeniesie dość wyraźnie na swoje dzieło, garnek taki posiadać będzie niezaprzeczenie owe wartości estetyczne. Ludzie, którym się on następnie do rąk dostanie, odczuwać będą miłe wrażenie, jakie sprawia na nas stwierdzenie dokoła siebie ładu, harmonii i proporcji. Garnek taki może nawet bez wszelkich ozdób ornamentacyjnych pozostać dziełem sztuki, jedynie dla swego pięknego kształtu. Do podobnie doskonałych form dochodzili ongi Grecy w swoich wyrobach ceramicznych.

Istotnie ich wazy, amfory, hydrye, lecyty, kraterzy pod względem przedziwnie harmonijnego ustosunkowania podziałów konstrukcyjnych, wewnętrznej proporcji części do całości i wdzięku linii, nie mają sobie nic równego i do dziś dnia są przedmiotem zachwytu znawców.

W zachwycie tym leży źródło przyjemności estetycznej i stąd pochodzi wdzięczność dla artystów, którzy przyjemności podobnych dostarczają. Prawdą bowiem jest niezaprzeczoną, że cieszyli się oni po wsze czasy pewnymi względami wśród otoczenia, a w epokach wyjątkowego sztuk pięknych rozwoju, korzystali z niepospolitych przywilejów. Dość przytoczyć znane w historii anegdoty z czasów Odrodzenia włoskiego, kiedy to papieże i książęta znosili cierpliwie fantastyczne grymasy swoich malarzy, rzeźbiarzy i architektów nadwornych.

Wogóle wyróżnianie artysty, to jest człowieka, który zdolnościami ujęcia w formy sztuki swych uczuć, wybijał się ponad środowisko, zaznacza się bardzo wczesnie w dziejach cywilizacji, a zjawisko to stwierdzić można wśród ludów, stojących na najniższym szczeblu rozwoju kulturalnego.

Bardzo ciekawe spostrzeżenia w tej materji podaje jeden z badaczy początków sztuki, prof. Ernest Grosse z Freiburga, który, powołując się na świadectwa podróżników, stwierdza owo uznanie dla poetów naprzykład wśród ludów myśliwskich, jeszcze w swej całkowitej pierwotności zamieszkujących niektóre zakątki naszego globu.

Uznanie takie jest tem dziwniejsze, że dzika ta poezja zazwyczaj jest nawskroś egotyczna, przyczem autor, opisując bóle i radości swoje nie sięga bynajmniej do głębin duszy, ale naiwnie opowiada wrażenia najbardziej poziomej natury. Treść pieśni tych nadzwyczaj uboga i nieokrzesa, jak całe życie człowieka pierwotnego, sprowadza się najczęściej do opowieści o polowaniu, jak naprzykład słyszana u Botokudów: „Dziś miałem dobre polowa-

nie; zabiłem zwierza, teraz mam co jeść; mięso smaczne; gorzałka smaczna“ i t. d.

Jestto poprostu uszeregowanie zdań najpospolitszych, wyrażających pewne osobiste uczucie opowiadającego, ale uszeregowanie oparte na rytmice powtarzających się miarowo zgłosek, przez co staje się może niedostateczną w naszym pojęciu formą estetyczną, ale bądź co bądź wystarczającą, ażeby wśród swoich zapewnić twórcy opowiadania sławę poety.

„Człowieka pierwotnego, robi uwagę prof. Grosse, mało obchodzą bóle i radości jego bliźnich: możnaby tedy przypuścić, iż pieśni, opiewające zazwyczaj tylko czyjeś osobiste radości i smutki, pozostaną dlań zgoła obojętne. Ku wielkiemu jednak naszemu zdziwieniu dowiadujemy się, iż w rzeczywistości dzieje się zupełnie co innego. I przytacza liczne przykłady, z których wypada, że podobne pieśni zdobywają nadzwyczajną popularność wśród całych plemion i przekazywane są z pokolenia na pokolenie, jak nasze pieśni ludowe, że twórca jedną taką piosenką może zdobyć sobie „nieśmiertelność“ gdzieś wśród Eskimów, Australczyków, czy mieszkańców wysp Andamańskich.“

Że taka najzupełniej egoistyczna i pozioma liryka może cieszyć się szerokiem uznaniem, to wyjaśnić się da tem tylko, iż ceniona jest przedewszystkiem za formę, nie zaś za treść, która dla ludzi pierwotnych jest w danym razie obojętna.

Zresztą i na najwyższych stopniach cywilizacji forma jest decydującą w rzeczach sztuki, gdyż ona to właśnie rodzi się z uczucia człowieka szczególnie usposobionego do wyrażania uczuć swoich w warunkach, które formę tę określają.

Jeżeli w rytmicznym układzie dywanu lub mozaiki artysta wyraził tylko zamiłowanie swoje do migotliwej gry kolorów, bawimy się z nim tem migotaniem, oczy nasze radują się harmonijną kombinacją barw i otrzymujemy zadowolenie, często bardzo intensywne, ale wprost fizyologiczne, jakby powierzchowne. To samo odczuwa ucho, kiedy je pięści harmonijne zestawienie dźwięków. Jeżeli jednak artysta w dziele swoim zaklął wielkie ukochania, które wszyscy odczuwamy potężniej, miłość ojczyzny, ludzkości, żale, nadzieje, tęsknoty, w których się odnajduje zbiorowa dusza narodu, człowieczeństwa, jeżeli wieszczym duchem odkryje słowo, drżące tajemniczo w piersiach wszystkich, wtedy oczywiście wrażenia od utworów takich otrzymane są głębsze i wznioślejsze.

Dzieło sztuki jednak, choćby to była tylko arabeskowa kombinacja kolorów na kobiercu, skromny rzucik na tkaninie, najdro-

bniejsza ozdoba na sprzęcie, kształtny garnek, wesoła zwrotka, szereg rytmicznych ruchów w tańcu uniesienia radosnego, czy wielka kompozycja malarska, poemat lub opera, wytworzy zawsze pewną łączność duchową między twórcą i widzem, a względnie słuchaczem, wzruszy go tem wzruszeniem, pod wpływem którego artysta pozostawał w chwili tworzenia.

Naturalnie, nieodzownym tu jest warunkiem, ażeby posiadał on dostateczną siłę przekonania nas o swoich uczuciach, to jest umiętność pełnego wypowiedzenia się w formach estetycznych.

Niewątpliwie, im wzruszenie artysty było wyższego rzędu, tem silniej podziała na otoczenie.

Tem się tłumaczy wpływ wielkich artystów, a zwłaszcza poetów, jaki niejednokrotnie zaważył na dziejach wielu narodów—poetów, którzy umieli „kochać i cierpieć za miliony.“

Zasadniczym czynnikiem sztuki, jak widać z tego, cośmy wyżej powiedzieli, jest sympatya — współdziałanie uczuciowe jednostek ludzkich między sobą, a sympatya właśnie stanowi jeden z główniejszych pierwiastków kształtowania się moralności społecznej, opartej, biorąc rzeczy najbezpośredniej, na prostem wskazaniu: „nie czyń tego drugiemu, co tobie nie miło.“

Współdziałanie takie za pomocą sztuki może być bardzo szerokie — rozciągać się na liczne rzesze i dotykać najróżnorodniejszych zjawisk życia. Słynny estetyk angielski, John Ruskin, utrzymuje, że „uczuciu estetycznemu zawdzięczamy ową tajemną harmonię jestestw i rzeczy, jaką daremnie chcemy poznać za pomocą badania naukowego.“

Jednakże artysta tworząc nie zawsze myśli o tem szerszem działaniu. Celem dzieła jego jest wywołanie przyjemności estetycznej, zresztą sam w tworzeniu odnajduje rozkosz najwyższą. Artysta tworząc, robi to dla tego, że odczuwa nieprzepartą, a na wskroś ludzką potrzebę podzielenia się z innymi ludźmi swemi wzruszeniami.

Jak człowiek, którego dotknął cios bolesny, szuka kogoś, przed kimby mógł się uzalić; jak człowiek szczęśliwy dzieli się z przyjacielem swą radością, tak artysta podniecony uczuciem jakimś, mając dar wrodzony wyrażenia uczucia tego w formach estetycznych—w formach, które będą mile przyjęte przez ogół najszerszy, ulega wewnętrznemu nakazowi wypowiedzenia się na zewnątrz—tworzy dzieło sztuki.

Oczywiście, nie chcielibyśmy słuchać biedaką, któryby jęcząc opowiadał długo i niedołącznie o swoich utrapieniach, ale jeżeli poeta ulegnie takiej samej potrzebie wywnętrzenia się i bóle swoje

zamknie w wykwintnym sonecie, wtedy otoczenie sonet taki wita z zachwytem, gdyż staje się on dla niego źródłem rozkoszy estetycznej na tle wytwarzającego się współuczucia.

Potrzeba taka w najczystszej swej formie jest bezinteresowna. Jakkolwiek rzeczywiście sztuka w zastosowaniach swych praktycznych niejednokrotnie bywała każona, przechodząc w mniej lub bardziej zaszczytny wyrobek, że często wynaturzała się i znieprawiała dla celów ubocznych, niemniej przecieŜ sztuce, że tak powiem, spekulacyjną umiemy odróŜnić od prawdziwej, której istotą jest samo uczucie.

Czynnością zatem estetyczną lub artystyczną nazywamy wogóle czynność, która podczas jej wykonywania lub w rezultatach swoich posiada pewną „wartość uczuciową.“ Nie słuŜy ona tedy, jako środek do osiągnięcia jakiegoś celu leŜącego po za nią, lecz *sama sobie jest celem*. W ten sposób przedstawia się jako przeciwstawienie działalności praktycznej w ścisłym słowa tego znaczeniu, to jest przynoszącej bezpośredni realny poŜytek.

W przykładzie powyŜsze twierdzenie pozwala się ująć w następujący sposób:

Od najdawniejszych, zamierzehłych w podaniach legendowych czasów, istniał zwyczaj kończenia pracy przy sprzecie na polach uroczystością, wyrażającą się w wesołych śpiewach, tańcach i skocznej muzyce. Uroczystości doŜynkowe przechowały się w większości krajów do dnia dzisiejszego i Źniwa dzisiejsze, jak w prastarych czasach pogańszczyzny, wieńczy zazwyczaj szumna uczta, połączona z tradycyjnymi, przekazywanymi z pokolenia na pokolenie, śpiewami. Niewątpliwie w pewnych epokach zwyczaj podobny nabierał znaczenia obrzędu religijnego. Tracił on wtedy w symbolice rytualnych przepisów cechy pierwotnego swego pochodzenia, którego istota bez zaprzeczenia leżeć musiała w radości, jaką odczuwali rolnicy z powodu, iż udało im się plon szczęśliwie sprzątnąć i zabezpieczyć sobie byt dostatni do nowych zbiorów

Otóż Źniwiarz, pracujący na Źarze słonecznym przez dzień cały w celu zebrania zboŜa, z którego upiecze chleb dla siebie i rodziny, spełnia rzecz praktyczną; tenŜe sam Źniwiarz, tańczący potem zawzięcie pod takt skocznej muzyki, wykonywa czynność estetyczną, bo bezinteresowną, choć równieŜ zalewając go rześnym potem wysiłku. Rzecz naturalna, że z tańca takiego, żadnego realnego poŜytku spodziewać się nie moŜe, a zdobywa się na wysiłek jedynie dla tego, aŜeby dać wyraz wezbranym w piersiach uczuciom radości.

Kto widział jednak dziś po niektórych naszych dworach, jak Kasie i Marysie na dorocznych dożynkach cieszą się z przymusem i bez przekonania, jak znudzonym, ospałym, a najczęściej przerażliwie fałszywym głosem zawodzą swoje:

Niesiem, niesiem plon
W gospodarza dom.

ten nie bez racji może utrzymywać, iż w obrządku tym niema nic pięknego, porywającego, sympatycznego i tem samem nie powinien on żadną miarą uchodzić za akt estetyczny. Z uwagą podobną najzupełniej zgodzić się nieraz trzeba, gdyż istotnie sam akt uroczystości rzeczonyj ze zmianą stosunków utracił właściwie swoje dawne znaczenie z czasów pogańskich, patryarchalnych i w pewnych warunkach jest już tylko przeżytkiem utrzymywanym z przyzwyczajenia, dla tradycyi, dla wywołania nastrojów, cenionych ongi przez ojców i dziadów. Czasami nastroje pod wpływem szczególniejszych podnieceń udają się dość szczęśliwie, czasami nie i wtedy rzecz cała posiada pustą formę, formę bez treści estetycznej, gdyż uleciały z niej owe wartości uczuciowe, które właśnie decydują o przynależności danego aktu do sfery sztuki. Poza tem ściślejsza analiza zabiegów tego rodzaju, jak śpiewy pochwalne dla obywatela w czasie uroczystości dożynkowych przeważnie pozbawione są koniecznej bezinteresowności, gdyż nie trudno odgadnąć, iż spracowanym żniwiarzom chodzi przedewszystkiem o otrzymanie dodatkowo do umówionej zapłaty kilku złotych „na wódkę,” jako znaku łaskawości pana dziedzica.

Jako charakterystyczny dowód owego rutynizowania się form szczątkowych dawnego zwyczaju przytoczyć można fakt, że w wielu razach owe tak zwane „na wódkę,” „na piwo,” wszelkie nagrody, naddatki i tym podobne gratyfikacye nie pozostawiane są dyskretnej łaskawości pańskiej, która zazwyczaj na pstrym koniu jeździ, ale omawiane bywają z góry między pracownikami a tymi, którzy z pracy ich korzystają.

Zatem jak symbolika religijna, tak samo rutyna obyczajowa zaciera granice między twórczością artystyczną a wyrobnictwem. Pozostają jednak pozory form artystycznych, co najczęściej bywa źródłem nieporozumień i najfałszywszych sądów estetycznych.

Należy w tych razach odczuć pierwiastki artyzmu intuicyą. Zdarza się dziś jeszcze wśród ludu, wśród prostych dziewczyn i parobków wiejskich spotykać osobniki szczególnie od natury udarowane, których wystąpienia w powyżej opisanych okolicznościach posiadają wszystkie znamiona czynu estetycznego. Istotnie,

kiedy się widzi przodownicę, zazwyczaj dziewczynę dzielną, hożą, energiczną, jak podniecona zwycięstwem nad współzawodniczkami, promieniejąc radością zadowolenia wewnętrznego, przybrana w wieńiec z kłosów i kwiecica polnego, idzie ochotczo, przeginając się rytmicznie w takt skocznej muzyki, jak niby w ekstazie jakiejś weselnej, improwizuje „przyśpiwki,“ może niezbyt wytworne z punktu widzenia literackiego, ale bogate werwą, rozmachem, i jakby natchnione cudownie, wtedy otrzymujemy pełne wrażenie rozkoszy estetycznej, jak od zjawiska naprawdę artystycznego.

Wskazałem różne stany takiej najpierwotniejszej i najpowszechniejszej sztuki pięknej. Rzeczywiście taniec i śpiew mniej lub bardziej wyrobiony, to jest wyrażenie się uczuć ludzkich za pomocą rytmiki gestów lub głosu, według zapewnień etnologów, socjologów i psychologów należą do sztuki najbardziej bezpośredniej, że tak powiem odruchowej.

Te same etapy zauważyć można w innych dziedzinach na drodze doskonalenia się i upadków, aż do najbardziej skomplikowanych objawów twórczości ducha ludzkiego.

Człowiek pierwotny, ażeby schronić się przed deszczami i wiatrami, związał kilka bierwion wbitych w ziemię i przykrył je skórami. Tak powstał szałas. Stawiając tę budowlę miał on na widoku jedynie przeznaczenie jej praktyczne, to też budowla taka nie należy do sfery sztuki, a budownictwo szałasów nie jest sztuką piękną. Nie było nią również wbijanie w dna jezior pali i układanie na nich pomostów, ażeby powstałe w ten sposób nawodne siedziby zabezpieczyć od napaści zwierząt drapieżnych; nie było nią również zwalanie głazów na kupę, nawet w celach pamiętkowych, sypanie wałów, kopców i kurhanów. Budownictwo staje się sztuką piękną z chwilą, kiedy architekt wznoszonej przez siebie budowli, ulegając właściwej sobie potrzebie ładu i porządku, nadaje pewien układ harmonijny w rozczłonkowaniu części konstrukcyjnych, kiedy w poczuciu proporcji ustosunkowuje odpowiednio podziały, kiedy dla wyrażenia rytmu ustawia szeregi kolumn, gźemsów, występów. Następnie w dalszym rozwoju, kiedy wyraża w dziele swojem wspaniałość, wzniosłość, dumę, pobożność.

Sztuka w poszukiwaniach twórczych dochodzi do pewnych granic doskonałości, wreszcie przekazywana innym, jako rzecz gotowa staje się chwilowo rzemiosłem, w którym najgenialniejsze nieraz pomysły mistrzów stosowane bywają przez uczniów nie tylko bez cienia uczucia, ale zgoła bezmyślnie, czego ślady powstają w postaci potworów, urągających nie tylko estetyce, ale logice i zdrowemu sensowi.

Tak samo rzecz się ma z malarstwem i rzeźbą. I one przechodziły chwile wzlotów i upadku. Zrodzone z wzruszeń naturalnych, z wrażeń płynących od przyrody, rozwijały się jędrnie i zdrowo, póki zwyczaj nie uwięził ich w martwych hieroglifach symbolicznego znaku, póki rutyna kanonu religijnego nie sprowadziła ich do roli zwykłego rzemiosła kościelnego, jak dajmy na to w epoce bizantynizmu, który przez długie wieki pogrążał szczerą twórczość plastyczną w przygnębiającym letargu. Ale pod wpływem gorącego tchnienia swobodnego uczucia budziła się ona znowu do życia i wydobywając się stopniowo z powijaków narzuconej opieki, dążyła przez wszystkie etapy rozwoju do męskiej dojrzałości.

Tchnienie takie pochodziło od ludzi wyjątkowo wyposażonych od natury, od ludzi obdarowanych talentem, wolą i odwagą, jednym słowem od wielkich artystów, którzy się nagle zjawiali w pewnym środowisku. Artystów wybitnych wytwarzała chwila dziejowa, jak oni znowu ze swej strony nadawali chwili tej i środowisku własną barwę indywidualną.

Ogromnie znamienne jest znany w historii fakt kolejnego rozpalania się i wygasania ognisk twórczości artystycznej różnymi czasy, w różnych stronach świata cywilizowanego. Zjawisko to związane tysiącami węzłami ze stanem ekonomicznym, politycznym, moralnym i intelektualnym danego narodu i epoki występuje współzależnie z pewnymi symptomatycznymi objawami ogólnej kultury. Dlatego też historia sztuki namiętnie się ustawicznie w historię ogólnej cywilizacji, niby tryby kół jednego wielkiego mechanizmu.

Sztuka występuje tam, jako jedna z funkcji społecznych, a twórcy jej, widziani na tle dziejowym, przedstawiają się, jako medya, przez które przemawia duch czasu, jako kryształowy o charakterystycznej formacji, w których pod pewnym określonym kątem załamują się wszystkie myśli, uczucia, wierzenia i obyczaje środowiska.

Jako sposób wypowiedzania tych wierzeń, uczuć i myśli, byłaby ona zatem nie pełna, gdyby nie odbiło się w niej i to także, co w danym środowisku jest brzydkie, ohydne, chorobliwe, co wywołuje nawet wrażenia przykre, przerażenie, wstręt, obrzydzenie. Wiadomo, że w różnych epokach bywali artyści, którzy do uzmysłowienia tych właśnie wrażeń szczególniejsze mieli upodobanie, jak również i tacy, którzy niby lustra o nierównej powierzchni, dawali odbicia fatalnie wykoszlawione.

Może nadmierne zamiłowanie do ohydy i brzydoty, jakie niektórzy skąd inąd wielcy nawet artyści zdradzali, należałoby na-

zwać zboczeniem psychicznem, moralnem zwyrodnieniem czy uwstecznieniem gatunkowem i niewątpliwie jest tam pewne odchylenie patologiczne od linii normalnej, jeżeli wogóle zgodzimy się na ustalenie jakiegoś typu normalnego, nie mniej przecież prawdą jest, że ogromna ilość produkcji artystycznej nosi na sobie stygmat takich zamiłowań. Gdybyśmy za prawowitą sztukę znać mieli tylko taką, która odbija wrażenia piękne, wzniosłe i przyjemne, musielibyśmy z dziedziny jej usunąć nazwiska artystów tej miary, co Callot, Breughelowie, Boschi, wogóle całe mnóstwo brutalnych Holendrów, a utwory ich, uznawane za arcydzieła, wyrzucić z muzeów i galeryi, jako uwłaczające poczuciu estetycznemu.

Badanie i określenie istoty odczuwania stanowi zadanie estetyki, jako nauki, twórczość artystyczna nie zawsze stosuje się do jej wskazań. Dążeniem artysty jest możliwie najpełniejsze, najpotężniejsze opanowanie wyobraźni ogółu, wzruszenie go za wszelką cenę, zdobycie władzy nad jego uczuciami, narzucenie mu się z bezwzględną tyranią i—niejednokrotnie w środkach, prowadzących do tego celu, nie przebierano. Często hardą śmiałością występień przekracza to granice zakreślone przez konieczny dla współżycia konwencyonalizm układów społecznych; łamie ogólnie przyjęte formuły etyki i przyzwoitości towarzyskiej i wtedy oburza nas i tem samem wytrąca z równowagi nieodzownej do sprawiedliwego wyrokowania.

*

*

*

Wychodząc z założenia, że sztuka jest tylko środkiem uczuciowego porozumienia się ludzi między sobą, wypada, że środek ten ma być dostępny dla wszystkich. Nie zawsze jednak tak się zdarza. To, co artysta przedstawia w najbardziej konkretnych kształtach swego utworu, wymaga jeszcze wielu dopełnień w wyobraźni widza lub słuchacza. Twórca powinien zastać publiczność przygotowaną do sugestyj, jakimi chce na nią podziałać, w przeciwnym bowiem razie dzieło jego będzie niezrozumiane i nieodczute. Niepodobna wtedy nawiązać przewodników łącznych, po którychby mógł przebiegać prąd sympatyj. Zbyt wielki przedział, jaki się niejednokrotnie zaznacza między stanami uczuciowymi i intelektualnymi artystów a wrażliwością i umysłowością ogółu

pociąga za sobą zrywanie się wyciągniętej nadmiernie nici łącznej, co usuwa możliwość utrzymania ściślejszego stosunku owej sympaty.

Stąd pochodzi, że tak często najwybitniejsze, istotnie fenomenalne talenty, przechodzą wśród współczesnych bez uznania i dopiero następne generacje, stanawszy na wyższej płaszczyźnie rozwojowej, zdobywają klucz do odgadnięcia i ocenienia lekceważonych przedtem wynalazców i myślicieli.

W rzeczy samej zdarza się, że ludzie genialni przez szczególniejsze właściwości swej organizacyi duchowej wyprzedzają tłum o całe epoki i dlatego bywają przez współczesnych niepojęci.

Przezuwani oni jednak są intuicyjnie przez jednostki bardziej śmiałe, ruchliwe, skłonne do przyjęcia nowych objawień, do złamania rygoru tradycyjnych przesądów, jednostki szczególnie uzdolnione w kierunku rozwojowego doskonalenia się i te właśnie przygotowują grunt odpowiedni do krzewienia się nowych form i treści nowej. Są to propagatorowie idei, prądów i kierunków przyszłości—bojownicy wierzeń dziś niebezpiecznych i prześladowanych, które jednak w następnych pokoleniach zdobędą prawo obywatelstwa i staną się wiarą powszechną. Jestto pewnego stopnia selekcya intelektualna, dobór duchowy, który na drodze postępu myśli i uszlachetnienia uczuć ludzkich, odgrywa taką samą rolę, jak dobór naturalny na drodze ewolucyjnego doskonalenia się gatunków w świecie organicznym.

Nie ulega wątpliwości, że wogóle najszerszem powodzeniem cieszą się ci artyści, którzy poziomem umysłowości swojej stoją najbliżej mas szerokich. Koło wyznawców maleje i zacieśnia się w miarę, im bardziej duchem od niego się oddalają. Ogół nie rozumie ich sztuki, jak my nie rozumiemy sztuki ludów o odmienniej kulturze. Trudności zrozumienia wzrastają w takim stosunku, w jakim dana kultura odleglejsza jest od naszej.

Ogromne zróżniczkowanie się co do kultury poszczególnych sfer społecznych w czasach dzisiejszych sprawia, że obok siebie żyją ludzie jakby z odmiennych epok cywilizacyjnych, nic więc dziwnego, że sztuka sfer jednych przez inne może być nie pojęta, że się wyradza przykry rozdzźwięk między twórcami a masą publiczności, że wreszcie wytwarza to wzajemne ścieranie się form, co wywołuje walkę, zgrzyty i dysonanse. Ludzkość dąży do harmonii. Ostateczne jej osiągnięcie leży oczywiście w sferze marzeń idealnych, na razie jednak chodzi o usunięcie zbyt silnego tarcia. W ogólnych dążeniach demokratycznych nie powinniśmy zaniedbywać powiększania kręgów promieniowania kultury estetycznej i dro-

gą uświadamiania mas najszerzych, przygotowując je do rozumienia i odczuwania sztuki najwytworniejszej, wyrównywać stopniowo istniejące dotąd przedziały.

Jest to sprawa doniosła, gdyż otwiera ona przed człowiekiem uświadomionym niewyczerpaną skarbnicę dobrodziejstw, przynosi go nagle w atmosferę, w której może żyć pełniej i przyjemniej. „Rozkosz estetyczna, jak powiada Ruskin, jest czarem życia: jej to zawdzięczamy dreszcz, przejmujący nas w najpiękniejszych godzinach istnienia—w godzinach, dla których warto było żyć.“

Mówiąc o harmonii, nie myślę bynajmniej o jakiejś absolutnej doskonałości układów społecznych, nie bawię się w fantastyczne utopie anielstwa na ziemi, ale rzeczywiście pragnąłbym pewnej naprawy w naszym życiu artystycznym, które choćby w stosunku do tego, co się dzieje na Zachodzie, przedstawia wiele do życzenia. Niewątpliwie możnaby się w tej mierze urządzić znacznie harmonijnej.

Istotnie, jesteśmy straszliwie opóźnieni w kulturze estetycznej, a ciąży nad nami jakieś tragiczne fatum, które nie pozwala się wydobyć z błędnego koła przyczyn i skutków: niewyrobiona publiczność popiera tylko sztukę lichą, a na lichej sztuce oczywiście nigdy wyrobić się nie będzie wstanie. Więc położenie bez wyjścia. Wszelkie usiłowania agitatorów ruchu estetycznego rozbijają się, jak o opokę, o przemoc wszechpanującego półanalfabetyzmu, który jest stokroć groźniejszym przeciwnikiem postępu, niż absolutna ignorancja.

Rzecz się przedstawia w ten sposób. Druk jest dziś najdzielniejszym propagatorem wszelkiej myśli. Ale drukowanie pism, czy książek opłaca się jedynie przy znacznym nakładzie, jeżeli pismo czy książka chce istnieć o własnych siłach, liczyć się musi z upodobaniem mas szerokich i słuchać wskazań owego wszechpanującego półanalfabetyzmu. Oni książkę taką kupią, pismo zaprenumerują. Garść intelektualistów wydaje dla siebie dziennik ideowo w ograniczonej ilości egzemplarzy. Myśl wyższa w nim zawarta nie przejdzie poza szczupłe koło czytelników o wyższym poziomie intelektualnym, a dla reszty pozostaje głosem wołającego na puszczy. Ażeby mogła ogarnąć dalsze kręgi społeczeństwa, trzeba ją ogłosić w piśmie popularnym, wpływowym, to jest opierającym się na uznaniu szerokich mas półinteligencji i na ich zasobnej kieszeni. Ale masy te właśnie myśli wyższej nie lubią i występują przeciw niej wrogo, ze szczególniejszą nawet bezwzględnością. Zarozumiałość jest cechą znamionną jednostek ograniczonych. Wydawca wie o tem doskonale, w obawie zatem utraty

popularności, zamyka szczelnie drzwi i okna swoich oficyn przed jaskrawszymi promieniami światła. Kiedy jednak odważy się czasem na śmielsze słowo, dostaje natychmiast od pana Bajbardzo z Zaprzależ Wólki liścik tej mniej więcej treści: „Jeżeli będziecie drukowali jakieś mądre rzeczy, których ja nie rozumiem, to przestanę trzymać wasze głupie pismo.“

Kupiec przerażony groźbą, w trosce o utrzymanie największej liczby prenumeratorów, zamiast poradzić korespondentowi swojemu nabycie encyklopedyi, która niewątpliwie wiele niezrozumiałych rzeczy wyjaśnić może, zwołuje komitet redakcyjny na naradę, jakby obniżyć poziom pisma i udostępnić je dla inteligencji pana Bajbardzo z Zaprzależ Wólki.

Kto czytał listy prenumeratorów ze wskazaniem do redakcyi, — a nie mówię tu bynajmniej o redakcyach pism ludowych specjalnych, ale o najpopularniejszych dziennikach i tygodnikach naszych, — łatwo wyczuje, że pochodzą one od ludzi tępych i najbardziej ograniczonych, są pisane niegrammatycznie i bez sensu logicznego. Ludzie inteligentniejsi w korespondencye z redakcyami wdają się nader rzadko. Opinię więc urabiają panowie Bajbardzo z Zaprzależ Wólki i jemu podobni. Oni to terroryzują myśl i smak ogółu, narzucając mu swoje zatęchłe w ciemnościach widzi ni się.

Tak też się dzieje w teatrze, gdzie repertuar układa gust najliczniejszej publiczności, tak też w dziedzinie sztuk plastycznych, gdzie popyt na oplakaną tandetę z „łezką“ i „ciepełkiem“ wytwarza odpowiednią produkcję.

*

*

*

Powiedziałem wyżej, że uczucie samo określa formę sztuki, to znaczy, że narzuca ono człowiekowi taki a nie inny sposób artystycznego wyrażenia się, zależny całkowicie od wewnętrznych stanów jego duszy, od rytmu serca, często bez udziału świadomości. Spotykamy naprzykład samorodnych poetów, ludzi nie obeznanych teoretycznie z zasadami prozodyi, którzy nagle ze zdziwieniem dowiadują się, iż robili doskonałe jamby, trocheje, amfibrachy, że poemat ich napisany jest poprawnym heksametrem, choć zgoła nie wiedzą, co słowo to oznacza. Ze zdumieniem również dowiedziały się biedny garnarcz wioskowy, nie mający

najmniejszego pojęcia o konstrukcyi technicznej, że jego wazon utoczony na krążku „od uczucia,“ zbudowany jest z matematyczną ścisłością w przeprowadzeniu podziałów wewnętrznych, w zachowaniu warunków statyczności i proporcyi. On go formował od oka, ot „tak sobie, żeby było ładnie,“ a przyszedł pan uczony z cyrklem i winkle, wymierzył garnek dokładnie, porysował koła, kwadraty, trójkąty i orzekł, że wszystkie stosunki w konstrukcyi są dobrze obliczone.

Świadczyłoby to, że w uczuciu artysty jest miara, a także że istnieją jakieś pozytywne, dające się ująć w normy, pierwiastki piękna, któreby mogły służyć za podstawę do obiektywnych, zupełnie stanowczych sądów estetycznych. I niewątpliwie pierwiastki takie odnaleźćby się dało, jeżeli sztukę badać będziemy nie jako pojęcie metafizyczne, ale jako rzeczywiste konkretne zjawisko socyologiczne.

Dla poznania istoty tego zjawiska należy mu się przyjrzeć w formach pierwotnych najmniej złożonych, u źródeł najwcześniejszego poczynania się. Zabytki dawno zamierzchłej przeszłości, odnajdywane dziś w różnych stronach starego świata, nie wyjaśniają jednak wielu rzeczy. Nie znając dokładnie tła, na jakim wyłaniały się pierwsze objawy twórczości artystycznej przed tysiącami lat, musimy popełniać tysiączne błędy we wnioskowaniu, archeologia więc decydujących odpowiedzi na pytania najważniejsze nie daje. Pomimo najściślejszego powiązania, na zasadzie znanych wykopalisk, wszystkich współczesnych wiadomości naukowych w ciągły łańcuch, pozostaje jeszcze zupełna dowolność fantazywania.

Sztuka jest bezpośredniem wyładowaniem się wzruszenia—wynikiem naturalnych potrzeb instynktu estetycznego. Taki przynajmniej wykład jej przyjmujemy w zasadzie. Czy jednak z całą stanowczością zaprzeczyć można, że, dajmy na to, jakaś figura geometryczna, narysowana na siekierze z epoki palafitów, nie była symbolem bóstwa czy żywiołu, jak to starano się dowieść niejednokrotnie, a co zmieniloby całkowicie kierunek naszych wywodów.

Prawdopodobnie istniała już wtedy dość wysoka stosunkowo kultura ogólna. Jak można przypuszczać z odnalezionych szczątków, z przechowanych dotąd popiołów i odpadków kuchennych, mieszkańcy budowli palowych uprawiali niektóre zboża, sadzili drzewa i hodowali bydło domowe. Pozostały też pewne ślady handlu wymiennego, któremu oczywiście towarzyszyć musiały odpowiednie formy imnych organizacyj społecznych. Na ile jednak sztuka ówczesna pod naciskiem tych organizacyj odchylić się mu-

siała od linii wytkniętej przez bezpośredni odruch estetyczny i stać się wyrazem zgoda czego innego, tego ustalić niepodobna.

Natomiast zupełnie pewne światło na niniejszą sprawę rzucają postrzeżenia etnologów, poczynione wśród ludów myśliwskich, ludów, które dziś jeszcze nie wiele się różnią kulturą od troglodytów z epoki lodowej, tudzież przez psychologów, obserwujących stopniowy rozwój umysłu dziecka, tego najistotniejszego barbarzyńcy wśród najbardziej cywilizowanych społeczeństw.

Zwłaszcza materiał zebrany przez etnografię przedstawia się niezmiernie przekonująco. Profesor Grosse, o którym już wspominałem, oparłszy się na nim w dziele swoim o „Początkach sztuki,“ wykazał dowodnie, jak sztuka powstaje bezpośrednio i koniecznie z przyrodzonych potrzeb człowieka.

Według postrzeżeń tych objawia się ona przedewszystkiem przez zamiłowanie do symetrii i rytmu, zarówno odnośnie do wrażeń słuchowych, jako też i wzrokowych. Poza to przez zamiłowanie do barw żywych, nie ułożonych wszakże bynajmniej w obraz, ale poprostu wystawionych jako przestrzeń kolorowa dla rozradowania oka.

„Darwin, pisze prof. Grosse, podarowawszy pewnemu mieszkańcowi Ziemi Ognistej sztukę czerwonego sukna, spostrzegł ku wielkiemu swemu zdziwieniu, że nie zostało ono użyte, jako materiał na odzież, lecz podarte w drobne strzępy, któremi zarówno obdarowany, jak jego towarzysze, dla ozdoby poobwieszali swoje skostniałe członki.“ Wypadek ten charakteryzuje nietylko mieszkańców Ziemi Ognistej. „Darwin mógłby być uczynić to samo spostrzeżenie — pisze prof. Grosse — w pustyni Kalahari i w australskich gąszczach leśnych i na Cap-Hornie. Z wyjątkiem plemion podbiegunowych, nie mogących już absolutnie obejść się bez cieplejszej odzieży, wszystkie ludy myśliwskie o wiele bogaciej i staranniej przyozdabiają niż przyodziewają swe ciało.“

Pretensje do elegancji istot, które nie pomyślały przedtem o zabezpieczeniu członków swoich od ostrych wpływów temperatury, świadczy o silnie zakorzenionych w naturze ludzkiej potrzebach estetycznych. Po tańcu i śpiewie jest to najbardziej bezpośredni odruch w kierunku zadowolenia tych potrzeb.

Pozatem człowiek pierwotny, w sensie tych samych dążeń, zaczyna znaczyć ornamenty złożone z linii prostych lub krzywych, równoległych lub przecinających się wzajemnie. Następnie próbuje odtwarzać postaci otaczających go zwierząt, w rzeźbie lub rysunku, później zabiera się nieśmiało do przedstawienia człowieka, wreszcie świat roślinny dostarcza mu wzorów do naśladowania.

Podobnie zachowuje się dziecko. Lubi ono kolejno symetrye, kolory i przeciwieństwa. A kiedy zaczyna rysować, udaje przede wszystkim, że robi sylwetkę psa lub kota, a dopiero potem zabiera się do portretowania mamy, taty czy siostrzyczki. Motywy roślinne najpóźniej zajmują wyobraźnię małych rysowników.

Wypadek Darwina z czerwonym sukniem wśród mieszkańców Ziemi Ognistej znajduje również odpowiednik w upodobaniach dzieci. I one umieją dla zabawy pociąć w kawałki rzecz najpotrzebniejszą, przyczem zauważyć się daje szczególniejsze zamiłowanie ich do koloru czerwonego. Łatwo to sprawdzić, obejrzawszy kilkanaście pudełek z farbami wodnemi, będących czas jakiś w posiadaniu młodocianych Apellesów. Niewątpliwie na dziesięć w dziewięciu będzie opróżniona przede wszystkim przegródka, z jasnym, szkarłatnym cynobrem, jako najczęściej używanym.

Zresztą wyniesienie tej barwy nad inne jest rzeczą bardzo powszechną. Nie mówiąc już o ludzkiej, który kocha się nade wszystko w jaskrawej czerwieni, przypomnieć trzeba, że do ostatnich prawie czasów była ona wybraną barwą klas najwyższych, surowo nawet zabranianą przez ustawy wszystkim innym podlejszym stanom. Goethe w rozmyślaniach swoich estetycznych przyznaje się również do szczególniejszych upodobań w tym kierunku i dowodzi, że zamiłowanie do koloru czerwonego jest właściwe ludziom dzielnym, zdrowym i wesołym, podczas tego, kiedy melancholicy i słabowici ujawniają skłonność do barw ciemnych o odcieniach chłodnych—niebieskich lub zielonych.

Wskazywałoby to, że każda barwa posiada swoją niezależną wartość estetyczną i że możnaby ustalić pewną skalę ich siły wzruszania. Jednakże bardzo wczesnie mnóstwo czynników współzależnych zaciera prostotę tych objawów.

Niemniej przecież łatwo wyczuć tę samorzutną wartość emocjonalną barwy. To samo dzieje się z linią i dźwiękiem.

Są kolory piękne i brzydkie, t. j. które dają oczom naszym pewną przyjemność i takie, które sprawiają wrażenie przykre. Są linie przyjemne w swej płynnej falistości i przykre przez sztywność lub wykoszlawienie; są dźwięki mile głaszczące ucho i rozdzierające słuch nieznośnym zgrzytem. W dalszym ciągu występuje harmonijne połączenie części—wielość w jedności, t. j. rytm, ład, proporcya, jako wyższy stopień zadowolenia estetycznego. Dalej jeszcze idą słowa i kształty, tudzież związane z niemi idee i obrazy, budzące tysiące skojarzeń, wspomnień, myśli i nastrojów.

Takie są elementy tworzywa artystycznego, takie są środki uczuciowego porozumienia się ludzi między sobą. Artyści, jednostki

wyjątkowo utalentowane, wyjątkowo wrażliwie działają na środowisko, ale też pozostają sami w zależności od tego środowiska. Historia sztuki jest nieskończenie ciekawym wykładnikiem takiego ścisłego zespolenia pewnych form kultury z pewnymi formami sztuki.

Jak Nil wpływa na całe ukształtowanie się cywilizacji egipskiej, co odbiło się znamiennie na charakterystycznych formach architektury, jak bezwzględny despotyzm władców assyryjskich napiętnował sztukę kraju tego jakimś wyrafinowaniem okrucieństwa, akcentującym się jaskrawo w upodobaniach do scen gwałtownych, do przedstawiania krwawych bitew i polowań; jak wolni, rozważni, o jasnym umyśle Grecy odnaleźli najdoskonalszy wyraz piękna w harmonii, spokoju i równowadze, tak potem stała ludzkość na sztuce znaczyła właściwe tempo swego uczuciowego i umysłowego życia; znaczyła na niej ślady swoich wierzeń i nastrojów, jakie przeżywała w różnych czasach i miejscach.

I widzimy, jak linia dążeń klasycznych odchyła się pod naciskiem racjonalizmu rzymskiego w kierunku poszukiwań naturalistycznych. A potem całe obszary myśli, całe dziedziny sztuk plastycznych, prócz jednej może architektury, zapadają w letarg długotrwały. Trzymają je w tym stanie odrętwienia dogmaty chrystyanizmu, zrodzonego w Judei, póki duch czasu nie odwiał właściwości semickich i pozwolił swobodnie zakwitnąć uczuciom aryjskim.

Pogodzono harmonijnie przykazania nowej wiary z odwiecznymi potrzebami życia i nagle sztuka, niby roślina posiana na długi ugorowanej ziemi, wyrasta do najbujniejszych form swego rozwoju.

Ale i tu jeszcze, w dziejach świętego renesansu włoskiego, nie trudno dostrzedz przewijające się wskroś zróżniczkowanych ogromnie objawów osobowości najróżnorodniejszych, barwne pasma wspólnej inicjacji duchowej. Jak na naiwnych utworach prymitywów z trecenta lśni się tęczo, niby w baśni, łagodna miłość i dziecięcy jakiś, pełny prostoty mistycyzm słodkiego mnicha z Assyżu, tak potem wśród mistrzów quattrocentra wybucha płomieniami namiętności niepolamowanego fanatyzmu Savonarolli.

Każde uczucie, każdy prąd, każdy zwrot umysłowości ludzkiej odbija się inaczej od ciężkich murów tumu romańskiego, inaczej od strzelistych sklepień gotyckich, inaczej od harmonijnej wytworności renesansu, a jeszcze inaczej od rozszalałych wygięć baroka i przyjmie zawsze właściwe stylowi swej epoki formy.

Trzeba o tem pamiętać koniecznie, chcąc o twórczości artystycznej wydawać sądy słuszne.

Wiek XIX nie stworzył nowego syłu, ale był to wiek potężnego rozwoju myśli demokratycznej. Demokratyzacya wszelkich instytucyj społecznych sięgnąć musiała i do dziedziny sztuki, a obecne stulecie jakby rozpoczęło się pod hasłem rozbudzenia mas najszerzych do życia estetycznego. Na Zachodzie propaganda w tym duchu prowadzona jest na szeroką skalę.

Zapewne miała sztuka epoki, kiedy bywała biesiadą wszystkich. W Grecyi klasycznej odbywano między artystami turnieje publiczne, którymi interesowało się całe społeczeństwo. Wszyscy wolni obywatele kraju brali żywy udział w tych zapasach artystycznych, z zapartym oddechem oczekując wyniku walki. We Włoszech, kiedy renesans rozkwitnął świeżą, szczerą twórczością, obnoszono po ulicach miast obrazy słynnych mistrzów, a lud przedziwne freski w kościołach uważał za swój skarb najdroższy i cenił je jak świętość.

To była jego własność niezaprzeczona.

Twórczość sama wybuchała wtedy żywiołowo. Później nastąpiła epoka dziwnych istot. Tworzono dzieła przepotężne, zamalowywano mury kościelne tłumami świętych, przekuwano potężne złoty skał na przedziwnej piękności posagi. Zda się, że nadmiar energii kipiał w tych ludziach-olbrzymach.

Ale też artyści ci znowu znajdowali, przynajmniej w części, w społeczeństwie odgłos zgodny z ich tytanicznymi porywami.

Tylko pod przepotężnym protektoratem tyranów, jak Medyceusze we Florencyi i Medyolanie, jak Visconti d'Este w Ferrarze, jak Petrucchi w Sienie, można sobie wyobrazić takie, że tak powiem, rozpasanie indywidualności artystycznych, jakie ujawniali Sodoma Giorgione, Benvenuto Cellini, a przedewszystkiem Michał Anioł.

Papież i rzeźbiarz jednym nazywani byli imieniem: *il terribile*, t. j. straszliwy, i istotnie zadziwiali świat straszliwością swoich temperamentów i czynów olbrzymich.

Juliusz II, następca Piotrowy, idący z mieczem w rękę na wrogów swoich i Buonarrotti kujący, jak cyklop, marmury w Carrarze, dopełniali się wzajemnie. Tworzyli styl *quinquecinta*.

Wtedy to jednak sztuka odwraca się od ludu i szuka opieki możnych. Jakkolwiek fundowane przez wielkich mecenasów obrazy w kościołach, jako też rzeźby na placach publicznych są dostępne dla kontemplacji wszystkich, ale znaczna część produkcji artystycznej, i to najwytworniejszej, zostaje zamknięta w prywatnych siedzibach magnackich — w pałacach, urządzanych teraz z nadzwyczajnym przepychem i wymyślnością.

Niezmiernie charakterystyczna jest koncepcya w planach owych pałaców, stawianych we włoskich miastach na końcu piętnastego i początku szesnastego wieków. Od ulicy zachowały one jeszcze całkowicie fizyognomię średniowiecznych obronnych kastełów. Potężne mury zewnętrzne, ułożone z chropowatych, nieobrobionych rustyków, rozerwane zrzadka małemi nieśmiałemi oknami posiadają lica surowe i nieprzystępne. Cały przepych, bogactwo i pomysłowość architektury oraz zdobnictwa w dziełach rzeźby i malarstwa roztańczają się w wewnętrznem urządzeniu sal i dokoła podwórza, które obiegają galerye, krużganki i kolumnady.

Pałac musiał się bronić przeciw ulicy—zazdrośnie więc ukrywał swoje skarby przed tłumem, ukazując mu jedynie, niby ostre zęby, szorstkie, nieociosane bryły twardego kamienia.

W wieku siedemnastym, kiedy dwór francuski w dziedzinie smaku nadaje ton reszcie Europy oświeconej, pozostająca pod opieką najbardziej samowładnego z królów sztuka znajduje oddźwięk w pojęciach i upodobaniach ogółu, przynajmniej tego, z którym się liczyć chciała, a którego smak określa arbitralnie sam Ludwik XIV. Jest on w jednej osobie całą publicznością dla twórców ówczesnych, a zwłaszcza dla swego malarza nadwornego, Le Bruna. Stąd też na tle tego stosunku wytwarza się najdoskonalsza harmonia, jaką kiedykolwiek historia stwierdzić była w stanie — harmonia, jaką Quinault upamiętnił w wierszu pochwalnym, pisanym do nadwornego malarza:

Au siècle de Louis l'heureux sort te fit naître

Il lui fallait un peintre, il te fallait un maître.

Zapewne podobna pochwała, wystosowana do artysty dzisiejszego, uraziłaby go głęboko, jak najbardziej zjadliwa satyra; nie uznaje on bowiem żadnych panów nad sobą, a najwyższą ambicyą jego jest pozostać w twórczości swej zupełnie niezależnym. Je-

dnakże niezależność ta przynajmniej w części, przynajmniej u znacznej większości twórców, jest tylko pozorna. Czują oni nad sobą pana — wszechwładną publiczność i starają się do gustów jej zastosować; a jakkolwiek gardzą nią w poczuciu wyższości, zachowaniem się swoim przypominają czasem zbyt jaskrawo zręcznych kurtyzanów, ubiegających się o względy możnego władcy.

Niewątpliwie twórczość, jako czynność estetyczna, jest rozkoszą, rozkosz jednak nie ogranicza się wyłącznie do osoby czynności tę wykonywującej, ale rozciąga się na imych. Artysta malując, rzeźbiąc lub grając na jakimś instrumencie, robi to także dlatego, że czuje potrzebę podzielenia się z innymi ludźmi wrażeniami.

Jestto potrzeba na wskroś ludzka i w pierwotnej swej formie, jak już mówiłem, bezinteresowna i odruchowa. W następnych stanach zjawia się interesowność — żądza uznania, poklasku, zapłaty. Interes do pewnego stopnia może wpłynąć na rytm uczucia, a tem samem odpowiednio ukształtować formę jego wyrazu, ale nie może on go zmienić całkowicie. Artysta posiada w stanie potencjonalnym zdolność nagięcia się do wymagań interesu, ale zdolność ta mniej lub bardziej jest ograniczona i poza określone granice, pomimo wysiłku, przejść nie jest w stanie. Dalej próby przystosowywania się spełzają na niczem, gdyż osobowość jego uwarunkowana całym kompleksem odruchów bezpośrednich, narzuca takie a nie inne kształty zewnętrznego wypowiedzenia się.

Ktoś pisze humoreski, choć wolałby tworzyć poważne dramaty.

Zresztą fatalistyczny ten sposób pojmowania konduity człowieka przeniesłby łatwo było do dziedziny etyki. Takim jestem, bo innym być nie mogę. Dworactwo i łatwość przyjmowania wskazań z zewnątrz, to także rys szczególnie danej osobowości, u innych zgoła nierozwinięty.

W historii sztuki wymieniłby można fakt znamieny z końca XVIII wieku, kiedy nowy ustrój narzucał świetnym malarzom zamierającego świata zmianę poglądów estetycznych pod grozą wydziedziczenia i spotkał się z opornością. choć zdawało się, że ci, co jakoby byli powolną igraszką w rękach rozbawionego towarzysztwa wersalskiego, okażą się bardziej elastyczni. Tak naprzykład Fragonard, niezrównany malarz wdzięku i zmysłowości, przedziwny przedstawiciel tych osławionych „fêtes galantes“ rokokowych, znalazł się w nędzy i zapomnieniu, skoro tylko zabrakło upudrowanych margrabini i margrabiów w Trianonie. Biedak umarł prawie z głodu za Cesarstwa, a teraz po latach wielu pamięć jego

artystyczną przywrócono do czci, odnalezione zaś dzieła sięgają cen bajecznych.

Oczywiście obrazy te posiadają rzeczywiste, niezaprzeczone wartości estetyczne, a nie poznał się na nich taki Diderot, który swemi namiętnymi krytykami najwięcej może przyczynił się do ostatecznego upadku wytwornego malarstwa rozkoszy. Błąd słynnego encyklopedysty, jednego z najświetlejszych umysłów swego czasu, tkwił w tem, że stawiał sztuce wymagania moralizatorskie, że w sądach estetycznych stosował miarę niewłaściwą.

Okazuje się stąd, że przy genialności, nawet przy wielkiem wyszałceniu ogólnem, można pozostać analfabetą lub półanalfabetą w rzeczach sztuki. Tak się też ma z tymi listami, pełnymi gniewu i oburzenia, które Towarzystwo Zachęty otrzymuje stale, ilekroć wystąpi z jakąś śmielszą, bardziej oryginalną wystawą, z tymi memoryałami, głoszącymi jakim to celom i ideałom sztuka służyć powinna. Są one wynikiem braku przygotowania estetycznego ludzi, skąd inąd inteligentnych i rozsądnych.

Już Kant zaznacza, że „piękno w sztuce nie jest piękną rzeczą, ale pięknem wyobrażeniem o rzeczy.“ Rzecz sama może nie być ani piękną, ani dobrą, a znaleźć piękny wyraz w dziele sztuki. Podstawą sądu estetycznego jest bezinteresowność i beznamiętność, owa *ataraksia*, zalecana przez filozofów we wszelkich sądach wogóle.

Wyodrębnienie stanów estetycznych, jako takich i określenie ich istoty jest niewątpliwie nader trudne, ale daje już pewne wskazania w tej mierze nauka o sztuce, która wkroczyła obecnie na drogę badań psychologicznych i poczynając od zjawisk najmniej złożonych posuwa się coraz dalej w zdobyczach. Oryentowanie się ułatwiają pewne przesłanki z historii.

Dziś dajmy na to, twórczość Le Bruna z odległości dziejowej widziana, mimo dworactwa autora, zając musi stanowisko wybitne, a niektórym pracom dekoracyjnym malarza królewskiego przyznać można genialność; musimy ocenić wysoko dzieła Fragonarda, Bouchera, Watteau, Lancreta pomimo ich niemoralności, pomimo brzydoty i ohydy w podejmowanych tematach, wyznaczamy zaszczytne miejsce Breughelom, Goyi i innym, natomiast wielu cieszących się uznaniem swego czasu dostawców modnej tandety odesłamy do właściwego rzędu wyrobników.

T. JAROSZYŃSKI.

PIŚMIENNICTWO.

GUSTAWA GAWALEWICZÓWNA (Toporcanka). *Listki*. Urywki korespondencji; z przedmową Bolesława Prusa. Warszawa—Kraków, Gebethner i Wolff.

Listki, które wiatr jesienny z obumarłego drzewa strąca. Listki, wirujące czasem wysoko, mieniące się nawet niekiedy blaskami złota i złudną żywością barw w świetle wystudzonego słońca. Listki, których widok jednakowym przejmując smutkiem, gdy bezradnie wirują w przestrzeni gnane mroźnym wiewem, lub kiedy wśród pogodnego uśmiechu konającej natury spadają bez szelestu. Cóż dopiero, gdy kładą się omdlałe na cmentarną ziemię!

Są to kartki pogrobowe. Pisała je młoda, zawczasie zmartwiła ręka do nieznanego czytelnikowi przyjaciółki, której listów niema w tej małej stustronicowej książeczce. Ale są odpowiedzi—i te czytelnikowi wystarczają; niedłatego, żeby mu jakieś literackie zaspakajały ciekawości, ale że się w nich odbija dusza dziewczyna, czysta jak łąka, która była jej symbolem. Dusza smutna a czysta—to takie niezwykłe zjawisko w dobie, kiedy tyle jest smutku, skłóconego mętami z bagnistych głębin! Dusza smutna, czysta i samotna, a nie rozkochana chętnie w tej samotności, to coś tak wyjątkowego w czasach, kiedy ladajakie *ja*, zanykające się w pustelni myślowej, modli się tam do swego urojonego „nadczołowieczeństwa!“ Prus w przedmowie porównywał ją do wygnańca z Arabii, którego w czasie snu zły geniusz przeniósł z Afryki do krain podbiegunowych, a nieżyjąca autorka „Listków“ pisze sama o sobie: „Jestem, jak człowiek z innej planety, który przyszedł na świat zawczasie lub zapóźno, nie w swoim czasie i przyniósł z sobą wizję sielskiej prostoty, kiedy to słońca cień

żaden nie zaćmi i kiedy wszyscy ludzie będą braćmi.“ Arab, obudzony się, senny jeszcze, skąpany niedawno w potokach światła i ciepła, mając w oczach pełno zieleni i tęczy barw, widzi naokoło siebie „białą ciemność“, a wstrząsają nim konwulsyjne dreszcze, nieznanego dotychczas, straszliwego uczucia... zimna. Człowiek, który się nie w swoim czasie urodził, zmaga się w mece ze „swoim czasem“—a dusza nie pyta, czy to zawcześnie, czy zapóźno—lecz cierpi. I ból staje się jej treścią.

Tylko ból w tej duszy smutnej, czystej, samotnej nie działa rozkładowo—owszem, ma w sobie wyszlachetniające, podniosłe pierwiastki. Nie słyhać w nim buntu burzycielskiego, ani obywatelskiej rezygnacji; odzywa się natomiast nuta jakiejś męskiej dojrzałości życiowej, wstydliwie dbającej o godność cierpienia. „Ból, jak szczęście, jak radość niebiańska, na dnie duszy własnej ukryć należy; dla nas to świętość, dla ludzi przedmiot ciekawości obojętnej lub szyderstwa. Przytem cierpienie, ból, jest jak woń, jak perfumy; zbyt często odsłaniane wietrzeją w sile, słabną w napięciu.“

Zamyka więc w sobie cierpiąca dusza ból, ale nie po to, żeby się z nim pieścić, żeby z samoudręczenia snuć filozofię taniego pesymizmu. „Im dusza wznioślejsza, głębsza—czytamy w „Listkach“—tem rozlewniejsze skutki bólu działania. A działanie objawiać się musi w tem, aby innym pokoleniom, innym ludziom, po nas przychodzącym, ułatwić drogę życia, aby im ostrzegawczo wskazać te moczary, na które nas stopa zawiodła. I tak będzie po wieki królować ból, aby z istoty ludzkiej wydobyć najlepsze, najszlachetniejsze, najdroższe ducha pierwiastki, zahartowane w ogniu cierpienia.“

Mądre słowa, silne słowa. Ale siła ich musi ulegać ludzkim omdleniom, a wtedy przemawia do nas znękana: „Duszą naszą w życiowej wędrówce przechodzi iście etapy męki krzyżowej—to pochod kalwaryjski, przez który wlecze się zbita, znużona do śmierci.“ I w takich chwilach pyta: „Dla czego ludzie tak cierpią naokół, dla czego się borykają?“ A odpowiedź krzepi natychmiast większą jeszcze mocą: „Z bólu odradza się dusza zmartwychpowstała. Ból natchnął wieszczów naszych, aby po sobie zostawili dzieła nieśmiertelne;—ból kieruje czynami naszymi na niwie społecznej. Idzie jeno o to, aby wznieść oczy hen, ku gwiazdom, na światów ogromy bezkresne; aby piersiom zaczerpnąć szerokiego tchu i choć na chwilę oderwać się od siebie samej, spojrzeć na rzeczy ubiegłe tak, jak gdybyśmy przez teleskop z Marsa spojrzeli na naszą ziemię.“

Przez taki teleskop rzadko jednak patrzyła czysta dusza. Ból jej ogarnia przedewszystkiem to, co się w koło niej dzieje. „Jest w życiu — pisze do przyjaciółki—jedna myśl potężna, jeden bodziec pracy wysiłonej—to pytanie: co zrobiłam w życiu? Coś, coś, coby po istnieniu naszym zostało wielkie, nieśmiertelne? Ta myśl budzi strach, grozę, pośpiech — i nagle życie staje się zbyt krótkiem, aby dokonać tego „coś.“ A przytem „krepowy welon smutku“ na bok odrzucić trzeba — spojrzeć jasnymi, pogodnemi oczyma, aby dojrzeć ile jeszcze pracy, a jak mało rąk sposobnych! A tu nagli głos: „bo to, co wniesiesz w życie, wiecznem będzie!“

Słowa „nagle życie staje się zbyt krótkiem“ brzmią jakby przeczucie. Czy takie miały znaczenie? Na to „Listki“ żadnej nie dają odpowiedzi — to tylko pewna, że ręka, która je kreśliła, nie zdołała ani na chwilę „na bok odrzucić krepowego welonu smutku.“ Przesłania on niezmiennie oblicze młode i w swej młodości do uśmiechu stworzone, żłobiąc na niem chwilami tragiczne rysy, wtedy zwłaszcza, kiedy zdołała dusza sili się wydobyć z siebie dla innych pociech, ukojenie. W tych szlachetnych wysiłkach nie młodość widocznie, nie dziewicze rojenia żywy biorą udział, lecz wczesne, trzeźwe na życie spojrzenia. Młodość! „Gdzie zaś—pisze dwudziestokilkoletnie dziewczę—czasami zdaje mi się, że ciężar wieków całych stoczył się na moje zbyt wątłe barki. W gronie rówieśnic moich czuję się życiowo tak bardzo stara, od nich odbiegła, a w otoczeniu starszych podziwiam wiarę optymizmu, czasem płytkość i swobodę, na jaką mnie już dziś nie stać. Więc co mi z młodości, która nie „nad poziomy ulata, lecz pełza, jak robak w pyłe codziennego deptaka...“ „Jest takie usposobienie, które, przyciśnięte ciężarem nad siły zamyka się w sobie, kurczy i milknie i jest takie, które musi mieć choć jedno ucho przyjazne, któremu by się uzalić mogło, choć jedną, ciepłą rękę, wyciągniętą z dobrej woli. Ciągłe się wyciąga dłonie ku mirażom, tka nitki pajęczne na tkaninę życia, znosi piołuny zamiast miodu i zaczepia ciągle rozpaczliwie o coś ręce, a wszystko się rwie, rwie i leci w otchłań bezdenną...“ „Bywa czasem, że człowiek rodzi się ze łzą w duszy i że mu potem braknie śmiechu przez całe życie; instynktownie garnie się ku tym, którzy cierpią i są nieszczęśliwi,—lecz czuje tę łączność z nimi dopóty, dopóki trwa cierpienie: gdy innym uśmiech błysnie, odchodzi samotny—niepotrzebny.“

Odeszła ta, co to napisała. Odeszła, w jednym się myląc— że była „niepotrzebna.“ Potrzebne są dusze czyste, piękne, dobre; potrzebne są zawsze i wszędzie, a stokróż potrzebniejsze

u nas i w czasie, kiedy „przewartościowanie“ ducha, charakteru, umysłu i serca skaziło i Czystość, i Piękno i Dobro; potrzebne— jak owe probiercze mierniki, według których ocenia się prawdziwe złoto i prawdziwy brylant. Przemknęła przez życie z cichością świetlanego zjawiska, na skraju widnokregu, nie dla wszystkich dostrzegalnym. „Listki“ znaczą ślad przebiegu tej gwiazdki spadającej; a celem słów niniejszych jest utrwalenie tego śladu dla tych, co lubią spojrzeć ponad ziemię.

W. B.

BOLESŁAW KIELSKI. *O wpływie Moliera na rozwój komedii polskiej.* Studium historyczno-literackie. Kraków, 1906, str. 182.¹⁾

W referacie, mianym na zjeździe historyków w r. 1900, ś. p. prof. Chmielowski zwrócił uwagę na brak studyów, któreby omawiały kwestyę rozwijania się naszego dramatu, zarówno poważnego, jak komicznego. „Cały repertoar teatralny XVIII wieku, pisze tam, nie został nawet tknięty przez krytykę historyczną, któraby wykazała, jak pojmowano tłumaczenie i unarodowienie sztuk obcych i jak go dokonywano, jacy autorowie zagraniczni (głównie francuscy) najwięcej dostarczyli sztuk tłumaczowi prze-rabiaczom, które sztuki i dlaczego najbardziej się podobały i t. d.“²⁾ Lukę tę zapełnia częściowo praca wymienionego w nagłówku krytyka. Molier bowiem jest w rozwoju naszej komedii osią, około której grupują się poszczególni pisarze. Jeżeli współcześni mu dramaturzy francuscy, jak Kornel lub Rasyń zawitali do nas o jakie sto lat wcześniej, to ich wpływ ogranicza się do poetów drugo- i trzeciorzędnych, Molier natomiast powołał do życia arcydzieła naszej komedii i rozciągnął swoje panowanie nad kilkoma pokoleniami.

Jaki był wpływ Moliera? O ile przeobraził on naszą komedye? o tem gwarzyło się przygodnie to przy Zabłockim, to przy Fredrze, ale żaden z dotychczasowych badaczy nie dał wyczerpującej odpowiedzi. Praca p. Kielskiego, sumienna i wyczerpująca swój przedmiot, pozwala nam jednym rzutem oka ogarnąć trzy

¹⁾ Jest to odbitka z „Rozpraw wydziału filozoficznego Akademii Umiejętności w Krakowie.“

²⁾ „Pamiętnik III zjazdu historyków polskich w Krakowie. Referaty. Sekcja II.

okresy rozwoju polskiej komedyi, od roku 1754 do śmierci Fredry i określić stopień nateżenia molierowskiego wpływu.

Scharakteryzowawszy zwięźle zarówno technikę, jak postacie Moliera, których cechami są „powszechność, istotność, ogólność i wszechstronność,“ krytyk omawia komedye Bohomolca. Wyróżnia w jego twórczości dwie fazy, a w jego utworach scenicznych trzy warstwy. W pierwszej nie Molier, ale inni pisarze są źródłem pomysłów, sztuki te należą do słabszych; w drugiej Bohomolec naśladowuje niewolniczo ojca komedyi francuskiej; w trzeciej przerabia go, korzysta z niego, ale wplata do swoich utworów mnóstwo epizodów aktualnej treści. Do oryginalnych charakterów należy Myśliwy, który kocha się tylko w psach, a woli myśleć o lisach, niż o spadku po stryju. Utwór ten stanowi dalszy etap w ewolucyi naszego pierwszego pisarza komedyi.

Trafnie zaznacza p. K., że Bohomolec, przyjmując intrygę molierowską, przeniósł na pole naszej komedyi to, co u Moliera jest najslabsze, mniej natomiast zgodziłbym się na jego twierdzenie, że Figlacki jest postacią, którą powołał do życia wiek XVIII. „Bohomolec ma tę zasługę, jako komedyopisarz, że ją zaobserwował i — z pomocą Moliera nakreślił.“ Krytyk przecenia, zdaje mi się, żywotność i prawdziwość tej postaci. Do wręcz przeciwnego wniosku doszedł p. Strusiński w studyum swem o komediach Bohomolca. „Figlacki w pomysle jest wzięty z arlekinady włoskiej i przeniesiony do komedyi polskiej ze zgrabną stylizacją francuską. Lecz to, co w południowo-zachodnich krajach było wzorkiem, zbieranym wśród żywego społeczeństwa, u nas było tylko sztucznie przez lekturę zaaklimatyzowanym rodzajem i dlatego typ Figlackiego był na naszej scenie poniekąd obcym gościem.“¹⁾

Wpływ Moliera na poszczególne komedye Bohomolca określili już inni badacze, zasługą p. K. zostanie jednak to, iż te zapożycзки i naśladowania umiejętnie zgrupował i wyczerpująco omówił. Z mniejszych pisarzy scenicznych wymienić należy Rzewuskiego, Bielawskiego, Czartoryskiego i Krasieckiego. O zależności tego ostatniego mało się wiedziało, tymczasem okazuje się, że „Frant“ jest przeróbką „Świętoszka,“ „Mędrzec“ przeróbką „Sawantek,“ co więcej, że jego „Statysta“ oparty jest na „Mieszczaninie-Szlachcicu,“ „Pieniacz“ na „Chorym z urojenia“ tylko „Solenizant“ jest stosunkowo najwięcej oryginalny. (str. 44).

¹⁾ Komedye X Franciszka Bohomolca w stosunku do teatru francuskiego i włoskiego. Pamiętnik literacki, 1905, str. 249.

Z kolei krytyk omawia utwory Zabłockiego, których większość powstała pod innymi wpływami. Trzy najważniejsze tylko: „Zabobonnik“, „Fircyk w zalotach“, „Sarmatyzm“, okazują wyraźne ślady molierowskiej komedyi. Również „Balik gospodarski“, który Kaśinowski wyprowadzał z „Cyrulika sewilskiego“ jest, zdaniem naszego krytyka, wypadkową działania wpływów Beaumarchais'ego i Moliera z przewagą tego ostatniego. Jeżeli Zabłocki przyjmuje poszczególne pomysły i sytuacje z Moliera, to w etyce, a często w treści, jest niezależny od niego. Z jednej strony kobiece postacie Zabłockiego mają rysy właściwe naturze polskich kobiet, co widzimy w „Zabobonniku“ i „Sarmatyzmie“, z drugiej strony zamiast ogólnoludzkich typów mamy typ polskiego „Fircyka“. Szczególnie zaś „Sarmatyzm“, związany bezpośrednio z objawami ówczesnego życia, przedstawiający wady nie powszechne lecz pewnej warstwy narodu, oddala się najbardziej od mechanizmu molierowskich utworów i stanowi niejako przejście do komedyi fredrowskiej, na którą jednak długo czekać musiał.

Następcy Zabłockiego oglądają się za innymi wzorami. Bogusławski tłumaczy i przerabia Dancourta, Diderota, Merciera, Sheridaną, Szekspira, Lessinga, Alfierego i pierwszy zapoznaje nas na wielką salę z repertoarem zagranicznym. Dmuszewski niewiele miejsca poświęca charakterystyce bohatera, przez co odstępuje od typu molierowskiej komedyi, natomiast wprowadza szereg postaci, zmieniających się, jak w kalejdoskopie (str. 86). Na uboczu zupełnie zostaje Drozdowski, który pierwszy, obchodzi się swobodniej z zasadą jedności miejsca i zrywa z molierowskim schematem intrygi. Natomiast „Powrót posła“ Niemcewicza jest jeszcze pod silnym wpływem ojca komedyi francuskiej, którą przypomina i budową i niektórymi postaciami. Starościna to polska sawanta, a Szarmancki, to kopia Trissotina.

Po tym okresie półświadomego wchłaniania pierwiastków komedyi molierowskiej przychodzi okres większego krytycyzmu i wyrabiania właściwego o niej pojęcia. Okres ten operuje już własnym materiałem, a z elementów, których dostarcza Molier, wybiera najlepsze. Fazę oryginalną naszej komedyi rozpoczyna Fredro. Wprawdzie i on nie wyzwolił się zupełnie z pod wpływu Moliera, zwłaszcza w początkowych farsach, lecz w miejsce szablonu postawił bogatą różnorodność pomysłów. Talent to pierwszorzędny i wysoce samodzielny, to też poświęcił mu krytyk połowę swego studium. W pięciu rozdziałach rozbiera kolejno osnowę, intrygę, budowę, charakter, sytuację i pogląd naszego komedyopisarza, zestawiając je z odpowiednimi czynnikami Moliera i do-

chodzi do ostatecznej konkluzji, że, Fredro „ma za sobą oryginalność formy, często oryginalność pomysłu (treści), ale kierunek jego twórczości jest molierowski.“ (str. 175). W jednej tylko sferze typu kobiecego Fredro przewyższa swego mistrza. Aniela i Klara ze „Ślubów panieńskich“ dowodzą wybornej znajomości serc młodych, naiwnych polskich panienek i nie przypominają w niczem błdych amantek molierowskich.

Oto w najogólniejszych zarysach treść powyżej wymienionej książki. Nie na wszystkie szczegóły zgodzić się można. Tam gdzie p. K. widzi naśladowanie Moliera, tam ktoś drugi dopatry się innych zgoła wpływów. Tak np. p. Strusiński,¹⁾ którego artykułu nasz krytyk nie znał jeszcze podczas pisania swej pracy, wykazał, że „Figlacki, kawaler z księżycą“ jest przeróbką francuskiej farsy p. t. „Arlequin, empereur dans la lune,“ podczas gdy p. K. wywodził go od... „Świętoszka.“ Ale to są drobnostki. Całość świadczy o rzetelnej pracy i stanowi cenny nabytek na naszej niwie krytycznej, tak ubogiej w studia porównawcze.

DR. H. REINHOLD.

MIECZYŚLAW AWDANCZ: *Wizye*. Opowieść sceniczna z dziejów wyzwolenia. Kraków, 1906. Nakładem autora.

Zapładniająca siła okresu przełomowego, ta siła, pod której wpływem Tetmajer tworzył „Rewolucję“ i „Poezje współczesne,“ a cały szereg drobniejszych poetów spalał nikłe, jałowcowe gałązki swoich natchnień na ołtarzu *Wolności*, włożyła także pióro w rękę p. Mieczysławowi Awdanczowi i skłoniła go do napisania „Wizyi“—opowieści scenicznej z dziejów wyzwolenia.

Jesteśmy w nastroju roku 1905.

„O roku ów, kto ciebie widział w naszym kraju...“—woła na wstępie z dobrą wiarą w rewolucję młody autor—„roku uniesień i tęsknot, roku, jak krew czerwony, a piękny, jak dzwon Zmartwychwstania. Poruszyłeś oceany żądz i oceany pragnień... na szarym widuokręgu zapaliłeś wizję nadziei — i wyciąnęły się do tej wizji miliony rąk, kajdanami brzęczących, a mózgi i serca milionów zapłonęły jednym olbrzymim pożarem szału. Ponad głowy męczenników rozwinąłeś cudowną białość swoich skrzydeł i za-

¹⁾ Cyt. art. str. 258.

trzepotałeś niemi, więc z zapartym oddechem czekali twego głosu. Lecz głos ten był szyderstwem i zgrzytem, a gdy się otworzyło serce twoje, na oczy, rozplamione nadzieją, sypać się zaczął popiół szary i zimny, jak dotknięcie śmierci. Zapatrzyły się na ciebie oblicza wieków, a ty im odpowiedziałeś martwem Sfinksa spojrzaniem—roku nadziei i roku łez! O żniwie twojem powiedzą zapełnione cmentarze i ciemne mury domów, w których zamieszkała rozpacz. Strumieniami krwi ociekły pióra twoich skrzydeł, a za tobą popłynął jęk żywych i umarłych... A jednak na płomiennem czole twojem przyszłość niezatartemi głoskami wypisze wyraz *wielki* i pokolenia nowe błogosławić ci będą, bo obudziłeś dusze do ofiar i do poświęceń, bo dałeś im nowy, piękny, promienny sen, idący w przyszłe wieki.“

Ten „sen“—to wizya naszych marzeń—informuje nas poeta—złota wizya wolności, usymbolizowana w pełnem „wschodniego czaru i ognia imieniu *Mirwari*.“

Kto ją posiadać będzie: czy ten, kto idzie do niej przez niewiaśń, czy ten kto kocha? czy ten, kto zawładnie tysiącami dusz ludzkich, czy ten, kto cierpi dla nich? czy ten, kto rzuca na jej ołtarze siłą swego głosu ujarznione istnienia, czy ten, *kto składa własną duszę?*...

Pytania te narzuciły się poecie z mocą i dały mu materiał do stworzenia trzech obrazów symbolicznych, poczętych w niewątpliwem uniesieniu i porywie, ale nie dość przetrawionych, nie dość skupionych w sobie i nie dość pięknych w wykończeniu, aby mogły na czytelniku silniejsze uczynić wrażenie. Nie okupuje tego nawet ich aktualność, a „wschodniego czaru i ognia“ dopatrzeć się w nich trudno. Niewiadomo więc, po co p. Awdancz aż tak daleko szukał wcielenia dla swojej wizyi.

Linia symbolu w „opowieści“ nie jest jednolita, chwilami łamie się i zaciemnia. Nie zespolony dość ściśle z ideą zasadniczą, nie przetopiony na czysty kruszec, symbol nikiem i wątleje, przez co ginie zupełnie niejeden urok poetycki pomysłu, który w innym ujęciu mógł być zaświecić o wiele doskonalszym blaskiem. Nie zaświecił. Nie znaczy to jednak, aby należało p. Awdanczowi zupełnie odmówić talentu. Przeciwnie. Można w nim dostrzedz błyski istotnej poezyi, można poczuć gorące serce, wrażliwe na ból narodu, rwące się ku słonecznej przyszłości. Zdaje się też, że autor istotnie należy do tych, co mówią, jak jego bohater Altri:

„Ach, bracie! Jakże niskie i małe
Wszystkie rozkosze wieczności błogiej,

Wobec tej jednej: gmach wznosić drogi,
 Z gruzów przeszłości budować dom,
 Piękny, kochany dom w przyszłe czasy“...

Ale to nie wystarcza jeszcze, ażeby zostać prawdziwym poetą.

Niedostateczne opanowanie wiersza, niedość płynny jego tok, niezawsze dostrojona do treści wewnętrznej rytmika, nie pozwoliły wypowiedzieć się całkowicie autorowi tam, gdzie kilka wprawnych uderzeń w miedziany gong natchmionego słowa mogło stworzyć pieśń mocną, pełną ognia i wichru. Tymczasem ani „pieśń w kajdanach,“ ani inne przyśpiewy Barda, nie wywołują odpowiedniego wrażenia, albo, co gorsza, mijają bez wrażenia. Brak im polotu i siły.

Z. D.

ANTONI LANGE. *Pierwszy dzień stworzenia*. Pieśni społeczne. Kraków, 1907.

Antoni Lange należy do pokolenia, które przyszło na świat po r. 1863, rosło, rozwijało się i dojrzywało w najbardziej opłakanych warunkach, nie miało nigdy prawdziwej młodości, karmione było gorzkim chlebem usposobień i nastrojów własnej ojczyzny, jakie rodziły się pod wpływem ucisku i gwałtów policyjno-biurokratycznego „porządku.“ To pokolenie jednak dziwnym zbiegiem okoliczności wydało z siebie cały szereg poetów o głębokim podkładzie lirycznym i o szerokich, filozoficznych horyzontach myślowych. Duch — „wieczny rewolucjonista“ zrywał się w nich do lotu pomimo wszystko i wyśpiewywał swoje *excelsior* „ponad łąy i nędzę“ (Kasprowicz). Niestety, najmocniejszych głosów tej pieśni, przedślaniczki niewątpliwej odrodzenia, jakiego dziś jesteśmy świadkami — tu, w kraju, nie słyszeliśmy niemal zupełnie. Zналиśmy naszych poetów tylko z profilów. Właściwie ich oblicza kryła przed nami cenzura. Jedni przystosowywali się do jej wymagań zupełnie i uczyli się tworzyć w ramach, przez nią zakreślonych, inni — drukowali pojedyncze utwory lub całe książki za granicą, bezimiennie lub pod pseudonimami (Waraż. Jan Sawa, Maurycy Zych). Bez tych utworów niepodobna jednak mieć pojęcia o całokształcie ich twórczości i dla tego za objaw pożądany chwili należy uważać dążność wśród wybitniejszych poetów do gromadzenia swoich rozproszonych utworów, pochodzących z doby ucisku i prześladowania, i ogłaszania ich w formie „uzupełnień“ do poprzednio wydanych dzieł.

Takiem właśnie „uzupełnieniem“—i to uzupełnieniem koniecznym — jest „Pierwszy dzień stworzenia“ Langego.

Dla każdego, kto kiedykolwiek będzie pisał o Langem obszerniejsze studium, będzie ta książka kluczem do duszy poety, tu bowiem zaznaczyły się wszystkie procesy myślowe autora „Rozmyślań“ od czasów wczesnej młodości aż do wieku dojrzałego, tu znalazły swój wyraz wszystkie fermenty, jakie trawiły jego wewnętrzną istotę, zanim doprowadziły ją do równowagi i pozornego spokoju filozoficznego; tu wreszcie uskrzydlały się wszystkie młodzieńcze uczucia, przygotowując się do lotu Ikarowego, jaki każda dusza w dwudziestu latach przez Hellespont zagadnień życiowych odbyć musi.

I rzecz znamienne. Intellektualista, mózgowiec, poeta-filozof—bo taką etykietę otrzymał Lange od krytyki współczesnej—w *Pierwszym dniu stworzenia* ukazuje się nam ze strony nieznaney, jako liryk o gorącym podkładzie uczuciowym, jako śpiewak haseł, które bynajmniej nie wyszły z tygła rozmyślań, ale są wiecznym, nieśmiertelnym odruchem duszy, reagującej prosto i śmiało na wszelką krzywdę, gwałt i nieprawość.

„Autor niejednoby zapewne wypowiedział dziś inaczej—mówi sam Lange w spowiedzi, poprzedzającej książkę—nie chciał mimo to nic zmieniać w swoich utworach młodzieńczych — i pozostawił je w formie pierwotnej.“

Szanując to wyznanie, nie będziemy się też spierali z poetą o to, czy i gdzie miał słuszość, a gdzie jej nie miał. Między 20 a 40 rokiem życia w każdym umyśle zachodzą zmiany bardzo poważne. Fundamenty zostają te same, ale często buduje się na nich gmach zupełnie inny od tego, jaki wznosił się tam w promieniach i uśmiechach wiosny. To samo zaszło niewątpliwie w pracowitym i twórczym umyśle Langego, a stąd walka o zasady byłaby z nim w tej chwili w większości wypadków bezprzedmiotową.

Nie sędzę też, żeby czytelnik „Pierwszego dnia stworzenia“ z tego punktu miał brać książkę i szukał w niej wskazań ideowych na chwilę obecną. Nie. On ją weźmie, jako dokument, jako książkę, w której odnajdzie swoją młodość własną, swoje najgorętsze pragnienia, nie przysypane jeszcze popiołami życia, nie przepalone w ogniu niweczącej tyle złudzeń rzeczywistości, nie ochłodzone przez refleksyę.

To wszystko jest w pieśniach „niecenzuralnych“ Langego w zakresie takim, że książka oddziela się całkowicie od poety, przestaje być jego własnością, a staje się pamiętnikiem duchowym

pokolenia, wyrazić je tych uczuć i myśli, które to pokolenie ożywiały, budziły je z odrętwienia i prowadziły na szczyty.

Dużo tu bezsilnego miotania się, namiętnych złorzeczeń, chaotycznych porywów, ideowych przejawów — ale wszystko to jest prawdziwe, szczere, bezpośrednie. Tak było istotnie. Temi drogami szło pokolenie, dochodzące do równowagi męskiej dziś dopiero, w chwili przełomu, i wyluskujące z siebie myśl polityczną coraz zdrowszą, coraz jaśniej formułowaną.

„Pierwszy dzień stworzenia“ podzielił Lange na dwie części. W pierwszej zawarł utwory, pisane w Paryżu w latach 1886—1890), a drukowane w czasopiśmie paryskim *Pobudka* pod imieniem Napierskiego.

Poeta, bardzo jeszcze podówczas młody, wydobywszy się z pod jarzma ucisku, znalazł się nagle w atmosferze zupełnie innej zaczął więc oddychać pełną piersią i z zapałem chłonał wszelkie pierwiastki wolności. W Paryżu — jak sam mówi — był pod wpływem różnych prądów: z jednej strony młodzi wygnańcy polityczni, ideałami zbliżeni do Manifestu Towarzystwa Demokratycznego, z drugiej — romantyczne tradycje emigrantów z r. 1863, jak nie mniej samo powietrze Paryża, wspomnienia wielkiej rewolucji, ogólna dążność do wyzwolenia duchowego, wreszcie ówczesne prądy literackie (Parnas i Symbolizm) — wszystko to wpływało na niego kolejno i razem.

Młodość jest najwybitniejszym pierwiastkiem utworów, zamieszczonych w tej części. Góruje w nich kult wolności — tej „piastunki niezwalczonych duchów,“ gorąca chęć walki, pragnienie czynu i — cecha wybitna pokolenia — jednoczesne poczucie swej niezdolności, osłabienia i rozdźwięków wewnętrznych:

„Na żadne powstać nieudolni czyny,
Czuliśmy słabość ramienia i ręki,
I duch nasz stał się na niewolę miękki
I giął się w wicherze, jak nadwodne trzciny...“

„I była pieśń nasza tak pusta,
A krew tak kipiała pożarem,
Pragnieniem tak wyschły nam usta,
Że jednym zapomnień nektarem,
Co życia boleści rozproszy,
Nam kielich się zdawał i harem —
I szliśmy utonąć w rozkoszy,
Wołając, jak ludy, co giną:
Rozkoszy, rozkoszy, rozkoszy...“

Oto linia — po której szedł rozwój duchowy pokolenia. Od młodzieńczego zapału, od skrajnych haseł, od rewolucyi w marzeniu — do zmysłowego użycia w rzeczywistości. Na tych rozstajnych drogach urodziła się też najnowsza nasza liryka, której genealogię doskonale tłumaczy poezya Langego, przechodząca z łatwością od okrzyków bojowych do zgrzytliwego, beznadziejnego pesymizmu.

Część druga książki obejmuje utwory z lat 1890—1905 i odznacza się tem właśnie przygnębieniem duchowem, o którym wspomnieliśmy wyżej. Przygnębienie to jest tem silniejsze, ile że autor wrócił na nowo „do domu niewoli ze świeżego powietrza wolnej Republiki, a przytem znalazł w Warszawie ucisk daleko surowszy i reakcyę czarniejszą, niż przed rokiem 1886.“

Wreszcie część trzecia (1905 — 1906) „datuje od pamiętnego dnia przedświtlu życia człowieka w kraju.“

„Oto stoimy nad ogromnem morzem
Przeznaczeń. Jutro — nowe — bezgraniczne
Złoci się. Stoim pod nieba nadprożem,
Skąd idzie droga w krainy mistyczne,
Kwitnące złotem, urodzajnem zbożem,
A jako dzwonią te łany pszeniczne,
Tak śpiewać będą o blasku zarania
Muzy dni nowych pieśni Zmartwychwstania...“

Te trzy części, z których składa się *Pierwszy dzień stworzenia* są trzeema kartami z życia duchowego pokolenia, które prze-trawilo w sobie wszystkie fermenty i wszystkie trucizny swego czasu, przeszło przez chwile beznadziejnej rozpacz i omdlewania ramion, a jednak spełniło swoją rolę — było zaczynem, z którego nowe wyrasta życie. I dla tego — raz jeszcze powtarzam — książka Langego, zawierająca jego utwory „niecenzuralne,“ jest *dokumentem*, obok którego ani współczesna, ani tembardziej przyszła krytyka literacka obojętnie przejść nie mogą i to niezależnie od wartości artystycznej tych pieśni, wyśpiewanych w bólu i szamotaniu się z przemocą i gwałtem.

Z. D.

Kronika miesięczna.

Wniosek Kola Polskiego w sprawie szkolnej.—Jubileusz Elizy Orzeszkowej.—
Obsadzenie katedry historii nowożytnej we Lwowie. — Projekt Towarzystwa
opieki nad obieżysami.

Do kwestyi, które najbardziej bołą, należy u nas kwestya szkolnictwa średniego i wyższego.

Zorganizowana w ostatnich czasach na przedce szkoła prywatna polska nie mogła podźwignąć ciężaru, jaki na nią spadł. Nadto powstała ona nie w warunkach życia normalnego, ale wśród chaosu i zamętu doby przełomowej. Atmosfera chwili musiała się więc na niej odbić i pewne pierwiastki rozkładu ogólnego musiały tam wtargnąć.

Jakakolwiek jednak jest ta szkoła, bądź co bądź jest i jest polska, nie tylko z języka wykładowego, ale i z ducha, który się w niej stopniowo wytwarza, otrząsając z ubocznych wpływów. Młodzież polska ma tam przystęp, a chociaż nie uzyskuje praw żadnych, uczy się i nie traci czasu na próżno. Oczywiście jest to stan nienormalny, stan, jakiego nie mógliby sobie wyobrazić obywatel żadnego z państw europejskich, ale — w rezultacie przy ofiarności społeczeństwa i poświęceniu całego narodu i taki stan przetrwać możemy do czasu.

Równie poważną w następstwa jest sprawa wyższych zakładów naukowych. Uniwersytet i politechnika od trzech lat są zamknięte. Młodzież nasza akademicka rozproszyła się po świecie i tam z trudem zdobywa naukę. Niejednego te trudy mogą zwichnąć i wykoleić.

Dla kraju tymczasem rzeczą wagi pierwszorzędnej jest normalny, coroczny dopływ inteligentnych sił, wykształconych zawo-

dowo. Zwłaszcza w tej chwili, którą przeżywamy obecnie, i w dobie, która jest przed nami, od dopływu tego zależy normalny rozwój naszych stosunków, które potrzebują i potrzebować będą coraz większego zastępu ludzi fachowych, o wysokim poziomie umysłowym.

Nie też dziwnego, że postawiony przez Koło Polskie w Izbie rosyjskiej wniosek nagły w sprawie szkolnictwa pochłoniął przede wszystkim uwagę społeczeństwa i że fakt ten wybił się na czoło, przytłumiając sobą cały szereg innych kwestyj, w które miesiąc ubiegły obfitował.

Wniosek ten poparty był doskonale zredagowanym memoriałem wyjaśniającym i wywołał w Izbie ożywioną dyskusję, której momenty poszczególne znane są ze sprawozdań dziennikarskich.

Rząd wobec tego projektu zajął stanowisko wręcz wrogie. Było to spodziewane, ale też i niespodziewane. Spodziewane dlatego, że w państwie rosyjskiem od czasu wydania Manifestu 30-go października działo się już wiele rzeczy, najzupełniej z treścią tego Manifestu sprzecznych, niespodziewane zaś dla tego, że uznawszy raz za niemożliwe bronić nadal w sprawie szkolnej systemu rusyfikacji (Najwyżej zatwierdzone post. komit. ministrów z dn. 19 czerwca 1905 roku)—rząd powinienby nareszcie zdecydować się na wyciągnięcie z tej decyzji najprostszych konsekwencji logicznych.

Spółceństwo polskie przysłuchiwało się z natężoną uwagą debatom w Izbie i wysłuchało cierpliwie poglądów, wypowiedzianych z ław ministeryalnych, aby się przekonać, że „dawny system” trwa w całej swojej mocy. Zresztą, niepotrzeba było aż tam szukać argumentów na poparcie tego przekonania. Mamy ich aż nadto pod ręką tu, u siebie, w kraju. Dość powołać się choćby tylko na stanowisko, jakie miejscowe władze oświatowe zajęły wobec „Macierzy Polskiej.”

Oto np. krótki wyjątek z memoriału mecenasa Osuchowskiego, przesłanego niedawno Kołu Polskiemu.

Znaniennie są—czytamy tam między innymi—słowa, przytoczone w odezwach dygnitarzy, stojących na czele oświaty w Królestwie Polskiem: *Wieczernije kursy dla wzrosłych w nastojaszceje wremia jawlajutsia niezłatielnymi.*

Niepożądana... nauka analfabetów w kraju, gdzie skutkiem czterdziestoletnich rządów biurokracyi rosyjskiej mamy 75% analfabetów! Wszak te słowa urzędowych kierowników oświaty w Królestwie Polskiem starczą za wszystko.

„Nauka analfabetów w obecnym czasie niepożądana“—te znamienne, niemal historyczne słowa, najlepiej charakteryzują psychologię warszawskiego okręgu naukowego, jego tendencje, kierunki i wogóle panujący w Królestwie system.

Rozumie się, że i szkoła średnia i uniwersytet polski są w tym czasie również „niepożądane.“

A fala ciemnoty, tej strasznej ciemnoty, która rodzi zbrodnie i krwią zbrzydza coraz częściej ulice naszych miast, rośnie i zatapia nas. Przyzwyczajaliśmy się już do wielu rzeczy, popadliśmy w jakąś dziwną, drewnianą obojętność, przestaliśmy reagować na wszystko, ale od czasu do czasu wstrząsa nami głęboko jakieś nowe, ohydne a bezcelowe zabójstwo, jakiś nowy, straszny mord.

Łódź ciągle jest widownią krwawej rzezi, zatargów robotniczych z władzami fabrycznymi, niebywałych i nieznanych w historii świata wypadków. Takiego zdziczenia, takiego barbarzyństwa, takiej zupełnej anarchii moralnej, nie było jeszcze nigdzie i nigdy, podczas największych zaburzeń, kataklizmów dziejowych i przewrotów społecznych.

I w takim to właśnie czasie nauka jest *niepożądana*.

Jedyną pochodnię, która niecić może światło—gasić, jedyną drogę, która prowadzić może do otrzeźwienia — zamykać, to rzeczywiście taktyka, godna umierającej biurokracyi rosyjskiej, która w nienawiści swojej dla wszystkiego, co polskie, oślepiła zupełnie i nie dostrzega tej strasznej choroby, która toczy całe państwo, a z niem razem i nasz kraj, przykuty do rozkładającego się organizmu absolutystycznego cesarstwa rosyjskiego.

Jakież wobec tego stanowisko ma zająć społeczeństwo polskie? To społeczeństwo, które pragnie zespolić wszystkie siły swoje w spokojnej pracy twórczej, zmierzającej do uzdrowienia opłakanych stosunków?

Administracya miejscowa żąda od niego (o ironio!) pomocy i współdziałania, a jednocześnie czyni wszystko, aby mu wytrącić z ręki każdy oręż, który mógłby służyć do walki z zamętem.

Bez szkoły polskiej w najrozleglejszym zakresie—od „niepożądanych“ kursów dla analfabetów, przez elementarną szkółkę wiejską aż do uniwersytetu — społeczeństwo polskie nie zdoła nic uczynić, nie potrafi leczyć swoich własnych ran, bo rozumie, że do ich powstania, zaognienia i rozjątrzenia przyczynił się z jednej strony zupełny brak oświaty, z drugiej — gangrenujący moralnie wpływ szkoły rosyjskiej.

Ta szkoła, obca nam zupełnie z ducha, narzucona siłą, przez długi szereg lat paczyła naszą młodzież, wszczepiając jej pier-

wiastki, niezgodne z kulturalnymi tradycjami narodu polskiego. Jeżeli też naród nasz niema dzisiaj dostatecznie silnej więzi społecznej, jeżeli znalazły się w nim elementy podatne do szerzenia anarchii—to w znacznej mierze winna jest temu szkoła deprawująca. Ona oddzieliła dzieci od rodziców, wniósła pierwiastki rozkładu do naszego życia rodzinnego, popchnęła niedorostków do polityki i przygotowała grunt do tego, co dzieje się obecnie.

Przed laty czterdziestu byłoby to niemożliwe. Po czterdziestoletnim blisko działaniu szkoły rosyjskiej w Polsce zbieramy teraz owoce z jej posiewu we wszystkich dziedzinach naszego życia.

I czyż wobec tego możemy nie pragnąć nadewszystko *szkoły polskiej*, tej szkoły, która będzie *wychowywała*, której ścisłe połączenie z rodziną polską zapewni atmosferę, zbliżoną do atmosfery, jaka w rodzinie panuje, która wszczepi młodym pokoleniom te elementy moralne, bez których byt społeczny jest zagrożony, wreszcie szkoły takiej, w której nauczyciel nie będzie znęcał się nad dzieckiem, ale zbliży się ku niemu z uczuciem ojca i opiekuna, brata i przewodnika duchowego. Taką szkołę mieć musimy, gdyż w warunkach obecnych będzie ona nietylko zwróceniem nam tego, co niesłusznie zostało odebrane, nietylko przyznaniem narodowi jego praw pogwałconych, ale zarazem najpoważniejszą rękojmią zdrowego rozwoju społecznego, który i dla państwa obojętnym nie jest.

Niestety, na ławach ministeryalnych tego jeszcze nie rozumieją, a zdawałoby się, że sprawa jest dostatecznie jasna i prosta, skoro zrozumiał ją nawet deputowany Krupiński, przedstawiciel skrajnej prawicy, myślącej „prawdziwie po rosyjsku.“

Tymczasem nad szkołą polską postawiony został znów znak zapytania. Czy Izba zdobędzie się na to, żeby ten znak zapytania przekreślić, czy też, zanim to zdoła uczynić, ulegnie losom swojej poprzedniczki i zostanie rozwiązana—to pokaże niedaleka przyszłość.

*

*

*

Warszawa i kraj cały złożyły hołd Elizie Orzeszkowej.

Za 40 lat pracy, za 40 lat służby natchnionej społeczeństwu,
za miłość ofiarną, głęboką, dźwigającą, za rozumne prowadzenie

ku lepszej doli, tak słabo prześwitującej przez chmury, zasłaniające nasz widnokrąg, za cierpliwe obsiewanie pól nieuprawnych, ugorów, leżących odłogiem, pustkowi, których jeszcze nie tknął lemiesz — należy się wielkie uznanie znakomitej powieściopisarce, dobrej Polce i wzorowej obywatelce.

W najsmutniejszej dobie naszego życia narodowego, w chwili, kiedy waliło się wszystko, kiedy wszelkie nadzieje upadały w gruz i zdawało się, że nic nie przebije mroku, pochłaniającego nasz dzień, rozpoczęła Orzeszkowa swoją działalność i szła z kagańcem światła drogą, po której kroczyły największe duchy polskie, rozświetlając ciemne krużganki naszego życia, krzepiąc i umacniając w wierze całe swoje pokolenie.

A było to pokolenie słabe, rozbite, wątpiące, pozbawione wiary we własne siły, zatrute jadem niewoli, stojące nad brzegiem przepaści.

Po upadku powstania 1863 r. w kraju zapanowało przygnębienie ogólne. Ideały romantyczne zbankrutowały. Duch popadł w apatyę i odrętwienie. Marzenie o wolności utonęło w potokach krwi, a szlaki sybirskie zaludniły się wygnańcami. Życie przygasło. Więzy, nałożone na duszę narodu, zaciskały się coraz mocniej, krępując zupełnie jej oddech. Ludzie przestawali myśleć i mówić. Gdziekolwiek tylko zrywał się cichy szept nad mogiłami, gdziekolwiek tylko brzmiał wyraz *Ojczyzna*, wymawiany przez łzy.

W takiej to chwili na niwie powieściopisarstwa polskiego stanęła Eliza z Pawłowskich Orzeszkowa, mieszkanka kresów, córka rodziny ziemiańskiej, dziedziczka wysokiej kultury stanu szlacheckiego, a śmiała heroldka hasł demokratycznych.

Ożywiona gorącą chęcią służenia krajowi, patrząca od samego początku na swój zawód, jako na pewnego rodzaju postanowienie, biorąca w serce wszystkich ból społeczeństwa, z którym związana była głębokiem uczuciem miłości—widziała Orzeszkowa przyszłość i zbawienie w dźwignięciu mas ludowych na wyższy szczebel rozwoju i poczucia narodowego. Bardzo wykształcona, odczuwająca doskonale ducha czasu i zdająca sobie dokładnie sprawę z potrzeb narodu, zaczęła w powieściach swoich przemawiać w imię zasad, które budziły ze snu i wołały do pracy.

Pisząc pod cenzurą i kontrolowana przez tę cenzurę w każdej myśli swojej—nie mogła Orzeszkowa nigdy wypowiedzieć się tak, jakby tego pragnęła. Z konieczności musiała przekonania i uczucia swoje taić lub ubierać w szaty allegoryi. Pomimo to jednak, nabrała takiej wprawy i takiej umiejętności w przemawia-

niu do swoich czytelników, że rozumieli oni zawsze głęboką treść jej utworów i brali z nich to pokrzepienie, jakie autorka dać im pragnęła.

Kto z nas nie pamięta wrażenia, jakie wywarła w całej Polsce powieść Orzeszkowej „Nad Niemnem,“ komu serce nie biło żywiej, kiedy zapoznawał się za jej przewodem z życiem duchowym drobnej szlachty litewskiej?

Czuła na wszystko, co miało związek z bytem narodu, Orzeszkowa umiała bacznie przyglądać się nowym prądom, żłobiącym sobie koryto w zbiorowej duszy społeczeństwa i stawała się prądów tych rzeczniczka.

Kiedy w jej oczach począł się budzić ruch kobiecy—stała, jako przewodniczka duchowa tego ruchu na jego czele, zarówno w powieściach swoich, jak i w specjalnie napisanej książce p. t. *Kilka słów o kobietach*. Daleka od hasel jaskrawych, patrząca głęboko w duszę dziewczęcą i w duszę kobiety-matki, zdająca sobie doskonale sprawę z licznych obowiązków, jakie spadają na kobietę w życiu rodzinnem i w życiu obywatelskim, rozumiejąca, że od spełnienia tych obowiązków zależy nie tylko szczęście jednostek, ale i szczęście Ojczyzny — Orzeszkowa nawoływała kobiety do pracy, do poznania swych powinności, do rzetelnego ich spełniania.

Nie uszły również oka Orzeszkowej prądy, zmierzające do gruntownych reform życia społecznego. W całym szeregu powieści potraça ona mniej lub więcej udatnie, ale zawsze szczerze i z prawdziwą chęcią przyczynienia się do prawdy—o sprawy robotnicze, o nowe ideały, z których wyłonił się następnie późniejszy suchy, doktrynerski i ohydny w swojej taktyce politycznej socjalizm. Od tego socjalizmu jednak, wbrew temu, co usiłowano jej niejednokrotnie w pewnych obozach przypisać i narzucić—Orzeszkowa była bardzo daleka. Miłość Ojczyzny była dla niej prawem najwyższem i skarbem najświętszym i nigdy nie ulegała skazie. Orzeszkowa kochała robotnika polskiego i pragnęła dla niego lepszej doli—nie w imię doktryny o wszechwładztwie proletaryatu, ale w imię szczęścia i pomyślności całego narodu, którego część składową stanowi proletaryat.

Blizka ludowi wiejskiemu, szczerze mu oddana i rozumiejąca na wskroś jego duszę, badała też Orzeszkowa dolę chłopca i w „Chamie,“ który wybija się na czoło jej utworów o charakterze społecznym i psychologicznym — odmalowała nam z całą dokładnością życie pierwotnego Pauluka.

Ulegając prądom, które panowały u nas w okresie, poprzedzającym wybuch powstania i następnie — Orzeszkowa zajęła też wyjątkowo przychylnie stanowisko wobec Żydów polskich. W powieściach zajęła się odmalowaniem ich życia i traktowała je z niekłamana sympatją, nie przewidując dzisiejszego separatyzmu żydowskiego, który tyle rozdzźwięków wprowadził do naszych stosunków.

Było to niewątpliwie stanowisko zbyt idealne, ale umotywowane temi złudzeniami, jakim ulegało całe społeczeństwo polskie. Prądy asymilacyjne były jeszcze silne i zdawało się, że nie będzie żadnych przeszkód do dalszego ich rozwoju. Żydzi rosyjscy mieszkali wtedy w Rosyi i nie wnosili pierwiastków rozkładowych do zgodnego współżycia z nami Żydów, zamieszkujących ziemię polskie. O nacjonalizmie żydowskim, o ruchu syonistycznym jeszcze się wówczas nikomu nie śniło. Dla tego też nie można Elizie Orzeszkowej czynić zarzutu z tego, że kwestya żydowska wygląda dzisiaj, w rzeczywistości, zupełnie inaczej, niż wyglądała w jej powieściach.

Służąc społeczeństwu polskiemu, Orzeszkowa rozumiała, że siłą tego społeczeństwa, rugowanego ze swoich dziedzin przyrodzonych, jest jego związek z ziemią rodzinną. Dla tej ziemi jest też prawdziwy kult we wszystkich jej powieściach. Ideałem jej było trzymanie straży na zagonie ojczystym, pilnowanie tego zagona do ostatniego tchu, do ostatniej kropli krwi. Nie ustąpić, nie oddać dobrowolnie ani piędzi—oto hasło, które bohaterowie jej wyznają, wierząc, że więcej warta jest wierna służba ojczyźnie na kawałku małym własnej ziemi, niż wyprawy po „złote runo“ do krajów obcych, gdzie dusza polska zatracą swój bezpośredni związek z najbardziej zasadniczym podłożem swego istnienia — z ziemią.

Zapatrzona w ideały społeczne i narodowe, pozostająca przytem pod wpływem prądów literackich epoki, Orzeszkowa uprawiała powieść t. zw. *tendencyjną*. Od samego początku była w niej jednak artystka, umiejąca posługiwać się doskonale językiem, jako środkiem technicznym i tworząca pod wpływem głębokich bodźców duchowych. Do jakich wyżyn artystycznych mogła się wzbicć, o tem zaświadczył drukowany przed kilku laty na łamach *Biblioteki* dwugłos „Ad astra.“

Tu zwrot, jaki nastąpił w naszej literaturze pod wpływem hasła „sztuka dla sztuki,“ wywarł na Orzeszkową pewien wpływ. Nie zmienił jej gruntownie, bo zmienić już nie mógł. Entuzyastka i idealistka pozostała entuzyastką i idealistką—ale powieściopisar-

ka tendencyjna przestała już krępować swoje skrzydła, dała im zupełną wolność i pozwoliła rozwinąć się do szerokiego lotu. W utworze „Ad astra” zabłysnął też talent Orzeszkowej pierwszorzędnym blaskiem i dał nam poznać nowe, nieznanne jeszcze skarby tej bogatej duszy.

Dziś, po latach 40 ogromnej pracy, stoi Orzeszkowa jeszcze w pełni swoich sił duchowych i patrzy na plon swojego siewu, a mało któremu pisarzowi dano jest oglądać plon tak obfity.

Spółceństwo polskie po ciężkich latach ucisku, niewoli i nieszczęść, przez jakie przeszło, zaczyna się odradzać. Zwiastuny tego odrodzenia są już widoczne na wszystkich polach. Nie przyszło ono jednak odrazu i nie jest wyłącznym wynikiem zmiany stosunków politycznych. Trzeba było długich lat, długiej pracy przygotowawczej, zanim dusza narodu ocuciła się na nowo ze swojego omdlenia. Pracę tę prowadzili najlepsi i najwięksi ludzie naszego pokolenia. Prowadził ją Sienkiewicz, Prus, Konopnicka. Prowadziła ją także Orzeszkowa, zająwszy wyjątkowo zagrożony posterunek na kresach.

Mieszkając stale w Grodnie, nad umiłowanym swoim Niemnem, obcując z blizkim sobie ludem, który kochała nadewszystko, stamtąd, z tego zapadłego kąta, przemawiała do całego narodu, a przemawiać umiała tak głośno, że słyszano ją wszędzie.

Utwory jej zdobywały sobie szeroką i zasłużoną poczytność, rozchodziły się szybko i niosły z sobą wszędzie ewangelię nowych, idących ku nam czasów. Mądre myśli, rozumne rady, piękne uczucia promieniowały z nich i budziły oddźwięk, zarówno w sercach i umysłach ludzi inteligentnych, jak i w sercach i umysłach prostaczków, sięgających dopiero po książkę polską. Orzeszkową czytały wszystkie warstwy narodu, a powieści jej, czy w oryginale, czy też w odpowiednich streszczeniach i przeróbkach, nie rzadko były w ręku robotnika i chłopca polskiego. W ten sposób pomiędzy autorką a narodem zadzierzgał się trwały i mocny węzeł wzajemnego zrozumienia i odczucia.

Klamrą na tym węzle jest właśnie obchód jubileuszowy, zgotowany obecnie sędziwej powieściopisarce przez ogół społeczeństwa, a szczególnie przez kobiety polskie.

*

*

*

Katedry historyczne w dwóch dotychczasowych uniwersytetach polskich, w Krakowie i we Lwowie, mają znaczenie niepospolite dla całego narodu, tam bowiem kształcą się zastępy tych pracowników, którzy następnie albo podejmują nić badań historycznych na własną rękę i oddają się całkowicie poszukiwaniu pouczającej prawdy dziejowej, albo zajmują drobniejsze, a nie mniej odpowiedzialne stanowiska nauczycieli historyi w szkołach średnich, gdzie kształci się i dojrzewa myśl narodowa młodego pokolenia. Stąd sprawa obsadzania tych katedr budzi zawsze zajęcie żywe i jest troską całego inteligentnego ogółu polskiego.

Ostatnio uwaga społeczeństwa naszego skierowana była z tego powodu na Lwów, gdzie w dobie zatargów polsko-rusińskich i zamachów na polskość uniwersytetu tamtejszego, katedry historyczne podwójnej nabrały wagi. Z niecierpliwością też oczekiwano na decyzję ostateczną wiedeńskiego ministerjum oświaty i wyznań, od którego zależy wybór i nominacya kandydata. Decyzya ta świeżo właśnie zapadła i — zapadła w myśl społeczeństwa polskiego.

Profesorem zwyczajnym historyi nowożytnej ze szczególnem uwzględnieniem dziejów polskich (*mit besonderer Berücksichtigung der polnischen Geschichte*) został d-r Szymon Askenazy, przedstawiony przez fakultet filozoficzny *unico loco*, a dotychczas wykładający w uniwersytecie lwowskim, jako profesor nadzwyczajny.

Nazwisko nowego profesora dobrze jest znane czytelnikom *Biblioteki Warszawskiej*, gdyż od szeregu lat niejednokrotnie mieli oni sposobność zapoznawać się na jej łamach z cennemi pracami, których profesor Askenazy ogłosił już długi szereg.

Urodzony w r. 1867 w Zawichoście, w Król. Polskiem, prof. Askenazy kształcił się w Warszawie, a po ukończeniu wydziału prawnego w uniwersytecie warszawskim, udał się na studia historyczne do Getyngi, gdzie po obronie rozprawy na temat „Die letzte polnische Königswahl“ otrzymał stopień doktora filozofii. Wślad za tem poszła cenna, oparta na zbadaniu i wyzyskaniu nieznanych dotąd źródeł, obszerna praca p. t. „Przymierze polsko-pruskie.“ Praca ta zjednała młodemu uczonemu odrazu imię poważne i postawiła w rzędzie najwybitniejszych pracowników polskich na niwie historycznej. Na podstawie tych dzieł otrzymał prof. Askenazy docenturę we Lwowie, przyczem — co jest rzeczą w stosunkach uniwersyteckich niezmiernie rzadką — zwolniony został przez wydział od t. zw. *colloquium habilitacyjnego*.

Od tej chwili zaczyna się podwójna działalność Askenazego. Jako samodzielny badacz nie ustaje on w pracy i ogłasza kolejno:

„Wczasy historyczne,“ „Dwa stulecia,“ „Uniwersytet warszawski,“ wielką monografię, poświęconą pamięci umiłowanego przez naród ks. Józefa Poniatowskiego, gruntowne dzieło p. t. „Rosya Polska“ w okresie 1815—1830, wreszcie podejmuje pracę o Łukasimskim, znaną już częściowo czytelnikom naszym z rozdziałów, drukowanych w *Bibliotece*. W roku ubiegłym krakowska Akademia umiejętności mianuje go swoim członkiem.

Jednocześnie staje ówczesny docent do ciężkiej pracy profesorskiej, zdając sobie dokładnie sprawę z tego, jakie spadają na niego obowiązki. Dzięki zaletom osobistym i pedagogicznym, zyskuje sobie ogromną sympatyę młodzieży i umie skupić dokoła siebie cały zastęp uczniów, którzy pod jego kierunkiem zaprawiają się do badań nad historią porozbiorową. Cała masa faktów, niekniętych jeszcze dotąd przez naukę historyczną, zyskuje w seminarium Askenazego oświetlenie i w ciągu lat kilku wychodzą stamtąd monografie Bojasińskiego, Loreta, Leszczyńskiego, Skalkowskiego, Mościckiego i innych początkujących historyków.

Obudzenie tego ruchu „historycznego“ wśród młodzieży, wciągnięcie jej do pracy systematycznej, wskazanie jej źródeł i pokierowanie ich studjami stanowi niewątpliwą i dużą zasługę profesora, będącego dopiero w początkach swojej działalności na tem polu. Że działalność ta będzie płodna w następstwie i że przyczyni się w niemałym stopniu do ustalenia poglądów naukowych na wiele ważnych stron naszego życia w dobie zmagania się z przeciwnościami losu—to nie ulega wątpliwości.

Askenazy jednak obok zalet, które posiada jako badacz i jako profesor-pedagog, ma jeszcze jedną, rzadką wśród uczonych zaletę, o której nie podobna niewspomnieć. Jest on urodzonym i doskonałym pisarzem. Świetne jego pióro z łatwością omawia najtrudniejsze i najzawilsze kwestye, umie zabarwiać suche rzeczy, umie wskrzeszać dawne życie i przywracać mu puls rzeczywistości.

Czytelnicy nasi pamiętają z pewnością te wspaniałe obrazy, jakie kreślił Askenazy, malując odwrót Napoleona z pod Moskwy, te głęboko i rozdzierająco smutne epizody, jakie wplótł do swojej monografii o ks. Józefie, ten wstrząsający tragizm, z jakim odtworzył katastrofę pod Lipskiem i śmierć bohatera narodowego w nurtach Elstery.

Zestawiwszy to wszystko, trudno nie cieszyć się, że katedrę historyi nowożytnej, ze *szczególnem uwzględnieniem dziejów Polski*, zajął we Lwowie ten właśnie profesor.

Wyborny znawca naszej przeszłości, a zwłaszcza naszych losów porobiorowych, obywatel, gorąco miłujący kraj, rozumiejący jego potrzeby, niedomagania i troski, jako przewodnik młodzieży i jako uczonego, odpowiada Askenazy wszystkim wymaganiom, jakie społeczeństwo polskie w tej ciężkiej dla siebie chwili stawiać może profesorowi dziejów ojczyźtych na wszechnicy polskiej.

*

*

*

Ruch wychodźczy polskich robotników i włościan domaga się dwóch rzeczy — naprzód dokładnego zbadania, potem opieki i kierownictwa władz krajowych, z chwilą, kiedy te władze zostaną powołane do życia. Zanim jednak tyle pożądané zmiany w naszym ustroju politycznym nastąpią, zanim kraj przez organy swego samorządu będzie mógł działać — inicjatywa społeczna musi zająć się tą sprawą i gromadzić materiały, niezbędne do zorientowania się w tej ważnej dziedzinie naszego życia.

W tym celu została też utworzona przy Towarzystwie krajoznawczem *Komisya emigracyjna*. Komisya ta postawiła sobie za zadanie zbadać warunki, w jakich odbywa się obecnie wychodźstwo polskie.

Warunki te nie są pomyślne. Prasa codzienna od czasu do czasu przynosi nam wiadomości o smutnym losie naszych emigrantów za oceanem, o wycisku, jakiemu podlegają nasi robotnicy w Niemczech, a nawet w Danii i Szwecyi, dokąd ich zapędza poszukiwanie zarobku, a gdzie nieznanomość języka i warunków miejscowych stanowi dla nich przeszkodę nielada w zdobyciu dla siebie odpowiednich wynagrodzeń za pracę i w obronie przed wszelkiego rodzaju agentami, czyhającymi na łatwowierność i naiwność polską. Bliższych jednak szczegółów o tem, jak się właściwie przedstawia dola wychodźców — nie znamy.

Jeżeli więc komisya emigracyjna zdoła nas z temi szczegółami zapoznać, to będzie nie małą jej zasługą.

Pierwszy krok komisyi w tym kierunku stanowi wydanie kwestyjonaryusza, który rozrzucony po kraju w odpowiedniej ilości egzemplarzy, powinien przyczynić się do wyjaśnienia wielu ciemnych kwestyj, naturalnie w wypadku, jeżeli ludzie, do których rąk dojdą pytania, zechcą na nie odpowiedzieć.

Niestety, smutne doświadczenie nie pozwala zbyt różowo zapatrywać się z góry na rezultat podjętej tą drogą ankiety. Znanne są przykłady grobowego milczenia, jakim większość naszej t. zw. inteligencji pokrywa zwykle wszelkie, skierowane do niej zapytania. Nieporządek, lenistwo i jakaś dziwna, karygodna obojętność dla spraw, obchodzących ogół, są tego źródłem. To też kwestyonariusze przynoszą zwykle plon informacyjny tak nikły, że w niewielu tylko wypadkach upoważnia on do wniosków i uogólnień dalej idących, a najczęściej bywa tylko stwierdzeniem polskiej opieszałości obywatelskiej.

Nie chcemy naturalnie przypuszczać, żeby ten właśnie los smutny miał spotkać także i przedsięwziętą przez Komisję emigracyjną pracę. Przeciwnie, radziłybyśmy wierzyć, że ankieta powyższa obudzi zainteresowanie wyjątkowe i że przyniesie takie mnóstwo odpowiedzi, jakie przed niedawnym czasem otrzymała redakcja *Słowa* na swój kwestyonaryusz w sprawie agrarnej. Będzie to dowodem, że ogół nasz, a zwłaszcza nasze ziemiaństwo i duchowieństwo, mające najbliższą styczność z ludem emigrującym, zrozumiało doniosłość kwestyi.

Jednocześnie wszakże, oczekując na rezultaty kwestyonaryusza, nie należy zaniedbywać i dróg innych i sposobów innych do informowania się o wychodźtwie. Cenne np. są tu bardzo wszelkie spostrzeżenia ludzi, pracujących na polu nauk ekonomiczno-społecznych, a zwłaszcza tych, którzy w swoich wycieczkach za granicę mieli sposobność poznać bliżej życie naszych wychodźców.

Komisya emigracyjna zdała sobie widocznie z tego sprawę, skoro postanowiła urządzić szereg odczytów, które poinformowałyby Warszawę lepiej o istocie, kierunku i potrzebach czasowego wychodźstwa zarobkowego i emigracyi zupełnej.

Jeden z takich odczytów wygłosił niedawno p. Żeliszaw Grotowski. Prelegent mówił o *obieżysasach*.

Pod tym mianem kryją się liczne zastępy ludu polskiego z okolic nadgranicznych (około 145,000 rocznie), szukającego zarobku na obczyźnie.

Przedstawiwszy dobre i złe strony tego wychodźstwa, które jest zjawiskiem stałym i nie dającym się usunąć, gdyż wynika z wysokiego przyrostu naturalnego ludności polskiej i z warunków ekonomicznych, panujących dziś jeszcze na ziemiach naszych i nie wróżących zbyt szybkiego przekształcenia, p. Grotowski zaprojektował utworzenie Towarzystwa opieki nad obieżysasami i dowiódł konieczności rozciągnięcia nad nimi tej opieki od chwili podpisania umowy na wyjazd, przez cały czas trwania robót se-

zonowych na obczyźnie (około 9 miesięcy) i podczas bezrobocia zimowego w kraju.

Projekt ten został przez prasę warszawską w pewnej mierze zakwestyonowany. Wypowiedziano mianowicie zdanie (*Kurjer Warszawski*), że byłoby może pożądanse powierzenie opieki nad obieżysasami projektowanemu *Towarzystwu pracy*, wyszukującemu i stwarzającemu pracę, a posiadającemu—stosownie do projektu—agencji swoje również poza granicami kraju, w Galicyi, Prusach i t. d.

Co do nas, stworzenie specjalnej instytucyi, opiekującej się wychodźstwem polskiem, wydaje nam się odpowiedniejsze. W innych krajach instytucye takie istnieją, cieszą się poparciem władz rządowych i krajowych i rozwijają się samodzielnie, pracując z wielkim pożytkiem dla emigrantów. Dla czego więc nie mogłaby powstać i równie dobrze rozwijać się o własnych siłach taka instytucya w Królestwie Polskiem?

Zakres jej pracy i zadania, które ją oczekują, są bardzo rozległe i *Towarzystwo wyszukiwania pracy*, zajmując się tą sprawą, musiałoby prędzej czy później stworzyć w swoim łonie zupełnie autonomiczną sekcję emigracyjną, czyż więc nie lepiej od razu powołać do bytu odrębną instytucję, która będzie musiała zużyć nie mało sił i środków zanim zdoła osiągnąć najważniejszy ze swoich celów — skierowanie potoku emigracyjnego w określone i zdrowe łożysko.

Emigracya jest zjawiskiem, które nie od dzisiaj powstało na naszym gruncie i które długo jeszcze istnieć będzie. Z chwilą, kiedy naturalne i historyczne nasze tereny kolonizacyjne zostały przed nami zamknięte — musieliśmy zwrócić się ku zachodowi i prawdopodobnie w ciągu pierwszej połowy wieku XX w tym samym jeszcze kierunku będziemy wysyłali nadmiar naszej ludności.

Wiadomo jednak, że warstwy emigrujące należą do najbardziej upośledzonych w narodzie, a więc roztoczenie nad nimi odpowiedniej opieki ma znaczenie ogromne, bez porównania większe, niż gdzieindziej, i to tem bardziej, że rząd rosyjski z łatwo zrozumiałych względów zupełnie nie dbał o uregulowanie naszego prądu wychodźczego.

Wychodźca, zostawiony samemu sobie, nie poinformowany ani o warunkach, ani o kosztach podróży, ani o tem, co zastanie na miejscu, już tu, w kraju, wpada bardzo łatwo w zastawione na niego sieci przez spekulantów. Po przybyciu do miasta portowego lub po przybyciu na miejsce, spotyka go to samo i trzeba

nieraz kilku lat na to, aby przybysz poznał jako tako język i zorientował się w stosunkach o tyle, żeby mógł sobie dać radę.

Instytucya więc, poświęcona zorganizowaniu troskliwej i przewidującej wszystko opieki nad wychodźstwem polskiem jest nam bardzo potrzebna i powinna zająć się nie tylko obieżysasami, ale i emigracją zamorską.

Niedawno pisaliśmy na tem miejscu o biurze informacyjnem dla emigrantów żydowskich. Otóż palącą potrzebą jest założenie takiego samego biura i dla emigrantów naszych, którzy stokroć większej opieki potrzebują, gdyż są daleko mniej sprytni i mniej do życia przystosowani, niż Żydzi.

Wróćmy jednak do obieżysasów, skoro o nich specjalnie była mowa.

Piszący te słowa miał sposobność przed kilku laty słyszeć z ust Duńczyka, ks. Ortveda, wiele szczegółów o życiu robotników polskich w Danii. Wszystkie te szczegóły wołały wielkim głosem o pomoc, jakoż ks. Ortved przyjechał do Warszawy głównie w tym celu, aby tę pomoc swoim pupilom zapewnić.

Rzecz naturalna, że tego rodzaju pomoc była tylko doraźną. Dzisiaj ks. Ortved, który nauczył się języka polskiego umyślnie po to, aby mógł prowadzić dobre swoje dzieło wśród wychodźców naszych, przestał już zajmować się tą sprawą. Następca jego jest jednak w tem samym położeniu i również zwrócił się do Warszawy z prośbą o poparcie. I tak będzie zawsze, dopóki sami nie ujmniemy we własne ręce sprawy opieki nad obieżysasami.

Lud nasz, który ma wszelkie dane do tego, aby się stać kulturalnym ludem europejskim, z wycieczek swoich na obczyznę mógłby niemałe ciągnąć korzyści, nietylko pod względem materialnym, ale i pod względem umysłowym. Prawo naśladownictwa jest prawem bardzo silnem, przyjrzenie się więc dokładne życiu narodów obcych nie może pozostać bez wpływu nawet na zupełnie ciemnego robotnika i włościanina. O ileż jednak ten wpływ dodatni byłby większy, gdybyśmy dbali o to, aby wychodźca nasz miał odpowiednio do swoich potrzeb zorganizowane życie na obczyźnie, gdybyśmy dostarczyli mu godziwą rozrywkę po pracy, pokazali mu, jak ludy inne żyją i pracują i dla czego ich praca takie rezultaty wydaje.

Uczyniłyby to mogło tylko Towarzystwo opieki nad wychodźcami, przy pomocy specjalnych agentur i konsulatów lub nawet w początkach swej działalności za pośrednictwem towarzystw młodzieży polskiej, kształcącej się za granicą. Studenci Polacy, zamieszkali w Niemczech, mogliby doskonale pełnić rolę prelegen-

tów, instruktorów, a nawet opiekunów, dojeżdżających co tydzień, dajmy na to w każdą niedzielę lub święto, do kolonij robotniczych i pozostających w statym z tymi koloniami kontakcie.

Uwzględniwszy to wszystko, sądzimy, że projekt p. Grotowskiego, domagający się stworzenia samodzielnej instytucji opiekuńczej dla naszego wychodźstwa, bardzo odpowiada potrzebom tego wychodźstwa i powinien być rozważany zupełnie niezależnie od zadań i celów Towarzystwa pracy. Jeżeli zaś to Towarzystwo przyczyni się do jego urzeczywistnienia—to tem lepiej, ale nie koniecznie jedno musi zależeć od drugiego.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z AKADEMII I TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

Zarząd Akademii Umiejętności w Krakowie ogłasza konkurs na 5 stypendyów po 5,000 koron rocznie z fundacyi im. ś. p. Wiktora Osławskiego. Podania należy wносить do Zarządu Akademii najpóźniej do dnia 29 czerwca 1907 roku.

O nadaniu stypendyum z niniejszej fundacyi ubiegać się mogą jedynie ci docenci Uniwersytetów w Krakowie i we Lwowie i Politechniki we Lwowie, nauczyciele lub zastępcy nauczycieli w gimnazyum lub w szkole realnej w kraju lub zagranicą, którzy są narodowości polskiej, władają należycie mową polską, nie przekroczyli 40 lat życia i ukończywszy uniwersytet lub politechnikę w kraju lub zagranicą ze stopniem akademickim, zamierzają się kształcić na profesorów dla wyższych Zakładów naukowych o polskim języku wykładowym w kraju; to jest dla polskich Uniwersytetów we Lwowie i w Krakowie i dla polskiej Politechniki we Lwowie, a to bez względu na ich pochodzenie, poddaństwo lub wyznanie, z jedynem wyłączeniem osób prawosławnego wyznania.

Ubiegający się o stypendyum z fundacyi kandydat winien w podaniu wniesionem w terminie do Akademii Umiejętności w Krakowie dowodnie wykazać za pomocą metryki urodzenia, świadectw szkolnych i innych urzędowych aktów, że posiada wszystkie powyżz wyszczególnione warunki.

Następnie kandydat przedłożyć musi swe prace naukowe i szczegółowy program, według którego i gdzie zamierza kształcić się dalej. Miejszem dalszego kształcenia nie może być miasto, w którym kandydat jest docentem, nauczycielem lub zastępcą nauczyciela. Przedmiotem studyów może być każda gałąź wiedzy ludzkiej z wyjątkiem nauk teologicznych. Uczęszczaniu na Uniwersytety zagraniczne równają się także inne szkoły główne, jak np. w Paryżu Szkoła centralna, Szkoła normalna i wyższa szkoła górnicza, z których opatrzeni dyplomem, wielkie mogą oddać usługi krajowi. Z europejskich Uni-

wersytetów wylacza się jedynie Uniwersytet we Fryburgu w Szwajcaryi. Uczeń, tam przebywający, nie może pobierać stypendyum z fundacyi ś. p. Ostlaskiego.

Art. VII, ustęp 1 i 2: „Stypendya wypłaci się z góry w półrocznych ratach. Wszakże ten sam kandydat może następnie otrzymać stypendyum roczne po raz drugi i trzeci, jeżeli w końcu roku szkolnego, na który stypendyum otrzymał, mianowicie w miesiącu czerweu, złoży Komitetowi szczegółowe sprawozdanie ze swoich czynności i udowodni, że wykonał w wielkiej części przedłożony swój program. Od uznania Komitetu, który w razie potrzeby zasięgnie zdania referentów, zależeć będzie pozostawienie kandydata na rok drugi i trzeci przy stypendyum.

„W razie większej liczby kompetentów pierwszeństwo mają ci, którzy pobierali to stypendyum, a na przedłużenie go zasługują; po nich ci, których wykształcenie jest rzeczą pożądaną ze względu na wakującą lub zawakować mającą katedrę; po tych poświęcający się studjom nauk doświadczalnych, które wymagają pracy w laboratorjach.”

— TOWARZYSTWO OPIEKI NAD ZABYTKAMI PRZESZŁOŚCI W WARSZAWIE (Nowy Świat 41) zakończyło już w głównych zarysach swoją pracę organizacyjną. Nowa ustawa, uzupełniona koniecznymi poprawkami, została już przez władze zatwierdzona i niebawem rozesłaną będzie członkom Towarzystwa. Sekcyje Towarzystwa utworzone dla realizowania poszczególnych celów przystąpiły już do prac naukowych i konserwatorskich. Mianowani na całym obszarze Królestwa delegaci i korespondenci rozszerzyć mają działalność T-wa po za mury Warszawy. Z prac konserwatorskich będących na porządku dziennym Towarzystwa najważniejszymi są: restauracya zamków Hżeckiego i Nowogrodzkiego oraz kaplicy zamkowej w Lublinie, domu Długoszewego i kaplicy św. Jakóba w Sandomierzu. Wybór padł na te właśnie zabytki architektoniczne, nie dla tego, żeby one były najdonioślejszymi w kraju, (co się tylko odnosi do kaplicy Lubelskiej i Sandomierskiej), ale dla tego, że na restauracyę tych zabytków przyrzeczono pewne materyalne poparcie od osób prywatnych, bez którego młode jeszcze i niezasobne w środki Towarzystwo, tak kosztownych prac przedsięwzięćby nie mogło. W celu odpowiedniej dzisiejszym wymaganiom naukowym restauracyi tych budowli, Towarzystwo wydelegowało ze swego grona architektów dla porobienia planów, fotografij i kosztorysów. Praca ta jest obecnie w toku.

Nie mogąc narazie uczynić zadość potrzebom konserwacyjnym na całym obszarze kraju, Towarzystwo przedsięwzięło pracę inwentaryzacyjną. Jak dotąd usiłowania Towarzystwa w tym kierunku reasumują się do następujących wyników: Zakupiono 2,000 klisz fotograficznych, pozostałych po wydawnictwie „Monografii kościołów w Królestwie Polskiem” i w większej części dotąd nie wydanych. Zawierają one cenny materyał dla wszelkiego rodzaju badań nad sztuką i stanowią dość poważny zaczątek zbioru fotograficznego. Zwrócono następnie uwagę szczególną na zabytki w kościołach się znajdujące. W celu szczegółowej ich inwentaryzacyi, sporządzono specjalny: „Kwestyjo-

naryusz dla inwentaryzowania kościołów i zabytków w nich się znajdujących" i drukiem go ogłoszono. Ponieważ w praktyce okazała się potrzeba tablic objaśniających, przystąpiono do wydania takowych i praca w tym kierunku jest już na ukończeniu. Niezależnie od tego zwróciło się Towarzystwo do duchowieństwa katolickiego z prośbą o pomoc w pracy inwentaryzacyjnej. Odpowiedź na to była bardzo przychylna. W Archidiecezyi warszawskiej ks. Arcybiskup Popiel, gorąco popierając zamierzenia T-wa, wydał okólnik do duchowieństwa, w którym nakazuje duchowieństwu czynną pomoc dla prac Towarzystwa i postanawia założenie przy temże T-wie Muzeum Archidiecezjalnego, kustoszem którego zamianował ks. kanonika Hipolita Skimborowicza. Nie mniej życzliwą odpowiedź znalazła odezwa Towarzystwa u biskupa Płockiego, który zwołał w końcu maja specjalny zjazd w Płocku, poświęcony sprawom konserwacyjnym zabytków kościelnych. Brali udział w tym zjeździe delegaci dekanalni od duchowieństwa płockiego i członkowie Zarządu T-wa ze swoim prezesem na czele. Rezultatem zjazdu było powzięcie uchwał, zmierzających do wspólnej pracy w zakresie ochrony zabytków kościelnych i ich inwentaryzacji. Kwestyjonaryusz T-wa w tym celu przygotowany przez zjazd został przyjęty. Zawiązano jednocześnie w Płocku kółko T-wa opieki nad zabytkami przeszłości.

Dary do zbiorów Towarzystwa, mającego otworzyć z czasem Muzeum Starożytności w Warszawie, napływać zaczęły. Miejmy nadzieję, że ofiarność społeczeństwa w tym kierunku będzie coraz szerszą i da możliwość urzeczywistnienia wreszcie tej palącej potrzeby, jaką jest założenie u nas naukowo prowadzonego muzeum.

N O W E K S I A Ź K I.

(*Brückner*. Ogród Fraszek W Potockiego. *Chodynicki*. Sejmiki ziem Ruskich. *Kraushar*. Miscellanea).

— Profesor Brückner, znakomity znawca literatury i autor studyów specjalnych o Wacławie Potockim (ogłaszanych w Rozprawach Akademii Umiejętności, Bibl. Warsz., Ateneum i t. d.) przystępuje obecnie do wydania nieogłoszonych dotąd drukiem dzieł *Wacława Potockiego*, znajdujących się w rękopisach biblioteki Cesarskiej w Petersburgu. Jest to główne źródło, które posłużyło prof. Brücknerowi do poprzednich prac o Potockim. Obecnie wydaje on *Ogród Fraszek*, ogromny zbiór wierszy ulotnych treści najrozmaitszej. Tytuł obszerny tego dzieła najlepiej mówi o jego zawartości. Brzmi on: „Ogród, ale nieplewiony; Bróg, ale co snop to inszego zboża, kram rozlicznego gatunku. Na cóż chwalić. W ogrodzie chwastu gdzie pokrzywa sparzać. W brogu plugastwa, gdzie matonog zawrócić głowę. W kramie szpilek, którymi zakłuć, zwierciadeł, w których się przejrzeć możesz między towarem na poły. Rzeczy, powieści, przygody, podobieństwa, przykłady, które jeśli nie były, być mogły w obojej płci w różnych czasach i wieku żywota ludzkiego. Tudzież ethica do cnoty, moralia do obyczajów, sacra do nauki, seria do przestrogi wio-

dące poważnych i uważnych. Festiva, ludica, satirica, salsa . . . i t. d.—i rzeczywiście przeglądając tom niniejszy o 586 str., stanowiący zaledwie połowę całego wydawnictwa, zdumiewać się należy nad rozmaitością poruszanych przez Potockiego tematów. Przed oczyma czytelnika, jak w kalejdoskopie, przesuwa się cały świat ziemiaństwa XVII w., odtworzony w barwach jaskrawych, śmiało, od niechcenia narzucanych. Pełno tu wyrażań dosadnych, niewyszukanych i rażących dzisiejsze ucho, ale oddających wiernie tentno życia ówczesnego. Przebija z tych fraszek i żartów humor staropolski rubaszny i niewybredny, ale szczery, zasadzający się przeważnie na wyśmiewaniu ułomności fizycznych, rzadziej umysłowych, a najczęściej osnutych na tle erotycznym. Są i poważniejsze utwory dotyczące znamiennych wypadków dziejowych, w szczególności traktatu Buczackiego i ustawicznych wojen z Turcją, tematów, które tak często porusza Wacław Potocki w swojej poezji.

Tom dzieli się na dwie części: pierwsza zawiera 499, druga 520 fraszek i wierszy. Żadnego w nich układu, ani chronologicznego, ani rzeczowego. To też trudno przebijać się przez ten las—prawdziwie niewyplewiony. I nie zaradza temu podany na początku tomu (str. VII—XXXII) spis rzeczy, bo tytuły wierszy, przez Potockiego skomponowane, nie mówią nic o ich treści. Jest nadzieja, że wydawca w drugim tomie poda zapowiedziane objaśnienia do całego wydawnictwa, które ułatwią korzystanie z niego. Ktoby zaś teraz chciał się bliżej rozejrzeć w Ogrodzie Fraszek, winien zapoznać się z opisem rękopisu petersburskiego i obszerniejszą pracą prof. Brücknera o spuściznie rękopiśmiennej Potockiego, pomieszczonej w XXVII i XXIX tomach Rozpraw Wydziału Filologicznego Akademii Umiejętności.

Fr. P.

— Nakładem Towarzystwa dla popierania nauki polskiej we Lwowie wyszedł tom nowy studyów nad historią prawa polskiego, wydawanych pod redakcją prof. Oswalda Balcera, noszący tytuł: *Sejmiki ziem ruskich w wieku XV* a opracowany przez *Henryka Chodynieckiego* (8-o str. 119). Autor w monografii niniejszej bada dzieje sejmików ruskich od 1435 t. j. od daty, kiedy zaprowadzono na Rusi księgi sądowe i od kiedy nastąpiło względne zrównanie Rusi z Polską w zakresie ustroju sądowego aż do 1505 r., kresu dowolnego w rozwoju sejmików, i tylko chronologicznie mającego rację bytu. W ten sposób dzieło ogarnia dzieje sejmików ruskich XV w. i pierwszych lat pięciu wieku XVI. Za podstawę do badań służyły autorowi zapiski sądowe ziem ruskich, częściowo już ogłoszone drukiem w „Aktach Grodzkich i Ziemijskich.“ Źródło to jednak jednostronne, przyczem wielce nie kompletne; nie można więc na jego podstawie rozstrzygnąć wszystkich nasuwających się pytań o organizacy i zakresie działania sejmików. Zastrzega się pod tym względem autor w przedmowie do rozprawy. Idąc jednak w głąb przedmiotu powątpyłych niciach fragmentarycznych zapisek, odkrywa nie jedną ciekawą i ważną tajemnicę i stąd rozprawa jego nabiera poważnego znaczenia dla dziejów ustroju wewnętrznego Rzptej. Określiwszy w rozdziale I-szym różnice jakie zachodziły między sejmikami generalnymi i partykularnymi (całej Rusi i od-

dzielnych prowincyi), w II rozdziale zajmuje się miejscem odbywania sejmików. Dla generalnych są to przeważnie Wisznia i Mościska; dla partykularnych główne miasta każdej ziemi. Prawideł stałych pod tym względem nie ma. Tak samo nie jest wyjaśniony czas zwoływania sejmików (Rozdz. III). Generalne zwoływał wojewoda lub król, partykularne prawdopodobnie kasztelan. Skład ich stanowili ziemianie i urzędnicy. Rozdział IV poświęcony jest rozpatrzeniu kategorii osób, które brały w nich udział obowiązkowo lub przygodnie. W następnym rozdziale autor bada zakres działania sejmików generalnych, zaznaczając dwa główne kierunki tej działalności: prawodawstwa partykularnego i sądownictwa, przyczem działalność prawodawcza sejmików ruskich na szczególną uwagę zasługuje, ze względu na odrębności miejscowe i odmienne od polskich prawa zwyczajowe tych ziem. W tych okolicznościach musiały być niejednokrotnie modyfikowane przepisy prawa polskiego. W Rozdziale VI omówiony jest obszernie zakres działania sejmików partykularnych i stosunek ich do sejmików generalnych. W zakresie prac prawodawczych tych sejmików ważne miejsce zajmuje dążność do prawnego uregulowania stosunku pana do poddanego, którą na Rusi utworzyła z jednej strony obszerność latyfundiów z drugiej słabe zaludnienie tych ziem żywiołem włościańskim. Rozprawę zakończy Rozdz. VII, poświęcony wyjaśnieniu stosunków sejmików do wieców i zawierający ogólne uwagi o charakterze władzy sejmików ruskich.

Ramy notatki sprawozdawczej nie pozwalają nam wnikać w szczegóły tej pracowitej monografii, a szczegóły te są głównym rezultatem pracy, bo pozwalają wnikać w głąb życia prawnopolitycznego Rusi XV w. i wyjaśniają ciekawe momenta tego życia. Układ książki bardzo systematyczny przyczynia się, że dzieło źródłowe czyta się z nieustającym zajęciem.

Fr. Pułaski.

— Niestrudzony i najpłodniejszy nasz pisarz historyczny mec. *Al. Kraushar* znów obdarza literaturę naszą całą wiązką prac swoich. Mamy przed sobą następujące świeżo ogłoszone książki i broszury: 1) Nowe przyczynki do dziejów żywota i spraw Albrechta Łaskiego w-dy Sieradzkiego 1533—1605. 2) Podróże królewicza Polskiego, późniejszego króla Augusta III 1711—1717. 3) Lojalna historia Rzymu profesora Zinserlinga. 4) Edward Jurgens, kartka z dziejów 1863 r. 5) Tajemnica Łuby, kartka z czasów listopadowych 1830 r. 6) Panta Koina, związek tajny młodzieży polskiej w Warszawie i Berlinie 1817—1822. 7) O paru ciekawszych rękopisach Biblioteki Cesarskiej w Petersburgu.

O pierwszej z tych książek pomieszczoną będzie specjalna recenzja w Bibliotece Warszawskiej, pozostałe należą do seryi książeczek i broszurek wydawanych pod ogólnym tytułem *Miscellanea Historyczne* (tomiki XI—XVI a zarazem odbitki z różnych publikacji i czasopism) o nich tylko parę uwag sprawozdawczych podajemy. Najciekawszą z nich jest podróż Augusta III, jeszcze jako królewicza polskiego, napisana o ile się zdaje, przez jego mentora—Jana Jerzego Przebendowskiego, w-dę malborskiego, który z królewiczem podróż ową odbywał. Wydawca korzystał z rękopisu, użyczonego sobie przez Konstan-

tego Przeździeckiego, i uzupełnił go pierwszą, częścią, nieznaną Przeździeckiemu, a odnalezioną w zbiorach Uniwersytetu Warszawskiego. W ten sposób powstała całość, wielce zajmująca. Dyaryusz obejmuje podróż do Wiednia i dworów niemieckich, potem pobyt w Paryżu na dworze Ludwika XIV, wreszcie wycieczkę do Włoch. Pełno tu zajmujących szczegółów o ceremoniałach, o życiu dworskiem ówczesnem, oraz wrażeń z podróży. Ze spraw politycznych, autor podaje tylko obszerny opis elekcji Karola IV we Frankfurcie nad Menem i trochę szczegółów o stosunkach dyplomatycznych mianowicie o pokoju Polski, Turcyi, Rosyi i Szwecyi.

W broszurce o Zinserlingu, profesorze w Getyndze, Kassel, Berlinie, a wreszcie w Warszawie, Kraushar wyjaśnia niskie, oportunistyczne pobudki, które skłoniły Zinserlinga do ogłoszenia drukiem wysoce tendencyjnej i reakcyjnej książki zatytułowanej: „Historja Rzymska.“ która spotkała się z bardzo surową, a zasłużoną krytyką—nawet... ministra oświecenia w Rosyi P. Szyszkowa.

Następne dwie broszury o Jurgensie, urzędniku komisji spraw wewnętrznych, zm. w r. 1863 w cytadeli warszawskiej i o rewelacjach Stanisława Łuby o związku tajnym, istniejącym w Rosyi przed 1830 r., przynoszą nowe szczegóły.

„Panta Koina“ drukowana w Bibl. Warszawskiej jest już czytelnikom naszym znana. Wiadomość zaś o paru Rękopisach Biblioteki Cesarskiej w Petersburgu dotyczy: a) odnalezionego przez p. A. Kraushara dziennika podróży króla Stan. Augusta po Rosyi, z którego kopii korzystał Siemieński w wydaniu „Ostatniego roku życia Stanisława Augusta“ i b) rękopisu generała Dąbrowskiego o legionach, na tle którego Chodźko osnuł swoją historję o legionach.

WYDAWNICTWA PERYODYCZNE.

— Najnowszy zeszyt *EKONOMISTY* zawiera treść nader urozmaiconą. Józef Kaczkowski w obszernej i aktualnej pracy p. t. Majoraty w Królestwie Polskiem daje wyczerpującą historję i rys stanu prawnego donacyj rządowych. Z „Socyalizmem municypalnym w Anglii“ zaznajamia Jan Lewiński. Mirosław Poznański przedstawia rozwój francuski związków zawodowych w artykule p. t. „Syndykaty robotnicze we Francyi.“ W pracy „Uwagi o społeczeństwie galicyjskiem.“ Prof. Franciszek Bujak rozpoczął niezmiernie interesującą rozprawę o roli i znaczeniu poszczególnych warstw społecznych w życiu gospodarzem Galicyi. B. Jasinowski zamieścił studyum z zakresu prawa państwowego „Parlamentaryzm, Duma państwowa i reprezentacja polska,“ w którym między innymi rozpatruje gwarancje życia autonomicznego Król. Polskiego. Życiorysy dwu zasłużonych mężów na polu społecznem w dwóch dzielnicach: ś. p. Józefa Kusztelana i ś. p. Stanisława Chełchowskiego skreślili W. Tomaszewski i St. Kozicki. Kronika współdziałcza, kronika finansowa, ruch cen i kursów, rozbiory i sprawozdania oraz bibliografia zamykają bogatą treść kwartalnika.

— *MUZEUM*. Luty. Wydatki budżetu krajowego na cele oświaty w r. 1907; Zagajewski K. dr.: O budynku II szkoły realnej we Lwowie; — Smolu-

chowski M. dr.: Zarys najnowszych postępów fizyki; — Leniek J. dr.: Poglądy pedagogiczne Sebastjana Petrycego; — Polemika; — Kronika szkolna i pedagogiczna; — Wiadomości bibliograficzne; — Sprawy Tow. naucz. szkół wyższych.

— MUZEUM POLSKIE... Malarstwo — Rzeźba — Przemysł artyst. Tablica 36; — Malarz nieznan z XV w.: Grupa aniołów. Fragment polichromii kaplicy świętokrzyskiej w katedrze krakowskiej; — 37. Malarz nieznan: Anioł niosący Ewangelię. Fragment polichromii kaplicy świętokrzyskiej w katedrze krakowskiej; — 38. Malarz nieznan: Wieczera Pańska. Fragment polichromii kaplicy świętokrzyskiej w katedrze krakowskiej; — 39. Rzeźbiarz nieznan: Sceny z życia św. Wojciecha. Drzwi katedry gnieźnieńskiej; — 40. Rytownicy nieznan: Znaki drukarni polskich; — Tekst. Feliks Kopera: a) O malarstwie bizanzyjskim w Polsce w XV w.; — b) Znaki drukarni w XV i XVI wieku.

— PORADNIK JĘZYKOWY. R. Zawiliński: I. Kto z nas mówi najlepiej?; — II. W sprawie nazwisk żeńskich (Ankieta) przez T. Korzona, W. Gąsiorowskiego, A. Drogoszewskiego, A. Niemojewskiego i I. Matuszewskiego; — III. Zapytania i odpowiedzi; — IV. Roztrząsania: 1. Puścizna czy spuścizna. 2. Wyniesie wyrok. 3. Ten, ta, to, zarodek rodzajnika, 4. Czy można wyrazy obce zawsze zastąpić polskimi, przez K. Nitsza. 5. Decydować; — V. Jeszcze w sprawie przyswajania imion obcych; — V. Rozmaitości.

— PRZEGLĄD FILOZOFICZNY. Wojciech M. Gielecki: Teodor Ziehen jako przedstawiciel fenomenalizmu w teorii poznania; — Adam Zieleńczyk: Etyka Demokryta z Abdery; — Jan Serwin: Ustawy Bractwa Polanów; — Przegląd krytyczny, przez H. Bada; — Sprawozdania, przez J. Nusbauma, S. Sterlinga, K. Appa; — Autoreferaty, przez J. Segala i Br. Komierowskiego; — Wykaz artykułów filozoficznych; — Wiadomości bieżące.

— PRZEGLĄD HISTORYCZNY. Styczeń — Luty. Ludwik Gumplowicz: Socjologia a państwo Hamurabiego; — Al. Brückner: Piast; — Marcei Handelsman: Przywilej Piotrkowski 1388 r.; — Rumbold z Połocka: Rafał Korsak, metropolita Rusi; — J. T. Baranowski: Z dziejów feudalizmu na Podlasiu; — Al. Kraushar: O paru ciekawych rękopisach Biblioteki Petersburskiej; — Jan Zakrzewski: Czasopiśmiennictwo Polskie na emigracyi; — Giuseppe Tomassetti: Przegląd najnowszej historyografii włoskiej, Miscellanea; — Kronika; — Od Redakcyi.

— PRZEGLĄD KOŚCIELNY. Luty. E. St.: Pisma św. Franciszka z Assyżu; — Ks. W. Michalski ze Zgrom. Misjonarzy: Hozyusz i reformacja w Polsce w latach 1551—1558 (c. d.); — ks. dr. Tadeusz Trzeźniński: Ważne źródło do historyi arcybiskupa Dunina; — ks. T. Olejniczak: Kurs katechetyczny we Lwowie, Miscellanea; — Ruch katoliaki; — Ruch literacki.

— PRZEGLĄD POLSKI. Marzec. Dr. A. Górski: Stronnictwa konserwatywne wobec reformy wyborczej; — Stanisław Tarnowski: Z ostatniego rozdziału „Historyi literatury polskiej“; — I. Kasproicz i Przybyszewski; — dr. T. Grabowski: Eliza Orzeszkowa, Szkic jubileuszowy; — Nienazwany: „Kazimierz,“ Trylogia. Cz. I., „Marzenie,“ Komedia w 5 aktach (dok.); — dr. M. Zdziechowski: Z ruchu religijnego w Rosyi; — dr. J. Milewski: Sprawy krajowe XLVII. Uwagi nad znaczeniem i zadaniem wymowy politycznej; — Kronika literacka; — Te-

atr krakowski, przez dr. Z. Stefańskiego; — Przegląd polityczny, przez * — Kartka z historii feminizmu w Galicyi, przez X. X.

— PRZEGLĄD POWSZECHNY. J. E. Wojciech hr. Dzieduszycki: Wielki wynalazek i nadzwyczajne tegoż skutki;—Ks. J. Pawelski T. J.: Falszowanie kierunku doby obecnej;—Lucyan Rydel: Bitwa na wałach;—ks. K. Czaykowski T. J.: „Nowa Reforma,“ papież i droga rozsądku;—ks. Wiktor Wiecki T. J.: Z polskiego ruchu etycznego;—„Czystość“;—F. E. Polzeniusz: Teorya Mendelejewa o eterze (dok.);—Przegląd piśmiennictwa;—Sprawozdanie z ruchu relig., naukowego i społecznego.

PRZEGLĄD PRAWA I ADMINISTRACYI. Dr. Al. Doliński: Ekonomiczne znaczenie spółek z ograniczoną odpowiedzialnością;—dr. Ryszard Leżański: O projekcie ustawy o wynagrodzeniu szkody z powodu bezzasadnego przetrzymania w areszcie śledczym;—dr. Ernest Till: Z dziedziny materialnego prawa konkursowego (c. d.);—Zapiski literackie;—Kronika;—Wspomnienie pośmiertne, ś. p. Franciszek Piekosiński;—Praktyka cywilno-sądowa, przez dr. Władysława Cichockiego i T.;—Praktyka administracyjna, przez J. M.;—Dodatek;—Zbiór ogłoszeń firmowych trybunałów handlowych № 3.

— PRZEWODNIK NAUKOWY I LITERACKI. W. Bruchnalski: Polskie listy miłosne (Ustęp z historii kultury polskiej);—dr. Antoni J.: Do dziejów Kamieńca Podolskiego (z papierów, pozostałych po ś. p. d-rze A. J. Rolle);—A. Prohaska: Rady Kallimacha;—Józef Piotrowski: Tum w Akwilei;—dr. Marryan Szykowski: Génie du Christianisme a prądy myślowe w Polsce porobiorowej;—Wołyniak: Bazylikańskie klasztory unickie w obrębie prowincyi białoruskiej.

— PRZEWODNIK ZDROWIA. Marzec. Ospa;—Ospica;—dr. Mikłaszewski: „O wstrzemięźliwości wogóle;—Więcej umiarkowania w jedzeniu i picu;—Niec o rozpoznawaniu chorób oczu.

— ŚWIAT SŁOWIAŃSKI. Marzec. Ks. Leopold Lénard: Polityczne zadanie Polaków;—Jan Łoś: Aleksander Wesolowski;—Kazimierz Nitsch: Polsko-czeska granica językowa;—St. Wroński: Korespondencya z Petersburga;—Przegląd prasy słowiańskiej;—Kronika.

— WIADOMOŚCI NUMIZMATYCZNO-ARCHEOLOGICZNE. Wiktor Wittyg: Znaki pieczętne (gmerki) mieszczan w Polsce w XVI i zaraniu XVII wieku.

BIBLIOGRAFIA.

F I L O L O G I A.

CIECHOMSKI ERARD WIKTOR: Gramatyka praktyczna języka francuskiego dla początkujących. Wyd. V poprawione. Kraków, 1907. Nakł. autora, G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 223.

DRZEWIECKI KONRAD: Krótka składnia języka polskiego z przykładami i ćwiczeniami. Wyd. II. Warszawa, 1907. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 102.

FEGLER ST.: Kurs metodyczny języka niemieckiego dla użytku szkolnego (Kurs II). Warszawa, 1907. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 186.

MATERIAŁY i prace komisji językowej; Ak. Um. w Krakowie. T. III, zes. 3. Kraków, 1907. Nakł. Ak. Um., Spółka Wyd. Polska. 8-o, str. 305—487.

GEOGRAFIA. — LUDOZNAWSTWO, — ANTROPOLOGIA.

BRODOWSKI G.: Palestyna. Zarys geograficzny. Tłumaczenia z rosyjskiego dokonał J. F. Lwów, 1907. 8-o, str. 51.

KANTOR JÓZEF: Czarny Dunajec. Monografia etnograficzna. Z 33 rycinami w tekście. Kraków, 1907. 8-o, str. 216.

MATERIAŁY antropologiczno-archeologiczne i etnograficzne, wydawane staraniem komisji antropologicznej Akademii Umiejętności w Krakowie. T. IX. (Z 78 tablicami ilustracyjnymi i 34 rycinami w tekście). Kraków, 1907. 8-o, str. 142 + 239.

MORZYCKA FAUSTYNA: Belgia. Napisała... Z rysunkami. Warszawa, 1907. 8-o, str. 49.

NAŁKOWSKA ANNA: Krótka geografia dla dzieci. Wyprowadzona z obserwacji najbliższej okolicy. Część II. Warszawa, 1907. 8-o, str. 120.

PALESTYNA WSPÓŁCZESNA. Podziałka 1 : 700000. Lwów, 1907.

PAMIĘTNIK TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO. Kraków, 1906. Wydawn. Towarzystwa, t. XXVII. 4-o, str. 38.

PETERSEN WILHELM, DR: Tablice geograficzne. Książka pomocnicza do nauki geografii. Przetłumaczył Antoni Jastrzębiec. Część I. Azja, Afryka, Ameryka i Australia. Warszawa, 1907. 8-o, str. 47.

TALKO-HRYNCEWICZ J.: Muslimowie czyli tak zwani Tatarzy litewscy. Zarys antropologo-etnograficzny. Kraków, 1907. 8-o, str. 76.

WAWRZENIECKI MARYAN: Wieś Myślaków. Notatki ludoznawcze. Kraków, 1907. 8-o, str. 12.

H I S T O R Y A.

ASKENAZY SZYMON: Polska-Rosya 1815 — 1830. Lwów, 1907. Nakł. H. Altenberga, Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 206.

BARANOWSKI IGNACY, DR: Komisye porządkowe (1736 — 1788). Kraków, 1907. Nakł. Akad. Um., Spółka Wyd. Pol. 8-o, str. 46.

BONIECKI ADAM: Herbarz polski. Tom X—Zeszyt II. Od Kierdejowie—Kisielewscy. Warszawa, 1907. 4-o, str. od 41 — 80.

CHOŁODECKI JÓZEF BIAŁYNIA: Dowódcy oddziałów w powstaniu styczniowym i współczesne pieśni rewolucyjne. Lwów, 1907. 8-o, str. 99.

GAWROŃSKI FR: RAWITA: Poselstwo Bieniewskiego. Od śmierci B. Chmielnickiego do umowy Hadziackiej. Lwów, 1907. 8-o, str. 93.

KOŁŁATAJ ST., KS: Stan oświecenia w Polsce w ostatnich latach panowania Augusta III (1750 — 1764) z przedmową Henryka Mościckiego. Nowe wydanie tytułowe. Warszawa, 1907. 8-o, str. 182.

LEWICKI JAN, DR: Dzieje i ustrój polityczny Monarchii Austryacko-Węgierskiej. Tarnów, 1902. 8-o, str. 143.

LEWICKI STANISŁAW, DR: Prawo składu w Polsce. Kraków, 1907. Osobne odbicie ze Sprawozdań Akademii Umiej. Wyd. historyczno-filozoficznego za miesiąc styczeń 1907. 8-o, str. 6.

MOSZCZEŃSKI ADAM: Pamiętnik do historii polskiej w ostatnich latach panowania Augusta III i pierwszych Stanisława Poniatowskiego. Z przedmową Henryka Mościckiego. Nowe wydanie tytułowe. Warszawa, 1907. 8-o, str. 153.

PAMIĄTKI polskie na obczyźnie. Wydane pod redakcją Franciszka Pułaskiego, zeszyt 2. Warszawa, 1907. 8-o, tablic 7.

PAMIĘTNIKI Józefa Wybickiego senatora wojewody Królestwa Polskiego. Z przedmową Henryka Mościckiego. Warszawa, 1907. 8-o, str. 134.

SKULIK B. M., KS.: 1874 — 1900. Historia parafii św. Jacka w La Salle, Illinois. Ułożona przez... Chicago, Illinois, 1900. 8-o, str. 176.

SULISZ JÓZEF: Przywileje wsi Odrzechowy. Sanok, 1906. 16-o, str. 31.

WIERZBOWSKI TEODOR: Dwa fragmenty ksiąg kancelaryjnych królewskich z 1-ej połowy XV wieku. Wydał... Warszawa, 1907. Z zapom. Kasy im. J. Mianowskiego. 8-o, form. duży, str. 47.

HISTORIA LITERATURY.

DOBZYCKI STANISŁAW: Nieboska Komedia. Kraków, 1907. 8-o, str. 123.

GRABOWSKI TADEUSZ, DR: Eliza Orzeszkowa. Szkic jubileuszowy. Kraków, 1907. 8-o, str. 41.

KISIELEWSKI JAN AUGUST: Życie dramatu. Lwów, 1907. Nakł. Tow. Wydawniczego. 8-o, str. 436.

MAZANOWSKI A.: Stanisław Wyspiański. Złoczów, 1907. 16-o, str. 96.

PLENKIEWICZ ROMAN: Historia literatury powszechnej w zarysie. Wilno, 1907. 8-o, form. duży, str. 338.

WASYLEWSKI STANISŁAW: Bibliografia historii literatury i krytyki literackiej polskiej za r. 1904. Lwów, 1906. 8-o, str. 89.

PRAWO. — NAUKI SPOŁECZNE.

GARGAS ZYGMUNT, DR.: Studya nad kasami oszczędności. Lwów, 1907. Gubrynowicz i Schmidt. 8-o, str. 57.

GUMPOWICZ LUDWIK: Allgemeines Staatsrecht. Dritte vermehrte und verbesserte Auflage. Innsbruck, 1907. Verlag der Wagner'schen Universitaets-Buchhandlung. 8-o, str. XVI i 540.

— Das Oesterreichische Staatsrecht (Verfassungs— und Verwaltungsrecht) Ein Lehr — und Handbuch von... Dritte, in Verbindung mit Dr. Rudolf Bichoff... bearbeitete, vermehrte und verbesserte Auflage. Wien, 1907. Manz'sche K. u. K. Hof-Verlags—und Universitaets-Buchhandlung. 8-o, str. XIV i 714.

J. K., DR.: Pouczenie o nowej ustawie wyborczej do Rady Państwa. Lwów, 1907. Wyd. popularne. 8-o, str. 39.

JANOWICZ LUDWIK: Zarys rozwoju przemysłu w Królestwie Polskiem. Warszawa, 1907. „Życie“ Wydawnictwo dzieł społeczno-politycznych. Tom X. Skł. głów. w Warszawie G. Centnerszwer. 8-o, str. 74.

JODL FR., DR.: Ekonomia społeczna a etyka, przekład Antoniego Krasnowolskiego. Warszawa, 1907. Książki dla wszystkich № 300. 16-o, str. 65.

KAUTSKY KAROL: Nauki ekonomiczne Karola Marxa. Popularnie przedstawione i wyjaśnione. Przekład z ósmego przejrzanego i pomnożonego wydania. Warszawa, 1907. 8-o, str. 205.

KRZYŻANOWSKI ADAM, DR.: Subwencya. Kraków, 1907. 8-o, str. 80.

PAYGERT JAN, DR.: Przestępne zaniechanie. (Studyum z prawa karnego). Wyd. drugie, przejrzone i poprawione. Lwów, 1907. Nakł. ks. Gubrynowicza i Schmidta. 8-o, str. 376.

REFORMA WYBORCZA dla Rady Państwa i ustawa o postanowieniach karnych dla ochrony wolności wyborów i zgromadzeń. Wadowice, 1907. 8-o, str. 46.

RUNDSTEIN SZYMON: O skutkach karnych zerwania umowy pracy. Napisał... Warszawa, 1907. 8-o, str. 57.

SCHAITTER I., DR.: O stałych lekarzach, znawcach sądowych w Krakowie. Kraków, 1907. 8-o, str. 4.

SŁOWNICZEK wyrazów obcych polityczno-społecznych. Kraków, 1907. 8-o, str. 4.

SULIGOWSKI ADOLF: Rys historyczny, dotyczący zarządu miast w Królestwie Polskiem. Z upoważnienia autora tłómaczył i wydał własnym nakładem Władysław Silnicki. Radom, 1907. 8-o, str. 26.

ŚWIĘTOCHOWSKI A.: O prawach człowieka i obywatela. O prawach mniejszości. Warszawa, 1907. 8-o, str. 83.

LITERATURA PIĘKNA.

AUTORKA: Z zeszytu... Lwów, 1907. Nakład. W. L. Anczyca i Sp. w Krakowie. Warszawa E. Wende i Sp. 8-o, str. 90.

DĘBICKI ZDZISŁAW: Kiedy ranne wstają zorze. Poezye. Lwów. 1907. Nakład. Tow. wydawn. H. Altenberg. Warszawa, E. Wende. 8-o, str. 153.

DZETEO: Miłość. Szkic powieściowy. Lwów, 1907. Księg. H. Altenberga. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 137.

GABORIAU EMIL: Agent policyjny. Romans w 2 tomach. Gródek Jagielloński, 1907. 8-o, str. 235 i 248.

GAWALEWICZÓWNA GUSTAWA: Listki. Urywki z korespondencji, z przedmową Bol. Prusa. Warszawa, 1907. G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 100.

GLIŃSKI KAZIMIERZ: Królewska pieśń. Warszawa, 1907. Gebethner i Wolff. 8-o, str. 535.

JASIŃSKI STANISŁAW: Śmiech życia. Poezye V. Lwów—Warszawa, 1906. Księgarnia Powszechna. 8-o, str. 77.

JASTRZĘBIEC MARYAN: Nim wzejdzie dzień. Powieść z dni ostatnich. Kraków, 1907. Spółka Wyd. Pols. 8-o, str. 192.

KOZŁOWSKI STANISŁAW: Pochodnia. Sztuka w 3 aktach z prologiem, wystawiona na scenie warszawskiej w dniu 16-ym lutego 1907 r. Warszawa, 1907. Bibl. Dzieł Wybor. № 476. 8-o, str. 144.

KRASIŃSKI ZYGMUNT: Pisma. Wydanie nowe, zupełnie ułożone, opatrzone wstępem i objaśnieniami przez Henryka Gallego. Warszawa. 1907. Nakładem Gebethnera i Wolffa.

KONOPACKI LESZEK: Poezye. Kraków, 1907. G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 89.

KRZYŻANOWSKI ANATOL: Odrodzenie. Powieść współczesna. Wilno, 1907. Nakład. księg. Józefa Zawadzkiego. 8-o, str. 524.

LASKOWSKI K. (EL.): Satyry polityczne. Warszawa, 1907. Skł. głów. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 61.

LUBECKI KAZIMIERZ: Sarkofag Jadwigi. B. m. i r. 4-o, str. 1.

MICHAŁOWSKI ZYGMUNT: Za nią... Trzy fantazye. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 77, D. E. Friedlein.

MICKIEWICZ ADAM: Grażyna. Powieść litewska ze wstępem i objaśnieniami Henryka Gallego. Warszawa, 1907. Nakład. Gebethnera i Wolffa. Wybór pisarzy polskich dla domu i szkoły № 2. 8-o, str. 52.

MILEWSKI EDWARD: Kwitnące ciernie. Warszawa, 1907. Nakład. J. Mortkowicza. 8-o, str. 80.

MORZYCKA FAUSTYNA: Z dnia wczorajszego. Powieść. Część II. Warszawa, 1907. Bibl. Dzieł Wyborowych № 472. 8-o, str. 132.

NIEMCEWICZ URSYN JUL.: Śpiewy historyczne. Warszawa, 1907. Nakł. księg. S. Bukowieckiego. 8-o, str. 128.

NIEMOJEWSKI ANDRZEJ: Polonia irredenta. Lwów, 1907. Nakład. księg. Polskiej B. Połonieckiego. 8-o, str. 84.

NIESIOŁOWSKI TYMON: Sny i widzenia. Lwów, 1907. Nakład. Fow. wyd. H. Altenberg Lwów, E. Wende i Sp. Warszawa. 8-o, str. 129.

PERZYŃSKI WŁODZIMIERZ: Majowe słońce. Komedya w 1 akcie. Lwów, 1907. Nakład. księg. Polskiej B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 24.

POTOCKI WACŁAW z POTOKA: Ogród fraszek. Wydanie zupełne Aleksandra Brücknera. Lwów, 1907. Nakład. Tow. dla popierania nauki polskiej. 8-o, str. XXXII + 586.

SADOWSKA ANTONINA: Basia. Warszawa, 1907. Nakład. Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów. Skł. głów. w księg. E. Wende i Sp. 8-o, form. podl., t. I str. 276, t. II str. 276, t. III str. 206.

STASIAK LUDWIK: Krwawe ręce. Powieść z dziejów rzezi galicyjskiej. Lwów, 1907. Maniszewski i Meinhart. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 335.

TETMAJER-PRZERWA KAZIMIERZ: Na skalnem podhalu III. Warszawa—Lwów, 1907. Książnica t. X. 8-o, str. 136.

PUBLICYSTYKA.

ANTYCHRYST: Wydawnictwo Dziennika Powszech. Warszawa, 1907. 8-o, str. 16.

BENIS ARTUR, DR.: Emigracya. B. m. i r. 8-o, str. 57.

GRABSKI WŁADYSŁAW: Koło polskie, sprawa agrarna i ruch wolnościowy w Rosyi. Mowa wypowiedziana na zebraniu przedwyborczem wyborców ziemi warszawskiej dn. 18 lutego. Warszawa, 1907. 8-o, str. 39.

HOENSBROECH V. HR.: Papiestwo i jego działalność społeczno-cywilizacyjna. Przekład z niemieckiego. Warszawa, 1907. 8-o, str. 391.

HUMNICKI IGNACY: Błędy Koła Polskiego w pierwszej Dumie państwowej w Petersburgu. Warszawa, 1907. 8-o, str. 45.

KOŁO POLSKIE w pierwszej izbie państwowej rosyjskiej. Sprawozdanie polskie Fr. Nowodworskiego i Wł. hr. Tyszkiewicza, b. posłów m. Warszawy. Warszawa, 1907. 8-o, str. 43.

KOSKOWSKI BOLESŁAW: Niebezpieczeństwo niemieckie. Warszawa, 1907. 8-o, str. 102.

KSIĘGA CZARNA czyli wykaz szkód wyrządzonych przez komisję kolonizacyjną. Piętnasty tysiąc. Lwów, 1907. 8-o, str. 67.

LANDAU HELENA, DR.: Polityka związków zawodowych. Warszawa 1907. „Życie.“ Wydawnictwo dzieł społeczno-politycznych. Tom V. 8-o, str. 88.

LUSNIA MICHAŁ: Czy teraz niema pańszczyzny? Kraków, 1907. Nakład czasopisma „Prawo ludu.“ 8-o, str. 45.

MILEWSKI JÓZEF, DR.: Uwagi nad znaczeniem wymowy politycznej. Kraków, 1907. 8-o, str. 24.

MOSZYŃSKI JERZY: Polityka narodowej demokracji na tle mowy kandydackiej pana Romana Dmowskiego. Kraków, 1907. 8-o, str. 66.

— Potrzeba konserwatywnego stronnictwa katolickiego czyli prasy narodowej i reformy społecznej od góry. 8-o, str. 35.

POWRÓT HRABIEGO WITTEGO. Przełożył z rosyjskiego W. P. Warszawa, 1907. 8-o, str. 15.

SZCZERBIEC: Wobec chwili i przyszłości. List otwarty i szczery do Rosyan i Polaków. Kraków, 1907. 8-o, str. 30

SPROSTOWANIE.

Od osób interesowanych otrzymaliśmy następujące sprostowanie:

W artykule o **Józefacie Ohryzce** zakradła się na str. 229 w uw. 1 niedokładność, dotycząca pochodzenia matki ś. p. Włodzimierza Spasowicza, a żony d-ra Daniela Bolesława Spasowicza. Teofila Cecylia Ludwika z hr. Kreutzów Spasowiczowa nie była ani neofitką, ani wychowaną marszałka Osztorpa, lecz wychowaną swego stryja, Gwalberta Cypryana hr. Kreutza, a córką Michała Wincentego hr. Kreutza. Michał Wincenty Kreutz, który brał udział w konfederacji barskiej, a potem był rotmistrzem wojsk królewskich, umarł w r. 1806, żona jego zaś, Cecylia z Oskierków, wstąpiła, jako wdowa, do zakonu i umarła w r. 1829. W tymże roku Teofila Cecylia Ludwika Kreutzówna wyszła za d-ra Daniela Bolesława Spasowicza herbu Ślepowron, syna Józefa i Anny z Mickiewiczów.

Rodzina Kreutzów posiadała od r. 1572 godność hrabiów cesarstwa niemieckiego, od r. 1529 zaś indygenat polski. W Rosyi uzyskał Gwalbert Cyprian Kreutz zatwierdzenie tej godności w r. 1839. Teofila z hr. Kreutzów Spasowiczowa była ostatnią z katolickiej linii Kreutzów, która to linia z nią wymarła. Daty dotyczące rodziny hr. Kreutzów zawiera „Gothaisches Genealogisches Taschenbuch der Gräflichen Häuser,“ w którym podano także dzień urodzenia i śmierci ś p. Teofili Spasowiczowej, oraz nazwisko jej męża.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE DRUGIM

z roku 1907.

HISTORIA.

	<i>Str.</i>
„TRYBUN GMINU“ w dobie Królestwa Kongresowego,—przez <i>prof. Szymona Askenazego</i>	1
TŁO HISTORYCZNE TRZECIEJ CZĘŚCI „DZIADÓW“,—przez <i>Henryka Mościckiego</i>	140, 285 i 502
PAMIĘCI JÓZEFATA OHRYZKI,—przez <i>D-ra Benedykta Dybowskiego</i>	209
POCZĄTKI POWSTANIA z 1863 r.,—przez <i>Romana Rogińskiego</i>	417

LITERATURA.

ŁUNA (powieść),—przez <i>Kazimierza Zdziechowskiego</i>	37, 261 i 452
Z KSIĄG SYBILLI (poezya),—przez <i>Maryę Konopnicką</i>	90

STUDYA LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

O TWÓRCZOŚCI WYSPIAŃSKIEGO,—przez <i>Józefa Kotarbińskiego</i>	66 i 312
RUCH PIŚMIENNICZY WE FRANCYI,—przez <i>Kazimierza Woźnickiego</i>	94
TRAGEDYA NASZEGO TEATRU,—przez <i>Władysława Bogusławskiego</i>	114
PAWEŁ VERLAINE,—przez <i>Jana Szarotę</i>	327
RUCH LITERACKI W NIEMCZECH,—przez <i>J. Kaczkowskiego</i>	474
SĄD ESTETYCZNY,—przez <i>T. Jaroszyńskiego</i>	559

NAUKI PRZYRODNICZE.

UROK OCEANU, — przez <i>D-ra Józefa Nusbauma</i>	<i>Str.</i> 312
KARŁY, JAKO PRA-RASA, — przez <i>K. Stołyhwę</i>	543

K R Y T Y K A.

Z niwy dramatycznej. JADWIGA MARCINOWSKA: 1) „Wyśniony dramat.“ 2) „Kościszko.“ JÓZEF WIŚNIEWSKI: „Śpiąca królewna,“ poemat dramatyczny w czterech strofach. „Krzak go- rejący,“ tryptyk sceniczny. EWA ŁUSKINA I LEON STĘ- POWSKI: „Szopen.“ Sztuka popularna w pięciu aktach z dziejów naszej pieśni,—przez <i>Z. D.</i>	169
SĄD WAM NIOSE! Napisał Antoni Ziemic,—przez <i>Z. D.</i>	178
KAZIMIERZ CHŁĘDOWSKI: Dwór w Ferrarze, — przez <i>Lucyana Rydla</i>	384
GUSTAWA GAWALEWICZÓWNA (Toporzanka): Listki. Urywki korespon- dencyi; z przedmową Bolesława Prusa,—przez <i>W. B.</i>	580
BOLESŁAW KIELSKI: O wpływie Moliera na rozwój komedyi polskiej, — przez <i>dr. H. Reinholda</i>	583
MIECZYSLAW AWDANZ: Wizye. Opowieść sceniczna z dziejów wyzwolen- nia, — przez <i>Z. D.</i>	586
ANTONI LANGE: Pierwszy dzień stworzenia. Pieśni społeczne,—przez <i>Z. D.</i>	588

KRONIKA MIESIĘCZNA.

KWIECIEŃ:

Centralne Towarzystwo rolnicze i Sekeya rolna Towarzystwa popie- rania rosyjskiego przemysłu i handlu. — Resursa rze- mieślnicza.—Poemat Glińskiego.—Wielka Encyklopedia illustrowana.—Ponure dokumenty chwili	180
---	-----

MAJ:

Polityka Koła Polskiego w Izbie rosyjskiej i wniosek autonomiczny.— Rocznica Konstytucyi 3 maja.—25-lecie Kolonij letnich.	396
---	-----

CZERWIEC:

Wniosek Koła Polskiego w sprawie szkolnej.—Jubileusz Elizy Orze- szkowej.—Obsadzenie katedry historii nowożytnej we Lwowie. — Projekt Towarzystwa opieki nad obieży- sasami	592
--	-----

WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE.

KWIECIEŃ	196
MAJ	410
CZERWIEC	607

DODATEK „PRACA.“

	<i>Str.</i>
PRZY ZESZYCIE KWIETNIOWYM i MAJOWYM (№№ 4 i 5): Stan Finansów Królestwa Polskiego, — przez <i>A. P.</i>	1
PRZY ZESZYCIE CZERWCOWYM (№ 6): Zniesienie linii celnej pomiędzy Królestwem Polskiem a Cesarstwem Rosyjskiem w roku 1850, — przez <i>Henryka Radziszewskiego</i>	1

